www.tygodnikprzeglad.pl

Nr 14 (1108)
29.03-5.04.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Przegląd

Prof. Henryk Skarżyński
Rekordy we wszczepianiu implantów

15 lat bez
Stanisława Lema

W Zakopanem płoną zabytkowe
domy, wchodzą deweloperzy

Robert Lewandowski
– ciągle lepiej

Ranking ministrów
spraw zagranicznych

Na trasie Ekstremalnej
Drogi Krzyżowej

NUMER NA WIELKANOC

Dlaczego ludzie Polski Podziemnej budowali PRL

Historia nie jest czarno-biała

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
14
9 771509 311102

eprasa.pl ace2ed05c6

SKLEP TYGODNIKA PRZEGLĄD

ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI

Samotne święta? Spędź je z nami

W NASZYM SKLEPIE INTERNETOWYM SĄ:

PRENUMERATA ELEKTRONICZNA TYGODNIKA

MIESIĘCZNA	KWARTALNA	PÓŁROCZNA	ROCZNA
12,90 zł	39,90 zł	69,90 zł	119,90 zł

E-WYDANIA PRZEGLĄDU
aktualne i archiwalne numery tygodnika

E-BOOKI
już od 14,90 zł

KSIĄŻKI
m.in. z cyklu Historia bez IPN

ZDANIE
elektroniczna wersja kwartalnika za 9 zł

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Jeśli możesz, wesprzyj naszą działalność. Dodaj podczas składania zamówienia produkt **DAROWIZNA** *lub* **DAROWIZNA CYKLICZNA**.
Za każdą pomoc serdecznie dziękujemy!

Jerzy Domański

eprasa.pl ace2ed05c6

Jerzy Domański

Czytajmy Walickiego

Na święta mamy dla Czytelników jeszcze ekstraprezent. W ekspresowym tempie wydaliśmy książkę, która jest testamentem politycznym prof. Andrzeja Walickiego. Są w niej teksty tego giganta myśli, jednego z największych uczonych z przełomu XX i XXI w. A także człowieka bliskiego naszej redakcji i wielu naszym autorom. Był dla nas intelektualną busolą i autorytetem. Mogliśmy czerpać z jego wiedzy o historii Polski, o rosyjskiej filozofii i myśli społecznej. Świat, który opisywał, był wielowymiarowy i pluralistyczny. Jego analizy to szkoła mądrości i realizmu politycznego.

Jest więc oczywiste, że za nasz obowiązek uważamy utrwalanie i popularyzację dorobku naukowego tego wielkiego uczonego. W ciągu najbliższych miesięcy wydamy trzy tomy dzieł Walickiego. Zawartość pierwszego najlepiej opisuje jego tytuł „PRL i skok do neoliberalizmu. Jaruzelski. Solidarność. Zdrada elit".

Nie wiem, czy ktoś wnikliwiej od Walickiego opisał nasze najnowsze dzieje. I fenomen Polski Ludowej. „Walicki pokazał, że nie można zbudować obiektywnej oceny PRL za pomocą mitologizacji zasług opozycji politycznej i autogloryfikacji kombatantów, którzy stworzyli wygodną dla siebie wersję historii" (prof. Bieleń).

Zawsze chętnie przytaczam bardzo trafną opinię prof. Łagowskiego: „Słuchając Walickiego, dowiadujemy się w ciągu godziny więcej, niż dałoby nam tygodniowe siedzenie w bibliotece". Jestem pewien, że czytających jego teksty czekają zarówno doznania intelektualne, jak i spore emocje. Poglądy autora odbiegają od poprawności politycznej.

Polskie problemy bardzo absorbowały jego uwagę. A oceny poziomu całej dzisiejszej klasy politycznej miał bardzo krytyczne. Do głębi oburzał się na polski nacjonalizm i klerykalizm. Celnie i bezlitośnie obnażał fałszerstwa polityki historycznej IPN, kłamstwa na temat Polski Ludowej i osiągnięć milionów jej obywateli.

Agresywną rusofobię uważał za wielkie zagrożenie interesów narodowych i przyczynę marginalizacji Polski w Europie.

W kolejnych tomach będą równie ciekawe teksty prof. Walickiego. Szykuje się więc długa uczta intelektualna.

Naszym Czytelnikom
i Przyjaciołom
życzymy Świąt z dużą,
choć jeszcze zdalną,
dawką serdeczności
i bliskim kontaktem
z budzącą się przyrodą,
Pamiętajmy o samotnych,
wesprzyjmy ich życzliwą pomocą.
Zespół „Przeglądu"

CYTATY

MAREK PIWOWSKI, reżyser
Film jest najszybciej starzejącą się dziedziną sztuki, nawet szybciej niż stara piosenka.
„Trybuna"

PROF. ANTONI DUDEK,
politolog, historyk z UKSW
Tusk skończył się w polskiej polityce. Przy życiu podtrzymuje go propaganda PiS.
„Polska The Times"

BĄKOWSKI

eprasa.pl ace2ed05c6

W NUMERZE

HISTORIA

8 **Historia nigdy nie jest czarno-biała**
Dlaczego ludzie Polski Podziemnej budowali PRL

KRAJ

14 **Plusy dodatnie i plusy ujemne**
Ranking ministrów spraw zagranicznych

20 **Polska fascynująca, bo zwykła i przeciętna**
– rozmowa z Brianem Porterem-Szűcsem

23 **Zabytki w ogniu**
Podpalenia w Zakopanem

26 **W marszu dobrze się myśli**
Ekstremalna Droga Krzyżowa

30 **Człowiek z ołtarza**
Niezwykłe życie Władysława Ślazyka

33 **Wóz w wodzie**
Jak się uratować z tonącego auta

34 **Staram się robić to, co potrafię najlepiej**
– rozmowa z prof. Henrykiem Skarżyńskim

38 **Dlaczego nie staliśmy się Kuwejtem**
Energia zmarnowanych szans

56 **Łowiectwo – zabójczy biznes**
– rozmowa z Adamem Zbyrytem

SYLWETKI

19 **15 lat bez Lema**
Cztery lata felietonów

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

40 **Klin na warsztacie**
Im wyższe zarobki, tym niższa danina

ZAGRANICA

42 **Pielgrzymi jeszcze poczekają**
Izrael zamknięty dla obcokrajowców

44 **Pytania graniczne**
Frontex coraz bardziej krytykowany

KULTURA

46 **W pandemii wszyscy tęsknimy za tym samym**
– rozmowa z Izabelą Chamczyk

49 **Qulturalia**

66 **4. Wiosenna Aukcja Sztuki**

SPORT

50 **Luksusowy kapitan biało-czerwonych**
Przypadki Roberta Lewandowskiego

OBSERWACJE

54 **Dekalog, jak sobie radzić ze zmęczeniem pandemią**

58 **Europejskie Drzewo Roku 2021**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Czytajmy Walickiego

13 **Jan Widacki**
Realna pandemia i pozorne państwo

29 **Andrzej Romanowski**
Pan Matula

37 **Roman Kurkiewicz**
Kto mu to powie, debile?

41 **Tomasz Jastrun**
Krople i skała

53 **Wojciech Kuczok**
Kultura niesforna

26
KRAJ

W MARSZU DOBRZE SIĘ MYŚLI
Ekstremalna Droga Krzyżowa

46
KULTURA

W PANDEMII WSZYSCY TĘSKNIMY ZA TYM SAMYM
– rozmowa z Izabelą Chamczyk

50
SPORT

LUKSUSOWY KAPITAN BIAŁO-CZERWONYCH
Przypadki Roberta Lewandowskiego

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

NA OKŁADCE: EUGENIUSZ KWIATKOWSKI, JAN RZEPECKI, JAN DOBRACZYŃSKI, LEOPOLD GLUCK, JAN ZACHWATOWICZ, ZBIGNIEW GERTYCH, JANUSZ ZABŁOCKI, ALEKSANDER GIEYSZTOR, JAN KAROL KOSTRZEWSKI, ANDRZEJ MUNK, STANISŁAW KULCZYŃSKI, EDMUND MĘCLEWSKI

FOT. DOMENA PUBLICZNA (2), PAP (7) EAST NEWS (2), NAC (2)

eprasa.pl ace2ed05c6

Mocne metaforyczne wyrazy

Każdy użytkownik języka wie, że jeśli ktoś nazwie kogoś debilem, nie oznacza to kwalifikacji psychiatrycznej, tylko stwierdzenie uszczuplonej pod jakimś względem sprawności umysłowej, tak jak nazwanie kogoś pasożytem nie znaczy, że ten ktoś żywi się czyimś ciałem. Co zaś do sprawności, to gdyby ktoś, będąc głową państwa, w rozmowie ze swoim partnerem o Unii Europejskiej żalił się, że cóż to za Unia, skoro on nie może kupić normalnej żarówki z drucikiem (nawiasem mówiąc, w internecie mnóstwo jest takich ofert), to czy nie mogłoby powstać domniemanie o takim uszczupleniu?

Ktoś w Galicji nazwał Najjaśniejszego Pana „starą pierdołą" i powołany w procesie na rzeczoznawcę prof. Nitsch oświadczył, że to taki „sympatyczny poczciwy staruszek", chroniąc w ten sposób oskarżonego przed więzieniem. W małżeństwach często padają wypowiedziane w irytacji słowa „ty debilu" i nie jest to zaproszeniem do rozwodu, tylko wezwaniem do opamiętania się.

Andrzej Lam

Nauczyciel jak stacja benzynowa

Byłam nauczycielką przez 20 lat. Szanuję niektórych, wszyscy na szacunek niestety nie zasługują. Mam dwoje dzieci na zdalnym, w dwóch różnych szkołach. Od razu widać, jakie w której szkole jest podejście do ucznia, a nawet zatroskanego o dziecko rodzica. Potrafię zrozumieć wypalenie u każdej ze stron, lekceważenia nie akceptuję. *Aga*

•

Wszyscy jesteśmy w czarnej d... I dzieci, i nauczyciele. Choćby taka lekcja biologii. I nauczycielka, która jest młodą mamą. Lekcja na żywo. Do pokoju wchodzi małe dziecko pragnące mamy. Ona z 29 uczniami. Zakłopotana, zestresowana. A lekcja to tylko 30 minut. Strasznie ciężkie czasy nas dopadły. Niby nikt nie strzela, nie wybuchają granaty, a walczymy o każdy dzień. O każdy oddech, robiąc uniki przed załamaniem nerwowym czy depresją. Mój syn ma cudownych nauczycieli. Dużo można zarzucić i im, i nam, ale po co? *Ela*

•

„Mamy być ostoją dla uczniów, mamy wspierać. Zawsze dostępni, mili i profesjonalni". A problemów każdy z nas ma sporo. Wystarczy odpowiedzieć nie takim tonem, nie tak, jak oczekuje druga strona (niejednokrotnie przy komputerze oprócz ucznia mamy szerszą widownię/słuchaczy) i telefon/Teams/Librus/dziennik płoną. *Krzysztof*

Czy zmiana przepisów ochroni pieszych na pasach?

Żadne przepisy nie pomogą, dopóki pieszy nie będzie odpowiedzialnie wkraczał na pasy. Czyli po przemyśleniu sytuacji na drodze. Bo inaczej będą pogrzeby usatysfakcjonowanych słusznością swojej decyzji zabitych na pasach. Każdy pieszy powinien mieć obowiązek znajomości przepisów ruchu drogowego i umiejętności przewidywania. Jak równość, to równość. To samo dotyczy rowerzystów. *Ewa Gojawiczyńska*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Brakuje już karetek dla osób z dolegliwościami innymi niż wywołane przez covid. Do nagłych przypadków wysyłane są helikoptery LPR. Nz. lądowanie śmigłowca w alei Krakowskiej w Raszynie, dokąd kobieta z podejrzeniem udaru mózgu została dowieziona prywatnym samochodem. 25 marca.

FOT. DARIUSZ BOROWICZ/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl ace2ed05c6

Prawie 490 zgłoszeń polskich patentów wpłynęło do Europejskiego Urzędu Patentowego w 2020 r. Mimo pandemii jest to wzrost o 4,3%. Najwięcej wynalazków dotyczy technologii komputerowych i biotechnologii.

Marek Jurkowicz, nestor dziennikarzy lewicowych, były redaktor naczelny „Płomieni", „Gazety Białostockiej" i zastępca redaktora naczelnego „Trybuny Ludu" oraz sekretarz Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy, ukończył 85 lat. *Ad Multos Annos*, Drogi Jubilacie.

Andrzej Skworz, twórca i redaktor naczelny magazynu „Press", 15 lutego obchodził 25-lecie wydania pierwszego numeru. Czytamy i gratulujemy.

6,72 mln zł musi zapłacić nowy właściciel obrazu Jacka Malczewskiego „Prządka". Płótno z 1922 r. wylicytował na aukcji w Domu Aukcyjnym Agra-Art w Warszawie.

Izabela Konopacka, wicedziekan Okręgowej Izby Radców Prawnych we Wrocławiu, została wiceprezydentem Federacji Adwokatur Europejskich (FBE). Jest pierwszą Polką w prezydium FBE, skupiającej około miliona prawników.

Przemysław Rosati, adwokat z Warszawy, został nowym prezesem Naczelnej Rady Adwokackiej.

Wartość branży KEP (kurier, ekspres, paczka) wzrosła w zeszłym roku o 2 mld zł, do 9 mld zł.

Instytut Prognoz i Analiz szacuje, że szara strefa w gospodarce sięgała w 2020 r. ok. 447 mld zł. To o 6,6% więcej niż rok wcześniej.

Tomasz Zdzikot, prezes Poczty Polskiej, spuszczony tam na spadochronie przez PiS, dla pracowników ma program redukcji zatrudnienia o ponad 7 tys. osób. Sam zarabia 49 tys. zł miesięcznie, czyli 588 tys. rocznie. Bez premii i nagród. Czy powstrzyma go wspólny protest ponad 20 związków działających w PP?

Monika Pawłowska, posłanka wybrana z listy Wiosny w okręgu chełmskim i pełniąca funkcję wiceprzewodniczącej Klubu Parlamentarnego Lewicy, **przeszła do Porozumienia Jarosława Gowina.** Pisaliśmy już o głupotach, jakie wygadywała w sprawie „wyklętych". Pasuje z nimi do dojnej zmiany. Kiedy oszuka jej wyborców?

W 2020 r. było 656 zabójstw, to o 125 więcej niż rok wcześniej.

Barbara Piotrowicz, prokurator z czteroletnim stażem, błyskawicznie awansowała do Podkarpackiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji w Rzeszowie. Cud? Nie! Ojciec. Sławny prawnik PiS, Stanisław Piotrowicz.

PRZEBŁYSKI

Huta Łabędy pod butem Solidarności

Co się dzieje w Hucie Łabędy? Jej właściciel to państwowy Węglokoks. A na końcu łańcucha pokarmowego jest Ministerstwo Aktywów Państwowych z Jackiem Sasinem w roli wisienki. Osławiony organizator niewyborów prezydenckich scedował zarządzanie Hutą Łabędy na tamtejszy związek NSZZ Solidarność. Niby w hucie jest zarząd, ale i tak rządzi Czesław Ryś, szef Solidarności. A przynajmniej próbuje. Naciska na zarząd, by jego (solidarnościowi) kandydaci dostali w zarządzanie kadry, płace i produkcję. Pozostałe związki Ryś traktuje z buta, choć rozumem i kwalifikacjami biją go o długość pieca hutniczego. Ustępowanie naciskom Rysia skończy się dla załogi katastrofą. Przecież nie takie firmy ciotka S potrafiła zaorać.

Szczerski i Czaputowicz w roli „dyplomatów"

Im większa niemota, tym uporczywiej czepia się państwowego cycka. Krzysztofowi Szczerskiemu z kancelarii Dudy robotę taką, jak lubi, czyli dużo zarobić, a nie narobić się, próbowali załatwić

największi spece od wciskania kitu. I nie dali rady. W całej Unii szlaban. Ale od czego są kolesie z dojnej zmiany? Szczerski wyżebrał sobie posadę ambasadora (stałego przedstawiciela RP) przy ONZ. I pojedzie tam w listopadzie. Albo i nie. Zobaczymy, czy podobna sztuka uda się Jackowi Czaputowiczowi. Kadrowy eksperyment Kaczyńskiego walczy z dyplomatą holenderskim o posadę oficjalnego wysłannika UE ds. Libii. Ależ ma tupet ten kompletnie nieudany wynalazek PiS! Nijak nie możemy pojąć, czym sobie ta biedna Libia zasłużyła na takie poniżające traktowanie.

Żydówka właścicielką kościoła

Taki numer to tylko nad Wisłą. Tygodnik „Nie" opisał historię jedynej na świecie Żydówki, która jest właścicielką kościoła katolickiego. Ann Drillich jest po rodzicach właścicielką działki w Tarnowie, na której ks. Aleksander Dychtoń, proboszcz parafii pw. Matki Bożej Szkaplerznej, postawił w latach 80. świątynię z parkingiem. Przekręt na żywca z udziałem miejscowego Polaka, który tak pojmował reprezentowanie interesów pani Drillich mieszkającej w Australii. Kuria tarnowska, choć przegrała procesy sądowe we wszystkich instancjach, ciągle udaje głupka. Nie chce zapłacić odszkodowania. Działki z kościołem (lub bez) też nie chce oddać.

Prezes bogaty i skromny

Ta firma to samograj. Automaty, gry liczbowe, loterie, kasyno internetowe. Totalizator Sportowy skubie graczy na wiele sposobów. Jest złotym sezamem dla kolejnych rządów. A dla dojnej zmiany szczególnie. Olgierd Cieślik, prezes Totalizatora Sportowego, chwali się, że w 2020 r. polski sport dostał rekordowe 827 mln zł. Piękna kwota. Ale przecież to tylko niewielki procent z zysku, na który złożyły się miliony graczy. Prezes Cieślik jest zbyt skromny. Albo sprytniejszy od prezesa Obajtka. Nie chwali się miliardami zysku. Ani posadami dla wiadomych ludzi polecanych przez rządzącą prawicę. Co akurat rozumiemy.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl ace2ed05c6

Książka PRZEGLĄDU!

Testament polityczny **Andrzeja Walickiego**

Najciekawsza wykładnia najnowszych dziejów i fenomenu Polski Ludowej. Totalitaryzm i antykomunizm, Solidarność, stan wojenny i Wojciech Jaruzelski.

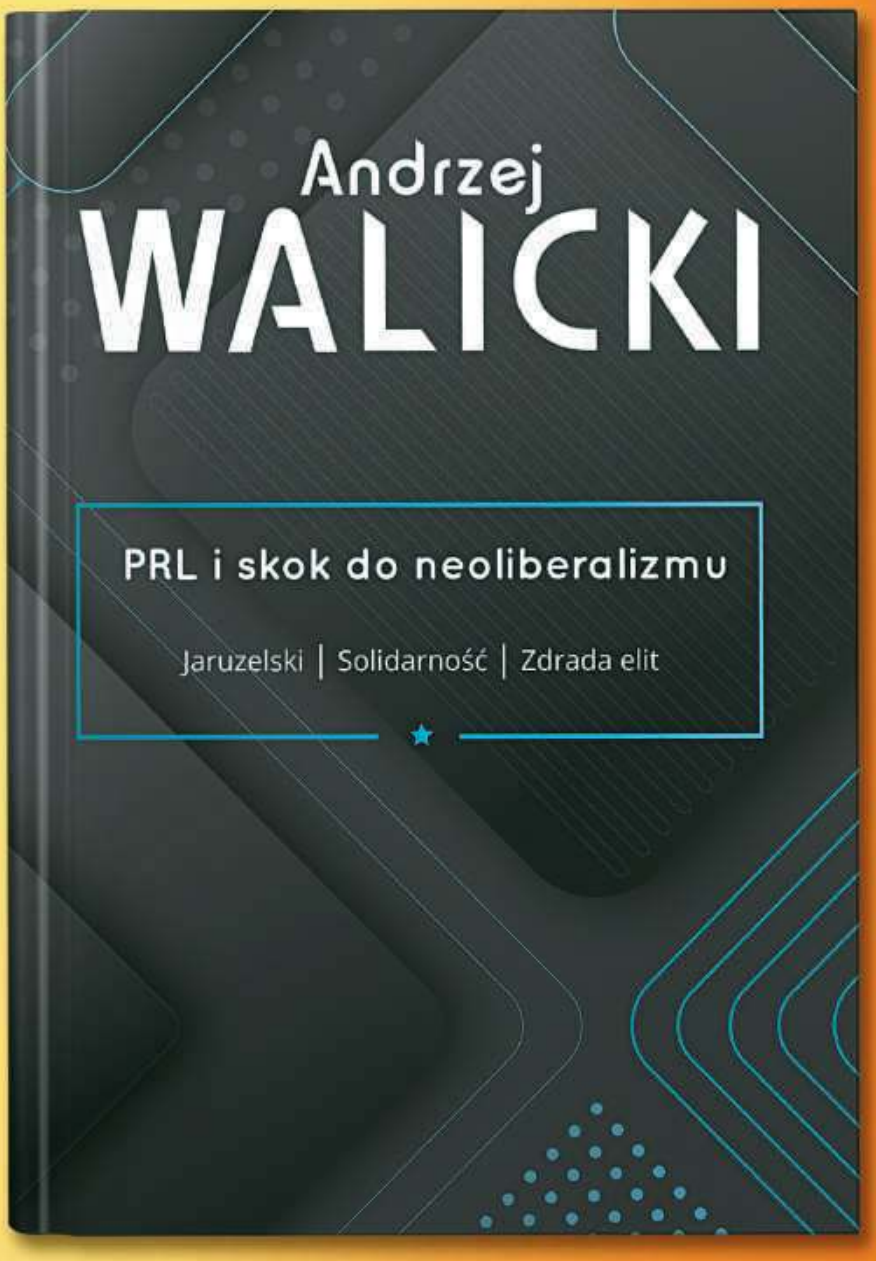

Andrzej czuł się zobowiązany do dokończenia pracy nad książką, którą traktował trochę jak postawienie kropki nad i w swoim dorobku publicystycznym oraz swój polityczny testament.

prof. Joanna Schiller-Walicka

Profesor pokazuje, że nie można zbudować obiektywnej oceny PRL za pomocą mitologizacji zasług opozycji politycznej i autogloryfikacji kombatantów, którzy stworzyli wygodną dla siebie wersję historii.

prof. Stanisław Bieleń

Wnikliwe, erudycyjne i krytyczne teksty jednego z największych polskich uczonych i intelektualistów przełomu XX i XXI w.

prof. Adam Chmielewski

I TOM

75 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 75 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl ace2ed05c6

HISTORIA NIGDY NIE JEST CZARNO-BIAŁA

Dlaczego ludzie Polski Podziemnej budowali PRL

Bohdan Piętka

Polityka historyczna lansowana w III RP przedstawia czarno-biały obraz państwa polskiego z lat 1944/1945-1989, odmawiając przy tym temu państwu polskości. Zgodnie z tą wizją środowiska Polski Podziemnej i II RP były w całości przeciw powojennej władzy – jako „żołnierze wyklęci" i ofiary terroru stalinowskiego. Posunięto się zresztą dalej – stworzono zupełnie nieprawdziwy obraz całego społeczeństwa zjednoczonego w oporze przeciw „narzuconemu systemowi", który miała legitymizować rzekomo garstka „zdrajców i agentów obcego mocarstwa".

Tymczasem historia nigdy nie jest czarno-biała. Przeważnie bywa skomplikowana i wielowątkowa. Komuniści nigdy by nie zbudowali nowego państwa, gdyby nie zaangażowanie kadr z II RP i uczestników konspiracji niepodległościowej z czasu wojny. Skoro różne środowiska, odległe od ideologicznego i politycznego oblicza powojennej władzy, włączyły się aktywnie w powojenną rzeczywistość, to znaczy, że widziały w niej także elementy pozytywne. Nie był to z ich strony wyłącznie realizm oparty na kalkulacji, że z silniejszym nie wygramy.

W ocenie tych ludzi i środowisk Polska pojałtańska musiała stwarzać warunki do przetrwania i rozwoju narodu w nowych realiach geopolitycznych. A skoro tak, to malowanie dziejów PRL jedynie czarną barwą i przypisywanie osobom zaangażowanym w tamten ustrój wyłącznie złych motywacji jest nieprawdą. Cała konstrukcja czarno-białego antykomunizmu, na której uformowano politykę historyczną III RP, jest wielkim fałszem.

Faktem jest, że wielu członków podziemia niepodległościowego z okresu okupacji niemieckiej, nawet tych, którzy po wojnie w działalności antykomunistycznej nie uczestniczyli i nie chcieli prowadzić walki zbrojnej z nową władzą, stało się ofiarami represji stalinowskich. Nie oznacza to jednak, że ich postawa była błędna i że ponieśli klęskę. Chodziło im bowiem nie o siebie, ale o naród, który musiał przetrwać w nowych warunkach geopolitycznych i ustrojowych. Trudna powojenna rzeczywistość przyniosła zagrożenia związane z autorytarnym charakterem nowego ustroju (w okresie stalinizmu zbliżonym do totalitarnego) i wynikającym stąd łamaniem praw obywatelskich oraz ograniczoną suwerennością państwa. Z drugiej strony zaszły wtedy doniosłe zmiany, które nie byłyby możliwe w innej niż pojałtańska konstelacji geopolitycznej i które były wcześniej marzeniem wielu środowisk niekomunistycznych, takie jak powrót na ziemie piastowskie czy reformy umożliwiające awans społeczny warstw wykluczonych.

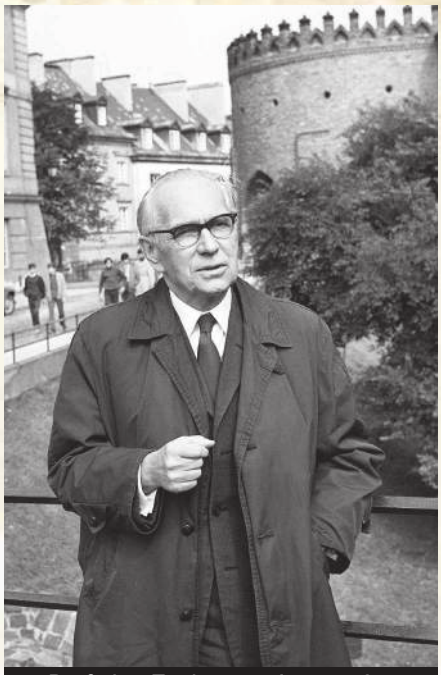

Prof. Jan Zachwatowicz, 1972 r.

Prof. Jan Zachwatowicz, który w Delegaturze Rządu na Kraj przygotowywał powojenne plany prac konserwatorskich, został generalnym konserwatorem zabytków.

Dlatego wielu niekomunistów postanowiło podjąć wyzwanie i włączyć się w powojenną odbudowę kraju, w jego życie gospodarcze, naukowe, kulturalne, a nawet polityczne. Nie po to, żeby budować komunizm, ale by wesprzeć te powojenne przemiany, które postrzegali jako zgodne z polską racją stanu lub oczekiwaniami społeczeństwa.

Ziemie Odzyskane ważniejsze niż ustrój

Jednym z pierwszych środowisk niekomunistycznych, które przyjęły taki punkt widzenia, była Organizacja Ziem Zachodnich „Ojczyzna", zrzeszająca podczas okupacji niemieckiej środowiska katolicko-narodowe w Wielkopolsce. 15 lipca 1945 r. – w rocznicę bitwy pod Grunwaldem – kierownictwo „Ojczyzny" podjęło decyzję o rozwiązaniu się, wyjściu z konspiracji i zaangażowaniu w legalną pracę na rzecz powrotu Polski nad Odrę i Bałtyk. Tak postanowiła Rada Polityczna „Ojczyzny" w składzie: dr Zdzisław Jaroszewski, Maria Kiełczewska, Juliusz Kolipiński, ks. Karol Milik, Jan Jacek Nikisch, ks. Maksymilian Rode, Kirył Sosnowski, Stanisław Tabaczyński, Alojzy Targ i prof. Zygmunt Wojciechowski. Pomimo obcości ideologicznej nowej władzy uznali oni, że kwestia powrotu Polski na Ziemie Zachodnie i Północne jest ważniejsza od stosunku do powojennego

eprasa.pl ace2ed05c6

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Mój najbardziej udany żart primaaprilisowy to...

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ,
satyryk, poeta i piosenkarz

To był rok 1976 albo 1977. Mieliśmy koleżankę, którą naprawdę lubiliśmy, a która dosyć biedowała i cały czas płakała, że ma fatalnie pomalowaną kuchnię. 1 kwietnia wpadłem do niej do pracy, żeby mi pożyczyła klucze od swojego domu, bo coś w nim zostawiłem. Następnie polecieliśmy z kolegą i w siedem godzin pomalowaliśmy tę kuchnię od sufitu do podłogi, wszystko ponownie zmontowaliśmy i jeszcze zdążyłem oddać klucze. Koleżanka nie była w stanie wyjść z podziwu, jak to się stało, że ktoś jej pomalował kuchnię, kiedy ona była w pracy.

MICHAŁ MARSZAŁ,
tygodnik „Nie"

Przez wiele lat za punkt honoru stawiałem sobie zrobienie 1 kwietnia w konia naszych Czytelników, a jeszcze lepiej także osób z pierwszych stron gazet. Znaczące osiągnięcie na tym polu odniosłem w 2011 r. W całkowicie zmyślonym tekście opisałem, jak jako pracownik warszawskiego MPO podprowadziłem worek ze śmieciami spod domu Jarosława Kaczyńskiego, a następnie na tej podstawie dokonałem analizy osobowości prezesa. Kilka dni później Jacek Żakowski i Tomasz Lis spierali się w TOK FM, czy takie zachowanie to przekroczenie dziennikarskich granic. Największy sukces przyniósł mi zaś rok 2013. Pół Polski wkręciło się w to, że podsłuchałem Donalda Tuska i wielu ówczesnych prominentów podczas meczu piłki kopanej Polska-Ukraina. Rozmowy były bardzo wiarygodne – bo wulgarne. Dzień później rzecznik rządu Paweł Graś wydał oficjalne dementi, a ja przestałem odbierać telefony i zacząłem się ukrywać. Skończyło się na szczęście bez wizyty panów z alfabetem na plecach, a jedynie na przegranym procesie z Tuskiem i konieczności pokajania się na naszych łamach. Sąd uznał, że zmyślać w prima aprilis można, ale wkładać w usta wulgaryzmów już nie. Rok temu odbyłem z byłym premierem krótką pogawędkę na Twitterze i podszedł do tego wydarzenia z przeszłości z zadziwiająco dużym dystansem. Obaj uznaliśmy, że to był pyszny żart i dzisiaj już takich nie robią. Od czasu tamtego sukcesu powietrze zeszło zarówno ze mnie, jak i chyba niestety z długiej dziennikarskiej tradycji. Dziś prima aprilis już nie obchodzę, przez co z kalendarza wypadło mi jedyne święto. Redaktora PRZEGLĄDU, który do mnie zadzwonił, chciałem jednak początkowo zrobić w konia. Ale zlitowałem się nad człowiekiem.

MARTA PODOBAS,
Klub Komediowy

Primaaprilisowy żart, który rozłożył mnie na łopatki, wykręciła dwa lata temu para moich znajomych. Z natury jestem dość podejrzliwa i ciężko mnie zaskoczyć, natomiast ten jeden raz dałam się nabrać. Wspomniani znajomi opublikowali w mediach społecznościowych zdjęcie, na którym cali w skowronkach trzymali charakterystyczny wydruk z badania USG. Rozdzwoniły się telefony od rodziny i przyjaciół, zaczęły się spekulacje na temat terminu porodu i płci dziecka oraz dyskusje o tym, czy na *baby shower* wypada pić prosecco. Po całym dniu trzymania wszystkich w niepewności okazało się, że wydruk, owszem, jest autentyczny, natomiast widnieje na nim zdrowe kolano. Zgodnie z typowaniami powinno teraz się nazywać Laura lub Jakub.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl ace2ed05c6

ustroju. Jest wymogiem polskiej racji stanu, ponieważ historia stworzyła Polsce niepowtarzalną szansę przekreślenia po 700 latach niemieckiego *Drang nach Osten*.

Działacze „Ojczyzny" objęli wiele stanowisk w Ministerstwie Ziem Odzyskanych, Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Polskim Związku Zachodnim, mediach, ruchu wydawniczym oraz szkolnictwie wyższym i średnim. Byli to: Władysław Czajkowski – podczas wojny dyrektor Biura Zachodniego Delegatury Rządu na Kraj, w latach 1945-1947 wiceminister w Ministerstwie Ziem Odzyskanych; Leopold Gluck – dyrektor departamentu ekonomiczno-socjalnego MZO, a po śmierci Czajkowskiego wiceminister w MZO; Edmund Męclewski – podczas wojny współpracownik Delegatury Rządu na Kraj, w MZO dyrektor biura komitetu ds. zagranicznych; Edward Quirini – dyrektor departamentu administracji publicznej w MZO; Józef Guranowski, Tadeusz Kołodziej, Wiktor Leśniewski i inni. W 1949 r., na fali narastającego stalinizmu, kierowane przez Władysława Gomułkę Ministerstwo Ziem Odzyskanych zostało zlikwidowane. Nie przekreśla to jednak jego ogromnych dokonań ani sensu politycznego wyboru środowiska „Ojczyzny".

Powrót Polski na Ziemie Odzyskane wymagał przywrócenia dawnych nazw miejscowości lub nadania nowych. Dokonano tego w błyskawicznym tempie, głównie dzięki zaangażowaniu poznańskiego środowiska naukowego – przed wojną sympatyzującego w większości ze Stronnictwem Narodowym. Jego przedstawiciele mieli pełną świadomość, że ich praca musi odbyć się legalnie, tzn. opierając się na strukturach państwa rządzonego przez PPR. Dla prof. Mikołaja Rudnickiego i jego współpracowników z Instytutu Zachodniego było jednak oczywiste, że na ich oczach odwraca się karta historii i nie można tego zaprzepaścić z powodu animozji politycznych.

Nie ma Polski bez morza i nauki

Podobną postawę przyjęli prof. Stanisław Kulczyński, przedwojenny wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski i prof. Jan Kostrzewski. Stanisław Kulczyński – przed wojną rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie

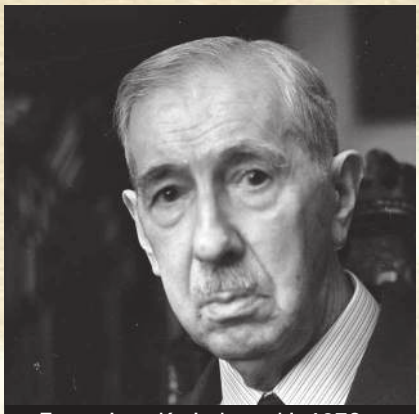

Eugeniusz Kwiatkowski, 1972 r.

Eugeniusz Kwiatkowski, jeden z najbliższych współpracowników Piłsudskiego, podjął współpracę z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej w odbudowie gospodarki morskiej.

i współtwórca Stronnictwa Demokratycznego – był podczas okupacji niemieckiej delegatem rządu RP na obszar lwowski. W 1945 r. otrzymał propozycję podjęcia pracy naukowej na Zachodzie. Przyjechał jednak do Wrocławia, by w ruinach tego miasta rozpocząć odbudowę uniwersytetu i politechniki oraz Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W 1952 r. został wicemarszałkiem Sejmu I kadencji, a w latach 1956-1969 był zastępcą przewodniczącego Rady Państwa PRL. Położył też znaczące zasługi dla zintegrowania z Polską Ziem Odzyskanych jako przewodniczący Rady Naczelnej Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich.

Eugeniusz Kwiatkowski – jeden z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego – powrócił do Polski z wojennej emigracji 8 lipca 1945 r. i podjął współpracę z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej w dziedzinie odbudowy gospodarki morskiej. 12 września 1945 r. został powołany na szefa Delegatury Rządu ds. Wybrzeża. Współpraca ta zakończyła się w połowie 1948 r. z powodu narastającego stalinizmu, co nie przekreśla ani wyboru Kwiatkowskiego, ani jego zasług w odbudowie głównych miast portowych powojennej Polski.

Zbigniew Gertych – żołnierz Samodzielnego Batalionu Partyzanckiego „Skała" – został profesorem i wicepremierem w rządzie Zbigniewa Messnera.

Zbigniew Gertych

Jan Kostrzewski podczas okupacji niemieckiej należał do AK i prawicowego Związku Odbudowy Rzeczypospolitej. Uczestniczył w powstaniu warszawskim, a po jego upadku był więźniem obozu jenieckiego w Lamsdorf. W 1945 r. wrócił do kraju, stał się światowej sławy lekarzem epidemiologiem oraz twórcą polskiej szkoły epidemiologii. Od 1951 do 1978 r. kierował Zakładem Epidemiologii Państwowego Zakładu Higieny. W 1961 r. jako bezpartyjny objął stanowisko wiceministra zdrowia i opieki społecznej oraz głównego inspektora sanitarnego, a w latach 1968-1972 był ministrem zdrowia i opieki społecznej. Natomiast w latach 1984-1989 pełnił funkcję prezesa Polskiej Akademii Nauk. Największe zasługi Kostrzewski położył w 1963 r., kiedy w brawurowy sposób kierował likwidacją epidemii ospy prawdziwej we Wrocławiu. Należał też do głównych organizatorów systemu szczepień ochronnych w PRL i był jednym z inicjatorów światowego programu szczepień przeciw ospie prawdziwej, błonicy, gruźlicy, krztuścowi, odrze, poliomyelitis i tężcowi. Postać prof. Kostrzewskiego stanowi wymowny dowód na to, że historia PRL jest skomplikowana w stopniu przekraczającym wszelkie wyobrażenia animatorów obecnej polityki historycznej.

eprasa.pl ace2ed05c6

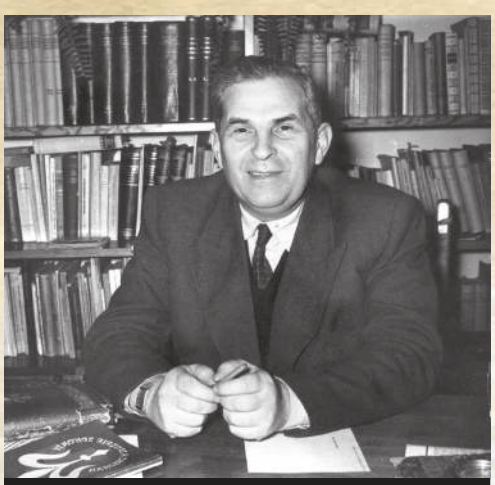
Aleksander Kamiński, 1957 r.

Przewodniczącym Naczelnej Rady Harcerskiej ZHP był Aleksander Kamiński – w okresie okupacji m.in. szef Biura Informacji i Propagandy Okręgu Warszawa AK.

Stanisław Kulczyński – delegat rządu RP na obszar lwowski – we Wrocławiu rozpoczął odbudowę Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Stanisław Kulczyński, 1948 r.

Drogą Realpolitik

Najbardziej znanym konspiratorem Polski Podziemnej współtworzącym po 1945 r. nową rzeczywistość był Józef Cyrankiewicz – „wieczny premier" PRL (1947-1952, 1954-1970). Podczas okupacji niemieckiej komendant Gwardii Ludowej PPS-WRN w okręgu krakowskim i zaprzysiężony oficer ZWZ, przed aresztowaniem przez gestapo w kwietniu 1941 r. typowany na zastępcę delegata rządu na kraj z ramienia PPS-WRN. Jako więzień KL Auschwitz i KL Mauthausen zapisał piękną kartę w konspiracji obozowej. Po powrocie do kraju w 1945 r. dokonał wyboru, który wielu zaskoczył. Wszedł do władz współpracującej z komunistami PPS i rozpoczął karierę polityczną w nowej rzeczywistości. Ten krok i działalność polityczna Cyrankiewicza w PRL ściągnęły na niego falę ataków jeszcze za życia, zwielokrotnioną po 1989 r. Ataków niezwykle brutalnych, w których oszczerczo dyskredytowano zwłaszcza jego przeszłość obozową. To pokazuje, że antykomuniści nie mogli mu wybaczyć tego wyboru, u podłoża którego leżała najprawdopodobniej *Realpolitik* – przekonanie, że naród polski nie może ryzykować kolejnego powstania warszawskiego i kolejnego Auschwitz.

W budowę powojennej Polski włączyło się również środowisko Stowarzyszenia PAX, którego historia dzisiaj jest spłycana do nacjonalistycznej przybudówki PZPR. Warto wspomnieć chociażby pisarza Jana Dobraczyńskiego – przedwojennego działacza i publicystę endeckiego, uczestnika kampanii wrześniowej i powstania warszawskiego, żołnierza Narodowej Organizacji Wojskowej i AK, współpracownika Żegoty, jednego ze Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Obecnie postaci ocenianej przez prawicową politykę historyczną wyłącznie przez pryzmat zaangażowania w tworzenie Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego podczas stanu wojennego.

Członkami Rady Państwa PRL byli dwaj pierwsi prezesi Zarządu Głównego Stowarzyszenia PAX – Bolesław Piasecki i Ryszard Reiff. Trzeci prezes, Zenon Komender, był zastępcą przewodniczącego Rady Państwa i wicepremierem. Wszyscy trzej podczas wojny byli w Armii Krajowej.

Weteranów AK nie zabrakło wśród posłów działającego w latach 1957-1976 Koła Poselskiego Znak. Byli to Wacław Auleytner – w 1956 r. współzałożyciel Klubów Inteligencji Katolickiej, Antoni Gładysz, Stefan Kisielewski, Konstanty Łubieński i Janusz Zabłocki. Ich nastawienie do PRL było krytyczne, ale była to krytyka konstruktywna, niewykraczająca poza to, co uważali za polską rację stanu.

Przykładem tego, jak skomplikowana była historia Polski po 1945 r., są powojenne losy żołnierzy Samodzielnego Batalionu Partyzanckiego „Skała" Kedywu Okręgu Kraków AK. Wielu z nich, w tym dowódca batalionu, było po wojnie represjonowanych i więzionych. Wielu jednakże zajęło ważne miejsce w życiu społecznym. Byli to m.in.: Zbigniew Gertych – profesor ekonomii i wicepremier w rządzie Zbigniewa Messnera, Władysław Dudek, Zygmunt Kawecki, Władysław Ptak i Wiesław Zapałowicz – profesorowie AGH, prof. Lech Michał Rościszewski – architekt z Politechniki Śląskiej, prof. Jerzy Schroeder – chemik z Politechniki Wrocławskiej, Józef Fiszer – dyrektor Instytutu Inżynierii i Gospodarki Wodnej Politechniki Krakowskiej, Ryszard Świętanowski – prawnik, dyplomata PRL i wicedyrektor gabinetu Prezesa Rady Ministrów.

Podobna kariera stała się udziałem Czesława Piotrowskiego – w czasie wojny żołnierza 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. W PRL jako zawodowy oficer doszedł do stopnia generała dywizji, był też ministrem górnictwa i energetyki w rządach Wojciecha Jaruzelskiego i Zbigniewa Messnera oraz ambasadorem w Jugosławii.

Oni odbudowywali kraj

Ludzie podziemia z okresu okupacji włączyli się aktywnie w różne dziedziny życia w powojennej Polsce. Jednym z obszarów ich działania była odbudowa kraju. Również tutaj – tak jak w przypadku repolonizacji i integracji z Polską Ziem Odzyskanych – dla realistów nie mogło być dyskusji, czy należy podejmować współpracę z nową władzą. Odbudowa była bowiem narodową racją stanu. Dlatego w 1945 r. pracę w Wydziale Architektury Zabytkowej Biura Odbudowy Stolicy podjął prof. Jan Zachwatowicz, który podczas okupacji niemieckiej przygotowywał w Delegaturze Rządu na Kraj powojenne plany prac konserwatorskich. Od 1945 do 1951 r. był on jednocześnie

eprasa.pl ace2ed05c6

generalnym konserwatorem zabytków. Zachwatowicz przekonał powojenne władze polityczne, że w przypadku zniszczonych w czasie wojny zabytków dopuszczalna jest wyjątkowo pełna ich rekonstrukcja.

W BOS pracowała też jako kierownik pracowni Cezaria Iljin-Szymańska – żołnierka Zgrupowania „Radosław" podczas powstania warszawskiego. Podobną postacią była Helena Kurcyusz – żołnierka AK, więźniarka Majdanka i Ravensbrück, prywatnie szwagierka płk. Tadeusza Kurcyusza, komendanta głównego NSZ, a po scaleniu ich części z AK w 1944 r. oficera Komendy Głównej AK. Helena Kurcyusz, wracając do Polski, zatrzymała się w Szczecinie i tam osiedliła. Podjęła pracę w Wydziale Budownictwa Urzędu Miejskiego, następnie została głównym urbanistą województwa szczecińskiego. Jej zasługą była inwentaryzacja i odbudowa wielu zabytków Szczecina, w tym Zamku Książąt Pomorskich, odkrycie krypt z sarkofagami książąt pomorskich, a także opracowanie planów urbanistycznych dla 71 miast województwa szczecińskiego.

Mówiąc o odbudowie kraju, nie sposób nie wspomnieć postaci prof. Aleksandra Gieysztora – szefa wydziału informacji w Biurze Informacji i Propagandy KG AK, uczestnika powstania warszawskiego, szefa BIP Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj oraz Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. W PRL położył ogromne zasługi przy odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie jako członek Obywatelskiego Komitetu Odbudowy, a także przy rewitalizacji Zamościa jako członek Prezydium Społecznego Komitetu Odnowy Starego Miasta Zamościa. Nie znaczy to, że nie miał zastrzeżeń do władzy – podpisał List 34 z 1964 r. i Apel 64 z 20 sierpnia 1980 r. w sprawie podjęcia przez władze dialogu ze strajkującymi robotnikami.

Twórcy kultury i sportu

Byłych żołnierzy AK nie zabrakło wśród reżyserów tworzących w PRL polską szkołę filmową. Byli to Stanisław Lenartowicz (żołnierz 7. Wileńskiej Brygady AK i więzień radzieckiego obozu pracy w Kałudze), Jerzy Zarzycki (pracownik referatu filmowego Biura Informacji i Propagandy KG AK, twórca kronik filmowych z powstania warszawskiego), Andrzej Munk (żołnierz scalonej z AK Gwardii Ludowej PPS-WRN, uczestnik powstania warszawskiego) i Tadeusz Konwicki (żołnierz 8. Oszmiańskiej Brygady AK). Spośród literatów z akowską przeszłością warto wymienić choćby Jerzego Andrzejewskiego, Romana Bratnego i Annę Świrszczyńską. Nieco zapomnianych, ponieważ ich spojrzenie na dzieje swojego pokolenia nie pasuje do obecnej polityki historycznej.

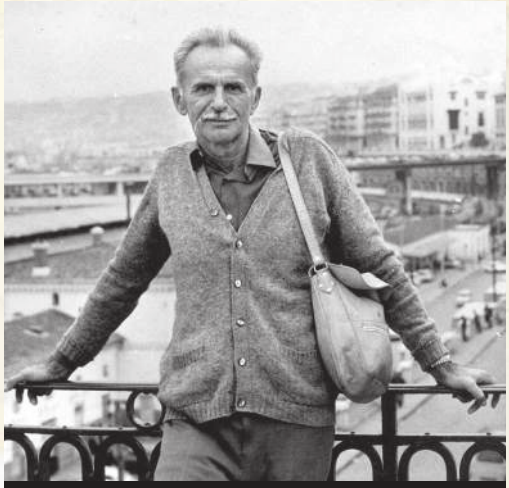

Trener Jan Mulak, 1973 r.

Jan Mulak, podczas wojny kierownik Wydziału Wojskowego Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, stworzył polski lekkoatletyczny Wunderteam.

Jan Mulak podczas wojny był kierownikiem Wydziału Wojskowego Robotniczej Partii Polskich Socjalistów i uczestnikiem powstania warszawskiego, a po wojnie szefem Wydziału Prasy i Propagandy CKW PPS. W 1948 r., na fali czystki w szeregach PPS poprzedzającej scalenie z PPR, został usunięty z funkcji partyjnych. Od 1950 r. poświęcił się pracy na rzecz lekkiej atletyki i stał twórcą polskiego Wunderteamu lekkoatletycznego lat 50. i 60.

Po przełomie październikowym 1956 r. reaktywowano zlikwidowany w 1949 r. Związek Harcerstwa Polskiego. Przewodniczącym Naczelnej Rady Harcerskiej ZHP został pedagog i pisarz Aleksander Kamiński – w okresie okupacji m.in. szef Biura Informacji i Propagandy Okręgu Warszawa AK i członek Głównej Kwatery Szarych Szeregów. Na stanowisku przewodniczącego NRH ZHP funkcjonował tylko półtora roku i ustąpił pod wpływem sił, które zmierzały do podporządkowania ideologicznego odrodzonego harcerstwa PZPR. Jednym z jego oponentów był Jacek Kuroń – późniejszy lider opozycji demokratycznej w PRL, a wtedy współorganizator Hufca Walterowskiego, który odcinał się od tradycji przedwojennego harcerstwa i nawiązywał do wzorców radzieckich. Taka była historia PRL – bynajmniej nie czarno-biała.

Po Październiku 1956 r. weteranów AK przyjmowano do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. W skład zarządu głównego i rady naczelnej tej organizacji wszedł płk Jan Rzepecki – szef Biura Informacji i Propagandy KG AK, Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, założyciel i pierwszy prezes Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, więzień polityczny okresu stalinowskiego. Rzepecki do pierwszego aresztowania w listopadzie 1945 r. pozostawał w konspiracji. Trudno jednak współcześnie znaleźć o nim jakieś wzmianki przy okazji obchodzonego 1 marca dnia pamięci „żołnierzy wyklętych". Dlaczego? Dlatego, że jego postać nie pasuje do kanonów polityki historycznej IPN, ponieważ 22 kwietnia 1947 r. wygłosił odczyt „Wyjdź z podziemia – buduj Polskę", a po 1956 r. współpracował z władzami. Owocem tej współpracy stał się m.in. pomnik Bohaterów Warszawy, odsłonięty 20 lipca 1964 r.

Na historię Polski Ludowej trzeba patrzeć w sposób wyważony. Tworzyły ją nie tylko PZPR (a i ta nie była monolitem) i aparat represji – jak by tego chciała narracja IPN – ale też ludzie rozumiejący, że nie było wtedy innej możliwości kontynuacji polskiej państwowości. Ci niewątpliwi patrioci, dzisiaj usuwani w cień jako niepasujący do prawicowej polityki historycznej, włączyli się w różne formy życia gospodarczego, kulturalnego, naukowego, a nawet politycznego, nie w imię budowy socjalizmu, ale dla zachowania możliwie polskiego charakteru tego państwa i egzystencji narodu. To im się udało.

Bohdan Piętka

FOT. PAP (5), NAC

eprasa.pl ace2ed05c6

Z Galicji

Jan Widacki

Realna pandemia i pozorne państwo

Do zatrzymania pandemii konieczne są rozliczne ograniczenia narzucone przez rząd, a z drugiej strony potrzebna jest dyscyplina społeczna. Są ludzie z natury odrzucający wszelkie zakazy i obowiązujące w społeczeństwie normy. Dawniej nazywano ich psychopatami. Dziś, aby nikogo nie urazić, mówi się o nich delikatniej: że są „aspołeczni" lub, mocniej, „antyspołeczni". Stanowią oni, jak wynika z badań, jedynie ok. 7% populacji. Z nimi trudno. Masek nie będą nosić albo będą demonstracyjnie nosić je na brodzie, chyba że sami się wystraszą, że się zarażą. Ale tu kolejny problem. Psychopaci cierpią na ogół na deficyt lęku, więc z przyczyn patologicznych są tacy odważni. Do nich nie trafiają żadne nakazy ani zakazy.

Poza tym obywatele widzą, jak te zarządzenia respektują przedstawiciele najwyższych władz. A to wizyta prezesa z dworem na zamkniętym dla innych cmentarzu, a to wizyta ministra u chorej babci w zamkniętym dla innych szpitalu, a to szalejąca na zamkniętym stoku była wicepremier z potomstwem. A to znów prezydent, który prosi wicepremiera, by mu stoku nie zamykał, bo on tak lubi sobie pojeździć…

Mogą oni, mogę i ja, myśli sobie Kowalski. A na marginesie – wszystkie te zakazy, nawet najbardziej słuszne i pożyteczne, są niestety bezprawne. Rząd, ze względów politycznych i ekonomicznych, nie ogłosił stanu klęski żywiołowej (co mógł i powinien zrobić) i teraz

Jednak przepisów sanitarnych nie przestrzega znacznie większy procent Polaków. Dlaczego? Z bardzo różnych powodów. Niektórzy z chciwości. Przestrzeganie rygorów sanitarnych zmniejszałoby ich zarobki. Tak jest w przypadku większości kościołów. Mniej wiernych na mszy – taca mniejsza. No to księża nie ograniczają liczby wiernych, czasem przymykają oko, udają, że nie widzą, ilu pobożnych ludzi wcisnęło się do kościoła, że nie odróżniają 5 m kw. od 15. Czasem krytykują zarządzenia z pozycji pseudoteologicznych, racjonalizując sobie chciwość, którą przesłaniają Panem Bogiem.

Niektórzy nie respektują zarządzeń z bezmyślności i lenistwa, czynią przy tym pozory, że coś w tej sprawie robią. Pewien prezes sądu okręgowego sprawę odfajkował, wydając zarządzenie, że do budynku sądu są wpuszczane tylko osoby, które mają wezwanie, i to jedynie na 10 minut przed rozprawą. Pomijam już, że tym zarządzeniem prezes sądu, a więc sędzia, który teoretycznie powinien znać się na prawie, wyłączył konstytucyjną zasadę jawności rozpraw („każdy ma prawo do sprawiedliwego i jawnego rozpatrzenia sprawy", głosi art. 45 konstytucji) i stosowne przepisy Kodeksu postępowania karnego. Przed wejściem do sądu tłoczą się więc świadkowie, adwokaci, czekając na swoje 10 minut. W sądzie rozprawa: na 25 m kw. sali rozpraw sędzia, protokolantka, pokrzywdzona z rodzicami i pełnomocnikiem, obrońcy, oskarżony i policyjny konwój. Ale prezes zarządzenie wydał. Już ma z głowy. Już nie wpuścił koronawirusa do budynku sądu.

Jeszcze inni zarządzeń sanitarnych nie respektują, bo te z jednej strony utrudniają im życie, ale z drugiej są zupełnie absurdalne. Tak jak pamiętny ubiegłoroczny zakaz wstępu do lasów, ale tylko państwowych. Widząc absurdalność niektórych zarządzeń, ludzie przestają respektować nawet te, które absurdalne prawdopodobnie nie są. rozporządzeniami wyłącza postanowienia konstytucji. Przeciętny Kowalski może tego całego mechanizmu nie rozumieć, ale wie, że w razie czego za złamanie zakazów nic mu się nie stanie, bo koniec końców sąd będzie musiał uznać, że złamany zakaz był bezprawny. Za jego złamanie zatem karać nie można.

Od soboty obowiązują (tak z przymrużeniem oka obowiązują, bo zostały wydane bez należytej podstawy prawnej) nowe obostrzenia. Faktycznie pandemia bije rekordy. Dziennie stwierdza się po 30 tys. nowych zakażeń koronawirusem. Zamknięte będą np. zakłady fryzjerskie, przedszkola i żłobki. Nie wiem, czy ma to rzeczywiście ograniczyć liczbę zakażeń, czy tylko wykazać, że coś się robi. Nie wiem, czy rząd dysponuje danymi, w jakich miejscach i w jakich okolicznościach dochodzi do największej liczby zakażeń. Czy rzeczywiście koronawirusa najbardziej roznoszą dzieci ze żłobków, przedszkolaki oraz fryzjerzy i kosmetyczki, czy może do największej liczby zakażeń dochodzi w zupełnie innych okolicznościach i zupełnie co innego trzeba by zamknąć? Wydaje się to łatwe do zbadania. Czy ktoś to w ogóle badał? Bada? A jeśli tak, to czy rząd zna wyniki tych badań? Czy to na ich podstawie wybiera obiekty do zamknięcia, czy opiera się na zupełnie innych kryteriach? A jeśli zna wyniki takich badań, to dlaczego nie przekazuje ich do wiadomości publicznej? Gdyby ludzie wiedzieli, w jakich miejscach i okolicznościach najłatwiej się zarazić, toby tych miejsc i sytuacji sami unikali.

Obawiam się, że temu nieszczęściu, jakim niewątpliwie jest pandemia, przeciwstawia się działania pozorne. Rząd udaje, że coś robi, Kościół udaje, że coś robi, prezes sądu (i szefowie dziesiątek innych instytucji) udaje, że coś robi, Kowalski udaje, że coś robi. Tylko pandemia nie jest pozorna, lecz jak najbardziej realna.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ace2ed05c6

Plusy dodatnie i plusy ujemne

Ranking ministrów spraw zagranicznych

Andrzej Kowalski, Jerzy J. Wiśniewski

Autorzy artykułu, dawni i obecni pracownicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych w centrali i na placówkach, byli regularnie oceniani, według różnych kryteriów, przez ministrów, dyrektorów departamentów, ambasadorów czy innych bezpośrednich przełożonych. Teraz postanowili ocenić swoich najwyższych szefów, czyli ministrów. – Wybraliśmy, arbitralnie, kryteria oceny ministrów. Arbitralnie, bo przecież ani dyrektor generalny służby zagranicznej, ani dyrektor Biura Spraw Osobowych też z nami nie uzgadniali kryteriów, według których byliśmy oceniani – mówią. Oto ich ranking ministrów spraw zagranicznych.

Dla przypomnienia wymieniamy wszystkich naszych byłych szefów po 1989 r.:

1989-1993	Krzysztof Skubiszewski
1993-1995	Andrzej Olechowski
1995 i 2000-2001	Władysław Bartoszewski
1995-1997	Dariusz Rosati
1997-2000	Bronisław Geremek
2001-2005	Włodzimierz Cimoszewicz
2005	Adam Daniel Rotfeld
2005-2006	Stefan Meller
2006-2007	Anna Fotyga
2007-2014	Radosław Sikorski
2014-2015	Grzegorz Schetyna
2015-2018	Witold Waszczykowski
2018-2020	Jacek Czaputowicz
2020-2021	Zbigniew Rau

Kryteria przez nas wybrane to:

1. Pozycja Polski w Europie i na świecie.
2. Pozycja ministra w polityce wewnętrznej.
3. Pozycja ministra na arenie międzynarodowej.
4. Modernizacja MSZ (infrastruktura, płace, stosunek do podwładnych, znajomość ministerstwa).

Oceny pracowników czy komórek merytorycznych (departamentów, biur lub placówek zagranicznych ministerstwa) to:

- znacznie poniżej oczekiwań,
- poniżej oczekiwań,
- zgodnie z oczekiwaniami,
- powyżej oczekiwań,
- znacznie powyżej oczekiwań.

Nasza skala będzie miała większą rozpiętość, od 1 (najgorsza ocena) do 10 (najwyższa). Maksymalna ocena to zatem 40 pkt. Ze względu na krótki niestety okres pracy ministra Adama Daniela Rotfelda postanowiliśmy kadencje jego i Włodzimierza Cimoszewicza potraktować razem.

	Pozycja Polski w Europie i na świecie	Pozycja ministra w polityce wewnętrznej	Pozycja ministra na antenie międzynarodowej	Modernizacja MSZ (infrastruktura, płace, stosunki międzyludzkie)
Krzysztof Skubiszewski	6	7	7	4
Andrzej Olechowski	7	7	8	8
Władysław Bartoszewski	7	6	8	5
Dariusz Rosati	7	6	7	5
Bronisław Geremek	8	7	9	5
Włodzimierz Cimoszewicz i Adam Daniel Rotfeld	8	7	8	5
Stefan Meller	8	5	5	5
Anna Fotyga	7	6	2	2
Radosław Sikorski	8	7	7	6
Grzegorz Schetyna	8	7	5	4
Witold Waszczykowski	7	4	5	5
Jacek Czaputowicz	6	3	4	4
Zbigniew Rau	5	4	3	3

Zbigniew Rau – 15 pkt

Nie miał, nie ma i nie będzie miał wpływu na nic. Ani na pozycję Polski na świecie, ani na własną. Zostanie zapamiętany jako minister, za czasów którego uchwalono ustawę zwalniającą ambasadorów ze znajomości jakiegokolwiek języka obcego i z wyższych studiów. Oraz jako ten, który za pomocą tej ustawy, jeszcze bardziej niż jego dwaj poprzednicy, zezwolił na zatrudnianie krewnych i znajomych Obajtków, Misiewiczów i innych, na ich awanse i przenoszenie z placówki na placówkę.

Anna Fotyga – 17 pkt

Miała odzyskać MSZ. Nie lubiła ani zastępców, ani pracowników, pogardzała ministerstwem. To za jej czasów w MSZ regulacje o Państwowym Zasobie Kadrowym wprowadzał (czyli zwalniał) ówczesny dyrektor Biura Kadr i Szkolenia (zwanego potocznie Biurem Kadr i Szkodzenia), późniejszy wiceminister i dyrektor generalny Andrzej Papierz. Niektórzy łatwo go ogrywali, choćby śp. Tomasz Lis (był m.in. ambasadorem

eprasa.pl ace2ed05c6

Minister Adam Daniel Rotfeld z sekretarz stanu Condoleezzą Rice. Waszyngton, 31 maja 2005 r.

RP w Nikozji), który wysłannika Papierza po prostu nie wpuścił do domu w niedzielę wieczorem.

Nie cierpiała swoich zastępców do tego stopnia, że w dniu wylotu na konsultacje podsekretarzy stanu oświadczyła im, że nie zgadza się na ich wylot! Mieliśmy pewien problem z oceną jej skuteczności w polityce wewnętrznej. Daliśmy 6 pkt nieco na wyrost, za jej dobrą pozycję u Lecha Kaczyńskiego i bardzo złą ocenę u Jarosława.

Jacek Czaputowicz – 17 pkt

Eksperyment Jarosława. Ech... A tak się dobrze zapowiadał na początku lat 90., gdy został dyrektorem Departamentu Konsularnego! Potem, za czasów Anny Fotygi, był jeszcze dyrektorem Departamentu Strategii i Planowania. W międzyczasie postawił na karierę naukową i kilkumiesięczne staże zagraniczne. Na jego wniosek premier mianował dyrektorem generalnym Andrzeja Papierza, który wpuścił do MSZ ławą swoich byłych kolegów i innych siostrzeńców czy bratanków i wyręczył go całkowicie w rządzeniu ministerstwem.

Kilku naszych kolegów jest mu wdzięcznych, bo to za jego kadencji zaczęto znowu wysyłać pracowników ministerstwa na stanowiska ambasadorów. Za czasów jego poprzednika, Witolda Waszczykowskiego, zdarzało się to sporadycznie.

Witold Waszczykowski – 21 pkt

Wysoka nota (7 pkt) w rubryce pozycja Polski w Europie i na świecie wynika z faktu, że jego kadencja przypadła na początek rządów PiS, gdy partnerzy jeszcze nie bardzo rozumieli (lub bardzo rozumieli, ale nie dali tego po sobie poznać), co się dzieje w Polsce. Pracował w MSZ od początku lat 90., był, jest, insiderem. Jako minister prowadził, na miarę możliwości, zrównoważoną politykę kadrową. Miał normalnych dyrektorów generalnych. Rozumiał, jak funkcjonuje MSZ, jak w jego strukturze wygładzane są informacje dla ministra, przechodzące od osoby odpowiedzialnej za dany kraj lub region przez naczelnika, wicedyrektora, dyrektora, wiceministra. Często dzwonił na najniższe szczeble, do pracownika departamentu, by być lepiej poinformowanym. To nie dotyczyło oczywiście Departamentu Polityki Europejskiej.

Stefan Meller – 23 pkt

Prowadził ministerstwo jak jego dwaj poprzednicy, czyli tak, że pierwszeństwo w awansach mieli jego koledzy z „korporacji Geremka", jak potem zgrabnie to ujął Jarosław Kaczyński. W pewnym sensie był też człowiekiem z ministerstwa. Tyle że zaczął pracę na początku lat 90. na stanowisku dyrektorskim, później zamieniał stanowisko ambasadora na wiceministra, by w 2005 r. zostać ministrem. Podał się do dymisji na początku maja 2006 r. w związku z zawarciem koalicji rządowej PiS-Samoobrona-LPR. Zmarł kilka miesięcy później. Niestety, wielu pamięta jego akcję równoczesnego odwołania 12 ambasadorów. Przy czym zostało to zrobione tak perfidnie, że szyfranci mieli wręczać ambasadorom depesze z tą informacją 31 grudnia 2005 r. wieczorem.

Krzysztof Skubiszewski – 24 pkt

Profesor prawa międzynarodowego z Poznania. Wprowadził zwyczaj wizyt międzynarodowych z jedną osobą towarzyszącą. Była to zwykle osoba, zwana w MSZ desk oficerem, zajmująca się tym państwem lub regionem. Delegację uzupełniali na miejscu ambasador i ewentualnie inni dyplomaci. Jego zmiany personalne nie były burzliwe. Cenił inteligentnych współpracowników ze starej ekipy na równi z nowymi. Zmiany w centrali były w związku z tym niewielkie. Inaczej było na stanowiskach ambasadorskich. Wymienił prawie 80%.

Mieszkał w apartamencie na ostatnim piętrze budynku recepcyjnego MSZ przy ul. Foksal. Pewnego dnia dyżurny wicedyrektor protokołu dyplomatycznego musiał mu dostarczyć bardzo ważną depeszę. Dzwonił, dobijał się, ale minister, stary kawaler, nie otwierał. Zdecydował się wejść, a drzwi były otwarte. Zastał ministra w podkoszulce i kalesonach z trokami. Dyrektor został natychmiast z krzykiem zwolniony. Depesza była na tyle ważna, że następnego dnia przywrócono go do pracy.

eprasa.pl ace2ed05c6

Po odejściu z rządu został przewodniczącym Trybunału Rozjemczego USA-Iran oraz sędzią *ad hoc* Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze. Zmarł w 2010 r.

Grzegorz Schetyna – 24 pkt

Nasza punktacja jest zawyżona, ale wynika z dobrej pozycji Polski na świecie i samego ministra w polityce wewnętrznej. Nie wykorzystał jednak swojej pozycji do poprawy prestiżu ministerstwa czy jego modernizacji. W polityce kadrowej zajmował się głównie promowaniem na mniej ważne stanowiska w Instytutach Polskich czy ambasadach swoich współpracowniczek i współpracowników. Nie wszystkie nominacje dyrektorskie były trafione. Nie można np. mianować dyrektorem Departamentu Azji byłego I sekretarza w jednym z państw azjatyckich. Na tym stanowisku musi on rozmawiać z takimi tuzami jak ambasadorzy Chin, Japonii czy Tajlandii. Nie przystoi. Lepiej mianować takiego rokującego kandydata na wicedyrektora, potem ambasadora, a na końcu dyrektora departamentu. Tyle czasu Schet nie miał.

Dariusz Rosati – 25 pkt

Miał i nadal ma wszystkie przymioty dobrego ministra spraw zagranicznych: inteligencję, dobry stosunek do pracowników, prezencję, nienaganny angielski, profesurę SGH czy dyrektorowanie w jednej z agend ekonomicznych ONZ. Prowadził bardzo zrównoważoną politykę personalną w centrali i na placówkach. Miał w tym pełne poparcie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i nieco mniejsze, by ująć to delikatnie, SLD. Był wyrozumiały dla szeregowych pracowników centrali i ambasad. Wymagający wobec mianowanych przez siebie dyrektorów.

Władysław Bartoszewski – 26 pkt

Po raz pierwszy został ministrem w 1995 r., bezpośrednio ze stanowiska ambasadora w Austrii. Za granicą poważany i popularny. W politykę krajową się nie angażował.

Jego dwie kadencje, w sumie tylko dwuletnie (druga w latach 2000-2001), przebiegały bez większych wstrząsów w ministerstwie. Prezydent Kwaśniewski proponował mu, po wyborach w 1995 r., pozostanie na stanowisku ministra. On się wahał, zdecydował sprzeciw żony. Za czasów premiera Tuska koordynował z kancelarii premiera, jako sekretarz stanu, politykę wobec Niemiec. Zmarł w 2015 r.

Włodzimierz Cimoszewicz i Adam Daniel Rotfeld – 28 pkt

To za ich czasów Polska weszła do Unii Europejskiej! Na okres ministrowania Włodzimierza Cimoszewicza przypada końcowa, decydująca faza naszych negocjacji akcesyjnych i na tym się koncentrował. Potrafił dobrać do tego zadania, najważniejszego w ostatnich dziesięcioleciach, bardzo dobrych współpracowników. Mniej niestety dbał o rozwój narzędzi informatycznych czy dostęp wszystkich placówek na świecie do informacji o działaniach zagranicznych Komisji Europejskiej.

Moje zdanie odrębne

Robert Walenciak

Ten ranking przygotowało dwóch dyplomatów przez lata pracujących w MSZ, na różnych stanowiskach w centrali i za granicą. Czasami bliżej, czasami dalej od ministra, ale zawsze wystarczająco blisko. Podpisali się pseudonimami, tłumacząc, że tak będzie lepiej. Rozumiem tę decyzję.

Ale to z kolei zmusza mnie do dodania kilku zdań. Pisuję o MSZ od lat, więc dla wielu czytelników byłoby oczywiste, że jestem współautorem rankingu. Otóż nie jestem, mam zresztą w niektórych sprawach inną niż jego twórcy opinię (choć chylę czoła przed ich znajomością MSZ i świata dyplomacji). Moja ocena wynika z nieco innej perspektywy.

Na pewno nie dałbym pierwszego miejsca Andrzejowi Olechowskiemu. Z prostej przyczyny – nie był w czasie swojego ministrowania politykiem samodzielnym, nie miał tej pozycji w systemie władzy, jaką mieli Cimoszewicz i Geremek. Owszem, był ważną postacią, bardzo sprawnym technokratą, ale raczej wykonawcą niż liderem. Firmował swoją twarzą projekty innych. Poza tym pamiętam mu zwalnianie, z lekceważeniem prawa pracy, dyplomatów. Nie było to ani eleganckie, ani mądre.

Niższą ocenę wystawiłbym też Stefanowi Mellerowi. Za jedną rzecz. Za to, że gdy przyjął od Jarosława Kaczyńskiego stanowisko szefa MSZ, wykonał jeden paskudny gest – odwołał nagle grupę ambasadorów z argumentacją, że są to byli współpracownicy wywiadu cywilnego lub wojskowego z czasów Polski Ludowej. To było skandaliczne. Meller skompromitował się tym gestem jako urzędnik państwowy i jako człowiek. Obowiązkiem państwa jest bronić swoich funkcjonariuszy i państwo nie może ich poniżać. On to powinien wiedzieć. Poza tym byli to ludzie, z którymi Meller wcześniej wiele lat pracował. Dobrze o nim mówili, byli wobec niego lojalni. Szkoda, że on nie okazał się lojalny wobec nich.

Parokrotnie zastanawiałem się, dlaczego tak postąpił. Przypuszczam, że zagrał w tym przypadku inny rodzaj lojalności – nagle poczuł, że bliżej mu do Solidarności, do solidarnościowych korzeni, do tamtych czasów. Dlatego w imię PO-PiS odpalił komuchów. Wiele razy z takimi zachowaniami się spotkałem.

Podobnym przypadkiem jest Witold Waszczykowski. Po raz pierwszy usłyszałem o nim w Brukseli. Że chodzi i podgryza swojego

eprasa.pl ace2ed05c6

Prowadził bardzo zrównoważoną politykę personalną w centrali i na placówkach. Miał w tym całkowite poparcie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i znów nieco mniejsze, delikatnie ujmując, rządzącego SLD. W pewnym sensie promotor kariery politycznej Radosława Sikorskiego. Ten na orbitę ministerialną wskoczył, gdy Cimoszewicz wycofał w 2001 r. jego kandydaturę na ambasadora w Belgii.

W sprawach personalnych potrafił działać błyskawicznie. Przykład? Gdy żona ambasadora RP w Erywaniu, Mołdawianka, w trakcie przyjęcia dyplomatycznego dała po twarzy żonie naszego konsula, bo podejrzewała ją o chęć nawiązania romansu z jej mężem, Cimoszewicz odwołał ambasadora i konsula w trybie natychmiastowym.

Minister Adam Daniel Rotfeld był bardzo znany, szanowany i lubiany za granicą, ale w kraju nie miał siły politycznej, by pewne sprawy podjąć i przeforsować.

Radosław Sikorski – 28 pkt

Ma olbrzymie zasługi w modernizacji ministerstwa, zwłaszcza jego informatyzacji. To za jego czasów (dopiero!) wszyscy pracownicy MSZ w centrali i na placówkach dostali osobiste adresy mejlowe w domenie msz.gov.pl, a wszystkie placówki dostęp do materiałów Unii Europejskiej. Telefon BlackBerry z dostępem do poczty służbowej i internetu był wtedy (a mieliśmy rok 2008) cudem, niedostępnym nawet dla kolegów z wielu państw UE. Za jego czasów przeprowadzono w 2009 r. ostatnią regulację płac w ministerstwie.

Jego ocenę w zakresie infrastruktury obniżają bezsensowna sprzedaż byłych ambasad w Bonn i Brukseli, desant ludzi z resortu obrony na stanowiska dyrektorskie i ambasadorskie oraz likwidacja wielu ambasad (m.in. w Ułan Bator, która ma być ponownie otwarta) i konsulatów generalnych (m.in. w Sajgonie i Karaczi) w 2008 r. Wymieniamy tylko niektóre placówki i tylko w Azji, która w tym okresie stała się najważniejszym, nie tylko gospodarczo, kontynentem na świecie, co minister, jako znawca polityki zagranicznej USA, powinien był zauważyć choćby w deklaracjach Baracka Obamy.

Bronisław Geremek – 29 pkt

„Wujek Bronek", „korporacja Geremka" – te określenia nie są nieuzasadnione. Miał duży wpływ na politykę kadrową, jeszcze zanim został ministrem. Na początku lat 90., aż do 1997 r., był przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu. Awansował swoich, ale wzorowo, w ramach kohabitacji, współpracował z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Na jednego awansowanego ambasadora sugerowanego przez kancelarię prezydenta Kwaśniewskiego trzech było kandydatami ministra. Za jego czasów Polska weszła w 1999 r. do NATO, co również było m.in. efektem wzorowej współpracy z prezydentem. Nie bez znaczenia była przy tym jego osobowość czy bardzo dobra znajomość z sekretarz stanu Madeleine Albright.

bezpośredniego przełożonego, ambasadora RP przy NATO, Andrzeja Towpika. Zresztą świetnego dyplomatę, powszechnie szanowanego. Skończyło się tym, że gdy Waszczykowski poszedł skarżyć na Towpika do ambasady USA, odwołano go do kraju. Ku zadowoleniu Amerykanów…

Ale ważniejsze, jeśli chodzi o Waszczykowskiego, jest to, że nie sprawdził się jako lider zespołu. Gdy przejął MSZ, ułożył sobie jego strukturę, to on decydował o nominacjach dyrektorskich, to on ściągnął do dyplomacji grupę ludzi z zewnątrz. Gdy stracił stanowisko, zadowolił się mandatem europosła, a ludzi, którzy mu zaufali, zostawił na lodzie. Na pastwę zemsty dyrektora generalnego Andrzeja Papierza.

Skandaliczny, uwłaczający Polsce, jest tryb, w jakim Papierz odwoływał ambasadorów wysuniętych przez Waszczykowskiego. Skandalem jest też sprawa Barbary Ćwioro, która była dyrektorem Departamentu Europejskiego, najbliższą współpracowniczką Waszczykowskiego, absolutnie dyspozycyjną i lojalną. Potem została ambasadorem w Pradze i stamtąd odwołano ją pod zarzutem mobbowania podwładnych. Ma sprawę karną. Nie zauważyłem, by Waszczykowski kiwnął w jej sprawie palcem, a jestem pewien, że gdyby bardzo się zaangażował, toby ją wybronił.

A teraz kilka zdań o tych, których bym wyróżnił. Na pewno wielką postacią polskiej dyplomacji był Bronisław Geremek. Ale żeby to odczuć, trzeba było obserwować go w Brukseli, w Paryżu, w Waszyngtonie… Przez zachodnich polityków był traktowany ze szczególną rewerencją, mógł grać wyżej, niż upoważniała go pozycja Polski.

Myślę również dobrze o Włodzimierzu Cimoszewiczu i Adamie Danielu Rotfeldzie. Ich czas w MSZ był także próbą budowy zawodowego korpusu dyplomatów, to były pierwsze kroki związane z Akademią Dyplomatyczną czy chociażby proste rozporządzenie, że każdy wyjeżdżający na placówkę musi wpierw zdać egzamin ze znajomości języka obcego. A urzędnik w centrali ma dwa lata na zdobycie wymaganych certyfikatów. Dziś to standard nieosiągalny.

To prof. Rotfeld (też trzeba wyjechać za granicę, by zobaczyć, jak jest w świecie dyplomatycznym poważany) powiedział, że państwa średniej wielkości, takie jak Polska, muszą szczególną wagę przywiązywać do jakości dyplomacji. Te małe nie muszą – bo niewielka jest ich perspektywa. Te duże z kolei w ogóle nie muszą się liczyć z mniejszymi, z racji potęgi łatwo im załatwić, co chcą, błędy ich dyplomatów są więc mało zauważalne.

Trochę żal, że praca i starania takich ludzi poszły na marne.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. EPA/PAP, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (10), MSZ.GOV.PL, AFP/EAST NEWS, ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl ace2ed05c6

Andrzej Olechowski – 30 pkt

Jego silna pozycja w polityce wewnętrznej wynikała z poparcia Lecha Wałęsy i zajmowanego poprzednio stanowiska ministra finansów. A pozycja za granicą – z przeszłości finansisty i pracy w Nowym Jorku w Banku Światowym oraz UNCTAD w Genewie.

W młodości był kierownikiem artystycznym zespołu Trzy Korony, dziennikarzem radiowym i prezenterem muzycznym Programu III Polskiego Radia, z czego wynikała zapewne jego bezpośredniość w kontaktach międzyludzkich.

Walczył ze swoimi kolegami z rządu o rozdzielenie w MSZ stanowisk urzędniczych (do dyrektora departamentu) i politycznych, czyli podsekretarzy i sekretarzy stanu. Jego oponentem w tej sprawie był m.in. Leszek Miller, wtedy minister pracy i polityki socjalnej. Za czasów Olechowskiego MSZ otworzyło się, również za pośrednictwem ogłoszeń w prasie, na młodych ludzi. Kryteria były jasne: wiek do 35 lat, bardzo dobra znajomość co najmniej dwóch języków obcych, studia wyższe i – oczywiście – uzyskanie od UOP tzw. dopuszczenia. Wielu pozyskanych wówczas ludzi pracuje w MSZ do dzisiaj, a zaczynali na najniższych szczeblach.

Przeprowadził jedyną znaczącą podwyżkę płac na placówkach w historii III RP. Na przykład uposażenie II sekretarza wzrosło z haniebnych 600 do 1000 dol. Do dzisiaj uposażenie naszych dyplomatów znacznie odstaje od zarobków kolegów choćby z Węgier, Czech czy Słowacji.

Wielu zaimponowała jego odwaga cywilna. Przyznał się do współpracy z wywiadem PRL podczas pracy w Genewie i Nowym Jorku. Nie przeszkodziło mu to w kandydowaniu na prezydenta czy w zakładaniu Platformy Obywatelskiej.

To za jego czasów aplikowaliśmy o członkostwo w UE, a nasze starania o NATO nabrały realnego kształtu.

Stosując wspomnianą wyżej gradację funkcjonującą w MSZ, przyznalibyśmy następujące oceny:

Znacznie poniżej oczekiwań:
Anna Fotyga, Zbigniew Rau, Jacek Czaputowicz
Rekomendacja – nie awansować

Poniżej oczekiwań:
Witold Waszczykowski
Rekomendacja – nadal rokuje dobrze, pod warunkiem większej samodzielności politycznej

Poniżej oczekiwań:
Grzegorz Schetyna
Rekomendacja – nie nadaje się do pracy w dyplomacji, w polityce tak

Zgodnie z oczekiwaniami:
Stefan Meller

Powyżej oczekiwań:
Krzysztof Skubiszewski, Andrzej Olechowski, Władysław Bartoszewski, Dariusz Rosati, Bronisław Geremek, Włodzimierz Cimoszewicz, Adam Daniel Rotfeld, Radosław Sikorski

Wszyscy mieli w sumie pozytywny wpływ na politykę zagraniczną Polski i funkcjonowanie MSZ. A klasyk podsumowałby tak: plusy dodatnie przeważają u ocenianych nad plusami ujemnymi!

Andrzej Kowalski, Jerzy J. Wiśniewski

eprasa.pl ace2ed05c6

15 lat bez Lema

Przez cztery lata publikował w PRZEGLĄDZIE swoje felietony

15 lat temu, 27 marca 2006 r., zmarł Stanisław Lem, pisarz *science fiction*, filozof, futurolog, jeden z najwybitniejszych wizjonerów XX w. W PRZEGLĄDZIE pisał o sprawach aktualnych, ale też o kwestiach najważniejszych – naturze człowieka, bezinteresownym złu, jakie nasz gatunek wyrządza, wykorzystywaniu nowych technologii w haniebny sposób, postępującej demoralizacji. Przypominamy kilka Jego felietonów.

STANISŁAW LEM

Dokąd idziemy?

Obecnie życie polityczne w Polsce jest właściwie zbiorem najdziwniejszych pomówień, insynuacji, a nawet zwyczajnych łgarstw, którymi tzw. politycy się obrzucają, zaś modnym sposobem zwiększania popularności jest kierowanie na wokandę najbardziej szalonych oskarżeń, jakie można sobie wyobrazić. (…)

Panujący teraz, nie tylko w naszym kraju, chaos nie sprzyja stawianiu politycznych horoskopów. Odnoszę wrażenie, że ziścić się może każdy, choćby najmniej prawdopodobny scenariusz wydarzeń. Chwilami wydaje mi się szczególnie trafna heretycka myśl, że dysponujemy społecznie zbyt wielką, bo prawie niczym nieotamowaną swobodą, co prowadzi do najdziwniejszych zachowań, tylko z pozoru sensownych z punktu widzenia demokracji. W krajach, gdzie ustrój stopniowo ewoluował w kierunku ludowładztwa, społeczeństwa zdołały do niego dojrzeć. (…)

Groźniejsza od konserwatyzmu wydaje mi się jednak sytuacja, w której – z braku politycznej ogłady – każde, nawet najbardziej niepoważne głupstwo staje się dopuszczalne pod pretekstem swobód demokratycznych. Być może rzeczy pójdą lepszym i równiejszym biegiem za lat kilkadziesiąt. Na razie jesteśmy skazani na taką elitę polityczną, która wywołuje u przyzwoitego człowieka rumieniec wstydu. **14 czerwca 2005 r.**

Mars poza naszym zasięgiem?

(…) Kiedy prezydent Bush ogłosił plan amerykańskiego powrotu na Księżyc, a potem wyprawienia się na Marsa, rozległy się głosy sceptyków. Najważniejszą przeszkodą w realizacji prezydenckich zamiarów mogą okazać się nie miliardy dolarów, do których wyasygnowania trzeba jednak przekonać Kongres. Jak oświadczył przedstawiciel NASA, złożoność projektowania i budowania rakiet, operowania setkami systemów, na które składają się roboty, ludzie i zdalnie sterowane urządzenia, wyrzucania ich w przestrzeń pozaziemską, lotu i lądowania, a ponadto budowy pomieszczeń mieszkalnych na Księżycu i na Marsie, przekracza wszystko, czego kiedykolwiek dokonaliśmy w kosmosie. Nie ulega wątpliwości, że w NASA są znakomici konstruktorzy i znawcy rzeczy. Jednakże, przyjrzawszy się stojącym do dyspozycji rezerwom fachowców, zorientowano się, że pokolenia inżynierów, którzy tworzyli program Apollo i promy kosmiczne, po części postarzały się i wymarły, po części zaś przeszły na emerytury. Ów przemysł skurczył się do połowy stanu z 1989 r., gdy jeszcze zatrudniał 1,3 mln pracowników. Z pozostałych 27% w roku 2008 osiągnie wiek emerytalny. Trzy czwarte specjalistów technicznych przekroczyło sześćdziesiątkę! Perspektywy wskrzeszenia wielkiej astronautyki jakoś nie budzą w amerykańskim społeczeństwie entuzjazmu (...). Badanie 500 osób, które pracowały dla oswojenia kosmosu, wykazało, że 80% z nich nie chciałoby, aby ich dzieci poszły ich śladem. **24 marca 2004 r.**

Votum separatissimum

Chciałbym stanowczo wyjawić zasadniczą różnicę poglądów pomiędzy mną a trzymającymi się dogmatów wyznawcami Kościoła rzymskiego, boję się bowiem, iż może powstać mylne wrażenie, jakobym zgadzał się ze wszystkim, co „Tygodnik Powszechny" wygłasza jako katolickie pismo.

Najważniejsze zatem różnice przekonań wymienię nie jako aktywista jakiegoś ateizmu, lecz jako naturalista orientujący się w świecie naszym w takiej mierze, w jakiej ustalone zostały podstawowe kanony naukowego światopoglądu.

Uważam, po pierwsze, że badania prenatalne, czyli pobieranie z owodniowego pęcherza kobiety w ciąży pojedynczych komórek i ustalanie na tej podstawie, jakie są szanse narodzin dziecka niedorozwiniętego, np. obarczonego zespołem Downa, są konieczne zupełnie tak samo, a może nawet bardziej, aniżeli wstawianie osobom starszym, co złamały kość udową, tytanowej protezy, ponieważ albo wykorzystujemy wszystkie służące zdrowemu życiu medyczne metody, albo ulegamy z oportunizmu dogmatom sprzecznym z najlepszą naszą wiedzą.

Tym samym uważam, po wtóre, że dopuszczanie do urodzin dzieci, które muszą przez życie – na ogół krótkie – ulegać kalectwu i cierpieniom, jest zbrodnią, jeżeli można temu zapobiec za pośrednictwem sztucznego poronienia albo metod nowożytnej profilaktyki. Nie chodzi bynajmniej o obciążanie społeczeństwa obowiązkiem podtrzymywania przy ułomnym życiu niepełnosprawnych (...). Ośmielam się na pierwszym miejscu stawiać dobro osoby, a nie społeczeństwa. Wiemy dzisiaj, że nie łaska boska, lecz statystyka genowo-chromosomalna decyduje o rezultacie ciąży. (…)

Uważam dalej, że każdy, kto z jakichś zasadnych, indywidualnych powodów pragnie zakończyć swoje życie, powinien mieć do tego prawo. Uważam też, że we wszystkich wypadkach, w których zachodzi możliwość morderczej recydywy, społeczeństwo ma prawo i powinno stosować karę śmierci.

Uważam zakaz klonowania ludzi za słuszny, ale niestety nieskuteczny, gdyż taki jest los większości stanowionych prawem zakazów. Uważam ponadto, że dzisiaj, w epoce szalejącego seksu, promiskuityzmu, triumfujących dewiacji, wirtualnych krwawych igraszek należy wprowadzać w społeczne życie możliwie bezbolesne metody kontrolowania takich aberracji. Jest rzeczą oczywistą także, że potępiam nasze, szczególnie ostatnio widoczne narodowe wady: oportunizm, hipokryzję, awanturnictwo, łapczywość mamony, powszechną bezkarność, korupcję, warcholstwo. **7 maja 2002 r.**

eprasa.pl ace2ed05c6

Polska fascynująca, **bo zwykła i przeciętna**

Kiedy patrzę na Polskę z Ameryki, widzę kraj, który nie jest bohaterem, ale nie jest też najgorszym miejscem na ziemi

BRIAN PORTER-SZŰCS
– historyk Uniwersytetu w Michigan, autor wydanej właśnie książki „Całkiem zwyczajny kraj. Historia Polski bez martyrologii"

Rozmawia Roman Kurkiewicz

Uprawia pan zawód wysokiego ryzyka, czyli jest pan historykiem i na dodatek zajmuje się Polską.

– Tak.

W Polsce można dzisiaj za to trafić przed sąd.

– Tak, wiem, co się przydarzyło profesorom Barbarze Engelking i Janowi Grabowskiemu, piszącym o zachowaniach Polaków podczas Zagłady. Ja się nie boję, bo jednak jestem w USA. Ale w najbliższym czasie zamierzam wrócić do Polski i jestem optymistą. Pisałem tę książkę z dużą starannością i jestem przekonany, że nie ma w niej niczego, co byłoby prawnie niebezpieczne. A same idee – mogą być.

Ale ta książka jest niebezpieczna właśnie z powodu idei. Opowiada o Polsce w taki sposób, w jaki tutaj się o niej nie mówi, w jaki nie mówi polska szkoła. Nie czułbym się wcale spokojny...

– Wiem, ale właśnie dlatego napisałem tę książkę. Oczekuję, że może być krytykowana, i nie szkodzi. Wiem, że tezy w tej książce są dyskusyjne, i dobrze. Bardzo chciałbym dyskutować z polskimi czytelnikami. Myślę, że takie rozmowy są potrzebne. Sama dyskusja jest arcyważna, a moim zdaniem tych dyskusji nie ma, bo duża część historii Polski jest przyjmowana jako oczywistość.

Włoski historyk Enzo Traverso napisał książkę „Historia jako pole bitwy". Kiedy czytam o sprawach Polski od rozbiorów do dzisiaj, właściwie cały czas mam poczucie, że jestem na wojnie. Natomiast pan na historię Polski patrzy z zaangażowaniem, z sympatią, z olbrzymim zrozumieniem, ale też z dystansem, „przez obiektyw szerokokątny". Być może to dopiero pozwala zrozumieć tę naszą nieustanną wojnę domową.

– To również nie jest wyjątkowe, bo każdy kraj ma takie wojny o historię. U nas w Stanach, w ostatnim roku nawet, były ogromne spory o to, jakie pomniki mają być zachowane, a jakie obalone. Myślę, że i w Polsce takie rozmowy byłyby użyteczne. Są czasami pomniki, których nie warto zachowywać. Z drugiej strony długo dziwiło mnie, że nie ma pomnika Ignacego Daszyńskiego.

Już jest. Przy placu Na Rozdrożu, niedaleko Dmowskiego.

– No, to też dziwne. Ani jeden, ani drugi nie byłby z tego zadowolony.

Pisze pan, że polskim myśleniem rządziły dwie wielkie figury: powstańca i matki Polki. I takie są nasze pomniki: powstaniec, najlepiej z przegranego powstania, generał, rycerz, polityk. A jakich jeszcze pomników panu brakuje?

– Moim zdaniem powinny być to raczej pomniki ruchów niż osób. Bardzo ważny w dziejach Polski, ale mało zauważany, jest cały ruch chłopski. Podobnie ruch kobiecy, który pod koniec XIX i na początku XX w. był w Polsce dosyć silny, nie mniej niż gdzie indziej w Europie.

Źle się czuję z pomnikiem Dmowskiego w centrum Warszawy, mam poczucie, że symbolizuje on tę opowieść o Polsce, która jest szkodliwa, trująca, która gdzieś się przekłada na to przeklęte słowo nacjonalizm, na antysemityzm, który Polska ma ciągle nieprzepracowany.

– Moja pierwsza książka, którą napisałem 20 lat temu, była o ruchu

eprasa.pl ace2ed05c6

narodowym na początku XX w., o endecji. Sądzę, że czytałem prawie wszystko, co Dmowski pisał, przynajmniej do I wojny światowej – i było to naprawdę okropne. Wcale nie jest tak, że „owszem, okropne, był antysemitą, ale oprócz tego miał dobre pomysły". Nie! Cała jego ideologia jest oparta na zasadzie wiecznej walki: relacje między narodami muszą być wiecznie wrogie, nie może być inaczej. Takie są zasady ruchu endeckiego, autorytaryzmu. Ja naprawdę nie widzę żadnych zasług Dmowskiego dla Polski. Był w Paryżu w czasie rozmów po I wojnie, ale co on tam zrobił tak realnie? Czy wpłynął jakoś np. na Wilsona? Wątpię. Ważniejsze były wpływy amerykańskiego filozofa i teoretyka nauki Johna Deweya, który ze swoimi studentami prowadził badania imigrantów zarobkowych z Polski. To on napisał bardzo ciekawe memorandum do Wilsona o Polsce. Sens tego memorandum można odczytać jednoznacznie jako: nie słuchaj Dmowskiego!

No tak. W Polsce obserwujemy niezwykłe przesunięcie całej rozmowy o historii i o polityce w prawą stronę, czyli tak naprawdę w prawicowo-konserwatywną, endecką. Mówi się, że Polską rządzą dwie trumny: Dmowskiego i Piłsudskiego. Ale nie tego Piłsudskiego, który był założycielem PPS, napadał na pociągi i wydawał „Robotnika", tylko tego, który łapał Polaków za twarz, bo „z nimi się inaczej nie da".

– Spodziewałem się krytycznej reakcji na moją książkę ze strony prawicowej. Ale usłyszałem też dużo krytycznych słów ze strony lewicy i to mnie zaskoczyło. Kiedy patrzę na Polskę z Ameryki, widzę kraj, który nie jest bohaterem, ale nie jest także najgorszym miejscem na ziemi. Nie można powiedzieć, że antysemityzm w Polsce był wyjątkowy. Istniał i był bardzo groźny, nawet śmiertelny, ale w całej Europie tak było. Polska nie była pod tym względem ani najgorsza, ani najlepsza. Myślę, że dzisiaj po stronie lewicy w Polsce jest taka tendencja, żeby widzieć tylko złe strony historii Polski, taki odwrót od tradycyjnej narracji. Rozumiem, dlaczego tak jest, to naturalny sposób reagowania: jeżeli prawica mówi tak, to prawda musi być odwrotna. Ale myślę, że tak nie jest. Chodzi tu o wyjątkowość – w historii Polski nie ma wyjątkowości. Żaden kraj nie jest wyjątkowy, bo każdy mieści się w historii światowej. U nas, w Stanach, w ostatnim dziesięcioleciu jest o wiele więcej historyków powszechnych niż historyków poszczególnych narodów. Ale ja znam Polskę. I nawet nie umiem pisać o historii świata. Myślę, że lepszym ujęciem niż historia światowa jest historia danego kraju, danego regionu z punktu widzenia świata. Bo historia świata dzieje się w każdym miejscu, w każdej miejscowości – taką właśnie książkę chciałem napisać.

Mówi pan tak: to nie Polska ucierpiała, ucierpieli Polacy i Polki, konkretni ludzie, a nie jakiś twór. Czyli jakby: sam świat nie ma historii, historię mają ludzie, którzy zamieszkują ten świat, w tym momencie i w tym miejscu. To ciekawe ujęcie.

– Ten kontekst jest zawsze arcyważny, ale to nie znaczy, że każdy kontekst jest wyjątkowy. W pewnym sensie jest różny od innych kontekstów, ale jest z nimi związany, wszystko jest ze sobą powiązane.

Nasza szkoła przynosi taką opowieść: Polska jest wyjątkowa, monumentalna, wielka, ale równocześnie skrzywdzona, zawsze bohaterska, nieskalana niczym, co można by skrytykować. Pana książka otwiera polskie okno, wpuszcza świeże powietrze.

– Właśnie, boję się trochę, bo dotykam delikatnych tematów, takich jak cierpienie. Powiedzmy, lata 80., stan wojenny – ludzie byli internowani, to, czego doświadczyli, było naprawdę straszne. W żaden sposób nie chcę umniejszać ich przeżyć. Ale równocześnie chciałbym zwrócić uwagę na to, że jest tu globalny kontekst i jest historyczny – zamach majowy, w którym było o wiele więcej cierpienia niż w stanie wojennym. To nie znaczy, że cierpienie w stanie wojennym nie jest ważne, nie jest realne i że nie warto o tym pamiętać, tylko że ważne są proporcje. Mamy historię albo jako politykę pamięci, kult przeszłości, albo jako próbę jej zrozumienia. Bardziej chciałbym skupić się na tej drugiej – opisać, aby zrozumieć, a nie opisać, żeby pamiętać.

Przywołał pan zamach majowy, ja przypomniałbym strajk chłopski w 1937 r., kiedy ofiar śmiertelnych było jeszcze więcej, największy masowy protest II RP. O tym strajku w ogóle dziś się nie pamięta, choć chłopi byli największą grupą społeczną w II Rzeczypospolitej. Polska nie lubi pamiętać, że jest z chłopów. Wszyscy są z dworków, ze szlachty.

– Bardzo się cieszę, że ostatnio ukazała się książka prof. Leszczyńskiego. Ciekawe, że nasze książki wychodzą w tym samym czasie – to sugeruje, że jest szersze zainteresowanie książkami o historii Polski inaczej. I to jest bardzo ważne. Wracając do stanu wojennego: to, co pamięta inteligencja z tego okresu, to jedna rzecz. To, co pamiętają tzw. zwykli ludzie, to inna sprawa. Oni też mieli problemy i trudności, ale pamiętają inne problemy. Jeżeli chodzi o lata 70., większość Polaków ma dobre wspomnienia z tego okresu. Nie można powiedzieć, że dla Polski czas PRL był straszny. Dla niektórych – na pewno, dla inteligencji – na pewno.

Dla opozycji tak, ale to było tysiąc osób!

– Pierwszy raz byłem w Polsce w latach 80., mieszkałem w Warszawie przez dwa lata. Oczywiście

Jestem o wiele większym optymistą, jeżeli chodzi o Polskę, niż o mój kraj.

Bardzo ważne w dziejach Polski, ale mało zauważane, są ruch chłopski i ruch kobiecy.

Nie można powiedzieć, że antysemityzm w Polsce był wyjątkowy. Istniał i był bardzo groźny, nawet śmiertelny, ale w całej Europie tak było.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ace2ed05c6

jako obcokrajowiec miałem inne doświadczenie niż Polacy, ale doskonale pamiętam te czasy. Z przyjemnością wróciłem w końcu do domu, bo cała atmosfera była ciężka i niewesoła. Nie chciałbym mieszkać w takim kraju. Jednak to nie było doświadczenie powszechne. Rozumiem więc, dlaczego w latach 90. tak dużo ludzi miało wątpliwości, czy życie w III RP było naprawdę lepsze niż w PRL. Dla wielu to nie było oczywiste. Nie chcę bronić PRL, ale i nie chcę jej potępiać. Ja po prostu chcę zrozumieć. Kiedy czytam dokumenty z PRL, bo teraz piszę nową książkę o zawodzie ekonomisty w PRL i czytam wszystkie te dokumenty Komisji Planowania itp., wierzę, że ludzie, którzy tam pracowali, chcieli jak najlepiej dla Polski. Często mówi się, że np. Gierek na początku lat 70. „podkupił" Polaków. Ale jestem przekonany, że zwykli pracownicy administracji państwowej starali się wykonywać swoje zadania, swój zawód, najlepiej jak potrafili. Próbowali jak najsprawniej w tych warunkach organizować gospodarkę. Nie jest tak, że chodziło tylko o władzę. Ja wierzę, że chcieli jak najlepiej. Taka wiara z mojej strony, inny sposób patrzenia na dokumenty z tego okresu, otwiera okno na przeżycia tych ludzi. I wszystko, cała historia PRL, wygląda z tego punktu widzenia inaczej. Nie jest to ani obrona, ani potępienie – jest to próba zrozumienia ludzi, którzy wtedy żyli.

Stąd zainteresowanie Oskarem Langem i Michałem Kaleckim, światowej klasy ekonomistami?

– To dosyć łatwe, bo wiadomo, że Kalecki był trochę z boku; on nie był częścią aparatu PZPR, nawet nie jestem pewien, czy był członkiem partii. Lange był, bez wątpienia. Większość ekonomistów w PRL nie była członkami PZPR. Zadaję sobie pytanie, co myśleli ludzie, którzy byli naprawdę związani z PZPR i bronili planowania, nie chcieli reform. Co chcieli robić? Jakie mieli ideały? Warto wrócić do takich ludzi, do obrońców systemu i starać się zrozumieć, czego naprawdę chcieli. A takich pytań nikt nie zadaje.

Dzisiaj polityka jest marketingiem, a wtedy była prawdziwa. Z błędami, ale też z zależnościami, z kontekstem zimnej wojny. Przywołuje pan przykład innych doświadczeń z socjalizmem, choćby krajów Ameryki Południowej. Bardzo rzadko to w Polsce wybrzmiewa.

– Najbliższym porównaniem jest Grecja w latach 50. Bo tam ten proces zachodził prawie dokładnie równolegle do tego, co się stało w Polsce, tylko z innej strony. Tak jak Ameryka nie popierała „żołnierzy wyklętych", tak Stalin nie popierał komunistów greckich w tych czasach.

W obydwu krajach była wojna domowa, opresje, straszne rzeczy. To nie umniejsza zła tych lat, ale nie można powiedzieć, że ZSRR był wyjątkowym mocarstwem. Bo dla małych krajów to USA były wielkim problemem podczas całej tej zimnej wojny.

Pojawia się w pańskiej opowieści moment, kiedy przywołuje pan dane o liczbie osób więzionych.

– Dla mnie to było bardzo nieprzyjemne zaskoczenie, bo mój kraj…

Podczas zamachu majowego było o wiele więcej cierpienia niż w stanie wojennym.

…jest światowym liderem w liczbie uwięzionych.

– Tak, jest liderem, nawet dzisiaj. Na drugim miejscu są Chiny, a na trzecim – Rosja. To nie jest klub, do którego chcę należeć. Stalinowski ZSRR był liderem w całej historii, jeżeli chodzi o więziennictwo, to był ogromny odsetek ludności. Ale w krajach socjalistycznych Europy Wschodniej wcale tak nie było, nie można nawet porównywać PRL do dzisiejszej Ameryki, jeżeli chodzi o więziennictwo. Chciałbym myśleć o tym, jak nowoczesność była okropna dla ludzi całego świata. Wszystkie te zmiany, wszystkie te procesy, unowocześnienie, były związane z formowaniem w pewnym stopniu państw policyjnych. Rozwój policji, rozwój przemocy, używanie siły w państwach nowoczesnych – to jest powszechne, zarówno w socjalizmie, jak i w kapitalizmie. Warto o tym pamiętać i nie mówić, że kapitalizm jest inny od socjalizmu, a raczej zauważyć to, co mają wspólnego. Kiedy pojawia się opór wobec zmian, państwo reaguje siłą, wszędzie tak samo. Myślę, że ten proces jest najważniejszy, a nie ideologia, która jest na powierzchni.

„Myślenie w kategoriach narodowych nie jest w żadnym razie naturalne. Jest historycznie przygodne i osadzone w historycznym kontekście". Jest pewnym produktem, prawda? Jest pomysłem, ideą, która pozornie coś wyjaśnia, mobilizuje masy, pozwala też nimi rządzić. Ale w pana opowieści ekonomia jest ważniejsza od literatury.

– Kultura jest bardzo ważna, literatura także, ale dla małego grona ludzi. Ja lubię czytać literaturę, ale wiem, że większość ludzi nie chce. Wiem, co czytają i oglądają moi rodzice – nie są to arcydzieła, nawet nie warto pamiętać tego, co oni czytają. Ale te książki, bardzo mierne, tworzą ich świat i ich pogląd na świat. Tak samo w Polsce. Na moim wykładzie o historii polskiej w XX w. pokazuję filmy, ale nie „Człowieka z marmuru" – do wykładu o latach 70. pokazuję film „Nie lubię poniedziałku", który nie jest wielkim kinem, ale jest śmieszny, nawet dzisiaj, poza tym widać tam codzienne przeżycia. I to bardzo popularny film, prawie każdy Polak go zna. O wpływie takiej kultury, filmu, literatury warto więc pamiętać. Kultura wysoka to margines.

Pisze pan o polskich rewolucjach, i w kontekście roku 1918, i tak naprawdę 1945 czy nawet 1989.

– Solidarność jest może jedynym naprawdę wyjątkowym momentem

eprasa.pl ace2ed05c6

nowoczesnej historii polskiej. Bardzo rzadko się zdarza, że tak wielu ludzi tworzy jeden, wspólny ruch. To naprawdę warto podkreślić.

W roku 1989 władzę przejęła opozycja solidarnościowa, w większości humaniści. Nie rozumieli ani mechanizmów, ani konsekwencji automatycznego przestawienia się na tryb turbokapitalizmu z końca XX w. Niemal nikt z tej całej elity solidarnościowej nie miał o tym pojęcia.

– To prawda. Też nie chciałbym być prezydentem żadnego kraju. Byłbym strasznym prezydentem. Humanistyka nie pomaga prowadzić codziennych spraw polityki.

Anna Dzierzgowska, która wraz z bratem Janem tłumaczyła książkę, pisze w posłowiu, że bardzo się cieszy, bo będzie mogła dać ją swoim uczniom w liceum.

– Muszę powiedzieć, że tłumaczenie jest naprawdę świetne. Bardzo chciałbym tak dobrze mówić. Ale to jest mój styl, rozpoznaję mój styl pisania, a to rzadko się zdarza.

O czym pan myśli ciepło, a o czym źle, kiedy w tę Polskę się wpatruje, analizuje i opisuje ją dla nas?

– Jestem optymistą, jeżeli chodzi o przyszłość. Ponieważ wracam do Polski co roku lub co dwa lata, czuję się troszeczkę jak dziadek, który widzi wnuki od czasu do czasu. Dzięki temu dostrzega o wiele lepiej, jak rosną. I jak się zmieniają. Jeżeli porównuję to, co pamiętam z lat 80., z tym, co widziałem w kolejnych latach, to różnica jest ogromna. Pod każdym względem są to zmiany na lepsze. Dzisiaj młode pokolenie naukowców, historyków pisze rzeczy, których nikt nie mógłby pisać 20 lat temu. Mam wielką nadzieję, że w najbliższej przyszłości historiografia polska będzie robić ogromne postępy, już to widać. Jeżeli chodzi o politykę, obecnie nie wygląda to najlepiej. Ale w życie wchodzą nowe pokolenia, ci ludzie są Europejczykami, to dobrze widać np. w czasie strajków kobiet. To jest europejski ruch feministyczny, ruch demokratyczny. Jestem o wiele większym optymistą, jeżeli chodzi o Polskę, niż o mój kraj. W latach 80. za każdym razem chętnie wracałem do Stanów Zjednoczonych, a teraz tak chętnie wrócę do Polski.

Roman Kurkiewicz

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zabytki w ogniu

Wszyscy w Zakopanem wiedzieli, że pensjonat Chata spłonie, nie znano tylko daty

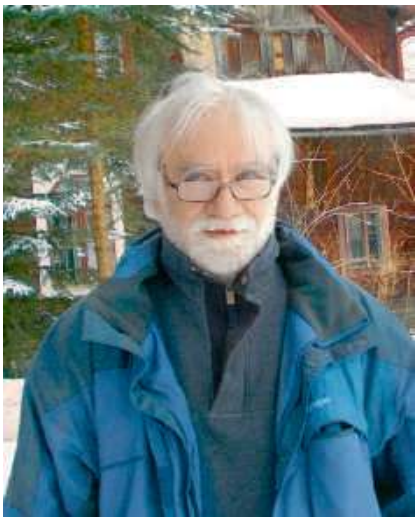

Jerzy Wybieralski informował, że Chata lada chwila może spłonąć.

Leszek Konarski

To, że pożar strawi zabytkowy budynek pensjonatu Chata przy ul. Witkiewicza 19b w Zakopanem, z pięknym widokiem na Tatry, było jasne jak słońce, nikt tylko nie znał daty. Dwa lata temu zamieściliśmy w PRZEGLĄDZIE (nr 9/2019) zdjęcie tego domu z podpisem: „Rozbiórka Chaty została wstrzymana, tylko czy ktoś nie podpali starej willi?”. W piątek, 19 marca, o godz. 15 rozmawiałem o pożarach zakopiańskich drewnianych willi z Jarosławem Kośmińskim, zastępcą komendanta powiatowego Państwowej Straży Pożarnej w Zakopanem. Straż wie o niebezpieczeństwie wybuchu pożaru w opuszczonych i niezamieszkanych zabytkowych domach, ale zrobić może niewiele. 13 godzin po naszej rozmowie, w sobotę, o godz. 4 rano, Chata już płonęła. Pożar gasiło 10 jednostek straży, bo w sąsiedztwie znajdują się inne budynki; komendant Kośmiński też przyjechał. Na pierwszym piętrze strażacy natrafili na trzy zwęglone ciała.

Dwa miesiące temu, tym razem w niedzielę, 7 lutego, również we wczesnych godzinach porannych, przy ul. Jagiellońskiej 6 spłonęła wybudowana w 1897 r. drewniana willa Borek, w której przez lata mieścił się internat zakopiańskiej szkoły plastycznej, a potem mieszkał i pracował rzeźbiarz Władysław Hasior. W zgliszczach strażacy znaleźli dwa zwęglone ciała. W lutym i marcu w wyniku pożarów w opuszczonych i zaniedbanych zabytkowych willach śmierć poniosło w Zakopanem pięć osób.

W Chacie ogień pojawił się na parterze, objął ganek oraz klatkę schodową i od razu było wiadomo, że to dzieło podpalacza. Na pierwszym piętrze, w jednym z pokoi, spało trzech bezdomnych mężczyzn, którzy, jak mówią inne osoby korzystające z tutejszych noclegów, sprawowali funkcje „kierowników pensjonatu”. To oni decydowali, kto tu może mieszkać i na jakich warunkach. W „swoim pensjonacie” przyjmowali zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Nie było sygnałów, aby byli z kimś skonfliktowani. Gdy o godz. 4 płonął już parter budynku, nie otworzyli okien, nie próbowali się wydostać, nie wzywali pomocy.

W lutym i marcu w pożarach opuszczonych zakopiańskich willi zginęło pięć osób.

Strażacy, którzy szybko się zjawili, skierowali strumienie wody równocześnie na Chatę i na stojący najbliżej drewniany dom należący do Jerzego Wybieralskiego, instruktora narciarstwa alpejskiego, prowadzącego zajęcia na stokach w Zakopanem i francuskim Chamonix, członka stowarzyszenia Lepsze Zakopane.

eprasa.pl ace2ed05c6

To on, z obawy o bezpieczeństwo własnego domu, najbardziej bał się pożaru Chaty i wszystkich informował, że lada chwila willa może spłonąć. Gdy w lipcu 2020 r. w Chacie zamieszkali bezdomni i urządzili w niej samozwańczy pensjonat, zawiadomił o tym wszystkich odpowiedzialnych za zakopiańskie zabytki. Oto korespondencja z ostatnich miesięcy.

Sygnały w próżnię

25 sierpnia 2020 r. Jerzy Wybieralski pisze do insp. Piotra Dziekanowskiego, komendanta powiatowego policji w Zakopanem, i dziękuje mu za interwencje funkcjonariuszy w willi Chata 13, 14 i 17 sierpnia, dodając: „Mam nadzieję, że brak odpowiedniego zabezpieczenia budynku przez spółkę Top Tatry jest tylko chwilowym zaniedbaniem, a nie celowym działaniem, którego skutkiem będzie zlikwidowanie budynku poprzez pożar, a następnie budowa, już bez przeszkód i ograniczeń wynikających z regulacji prawnych dotyczących obiektów zabytkowych, wielkiego apartamentowca.

10 września 2020 r. Wybieralski wysyła jednakowej treści pisma do komendanta powiatowego Państwowej Straży Pożarnej w Zakopanem bryg. Grzegorza Worwy, burmistrza Zakopanego Leszka Doruli, starosty tatrzańskiego Piotra Bąka, generalnej konserwator zabytków dr Magdaleny Gawin: „Uprzejmie proszę o jak najszybsze podjęcie stosownych działań mających na celu niedopuszczenie do zniszczenia przez pożar drewnianego, dewastowanego, niezamieszkanego budynku przy ul. Witkiewicza 19b. Budynek w obecnym stanie stanowi zagrożenie pożarowe wobec sąsiednich zamieszkałych budynków. Pożar dużego drewnianego domu może spowodować straty nie tylko materialne, ale także ofiary w ludziach, w tym śmiertelne”.

Jerzy Wybieralski pisze, że pensjonat Chata jest własnością spółki Top Tatry z siedzibą w Orzeszu. Spółka ta wystąpiła do starosty tatrzańskiego o pozwolenie na rozebranie zabytkowego domu i budowę na jego miejscu budynku wielkokubaturowego. Starosta jednak nie wydał zezwolenia na rozbiórkę.

16 września 2020 r. starosta tatrzański odpowiada, że sprawę gromadzenia się różnych osób w tym zabytkowym obiekcie i spowodowanego tym ryzyka pożaru przekazał do komendy powiatowej policji oraz do nadzoru budowlanego: „Właściwym organem do podjęcia działań w tej sprawie jest Powiatowy Inspektor Nadzoru Budowlanego. Posiada on bowiem uprawnienia do przeprowadzenia czynności kontrolnych, dokonania oceny stanu technicznego obiektu, a także w wypadku stwierdzenia nieprawidłowości, do wydania decyzji w tej sprawie”.

7 października 2020 r. w imieniu burmistrza Zakopanego miejska konserwator zabytków Natalia Skiepko informuje, że zwróciła się do spółki Top Tatry, właściciela nieruchomości, o należyte zabezpieczenie willi, gdyż przepisy Ustawy z 23 lipca 2003 r. o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami nakładają na właściciela obowiązek utrzymania obiektu w jak najlepszym stanie, bo jeżeli zostanie on uszkodzony lub zniszczony, grozi za to kara pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do ośmiu lat, a za nieumyślne spowodowanie szkody na substancji zabytkowej grozi grzywna lub kara pozbawienia wolności do lat dwóch.

22 października 2020 r. pracownicy delegatury Małopolskiego Konserwatora Zabytków w Nowym Targu dokonują wizji lokalnej w Chacie, zastają jednego dzikiego lokatora i zalecają właścicielowi lepsze zabezpieczenie obiektu.

6 listopada 2020 r. w imieniu generalnego konserwatora zabytków odpowiada dr Katarzyna Zalesińska z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Informuje, że Chata nie jest objęta nadzorem konserwatorskim w rozumieniu ustawy z 23 lipca 2003 r. o ochronie zabytków, a tylko znajduje się w gminnej ewidencji zabytków miasta Zakopane. W związku tym ministerstwo nie może udzielić pomocy, natomiast małopolski wojewódzki konserwator zabytków może przeprowadzić kontrolę przestrzegania i stosowania

FOT. LESZEK KONARSKI, JERZY WYBIERALSKI

eprasa.pl ace2ed05c6

Wkrótce po zabiciu okien i drzwi płytami wejście do Chaty dla bezdomnych było znowu otwarte.

przepisów dotyczących ochrony zabytków i opieki nad zabytkami również w odniesieniu do obiektu niewpisanego do rejestru zabytków, a ujętego w gminnej ewidencji zabytków, i na tej podstawie, w przypadku stwierdzenia nieprawidłowości, skierować sprawę do policji, prokuratury czy sądu, zawiadamiając o popełnieniu wykroczenia lub przestępstwa.

1 grudnia 2020 r. spółka Top Tatry zabezpiecza wszystkie otwory okienne i drzwiowe na parterze płytami paździerzowymi przykręconymi do elewacji śrubami. Tego samego dnia lub następnego płyty zabezpieczające drzwi wejściowe na ganku znikają. Do „pensjonatu" wracają jego dawni goście.

7 lutego 2021 r. w pobliżu, przy ul. Jagiellońskiej 6, płonie willa Borek, też samozwańczy hostel zarządzany przez bezdomnych. W pożarze giną dwie osoby. Tego samego dnia w południe przed Chatą zatrzymuje się samochód straży miejskiej, z którego wysiada nietrzeźwy mężczyzna. Mieszkająca w pobliżu kobieta pyta strażników, dlaczego tu go przywieźli. Odpowiadają, że podał im Chatę jako miejsce zamieszkania.

Już się pali!

20 marca o godz. 4 rano strażacy otrzymują telefon, że płonie Chata przy Witkiewicza. Znajdują zwęglone ciała, to wszyscy trzej „kierownicy pensjonatu". Przyjeżdża ekipa dochodzeniowa i prokurator. Sprawca zostaje namierzony i zatrzymany. To 29-letni mężczyzna przybyły tu spoza Podhala, ale przebywający od pewnego czasu w Zakopanem. Przyznaje się do podpalenia. Na wniosek prokuratury zostaje przez sąd aresztowany na trzy miesiące.

Prokuratura nie chce ujawnić, jakimi motywami kierował się podpalacz, bo jak mówią śledczy, jego zeznania muszą zostać zweryfikowane.

W latach 2014-2017 w Zakopanem i okolicy odnotowano 28 pożarów budynków drewnianych, z czego połowa była w gminnej ewidencji zabytków.

W grę wchodzą, jak się wydaje, dwie możliwości. Mogło dojść do jakiegoś konfliktu pomiędzy nim a „kierownikami pensjonatu" i chciał się na nich zemścić lub działał na czyjeś zlecenie.

Wille Borek czy Chata to niejedyne drewniane zabytki, które Zakopane straciło w ostatnich latach w wyniku pożarów. Potwierdza to raport Najwyższej Izby Kontroli z wiosny 2018 r., w którym inspektorzy NIK ostrzegają przed pozyskiwaniem tym sposobem terenów budowlanych. W latach 2014-2017 w Zakopanem i okolicy odnotowano 28 pożarów budynków drewnianych, z czego połowa była w gminnej ewidencji zabytków. Przyczyną pożarów w sześciu przypadkach było podpalenie, w siedmiu zaprószenie ognia przez nieznanego sprawcę, a w ośmiu nie ustalono przyczyny. Willa Borek była wystawiona na sprzedaż i o cenie z pewnością decydowała wartość nie budynku, ale parceli, na której stał. To samo w przypadku Chaty, gdzie już jest gotowy projekt nowego pensjonatu.

Za stan zabytku powinien odpowiadać właściciel, a spółka Top Tatry przesłała po pożarze do mediów oświadczenie, że „niestety, nikt nie ma możliwości zabezpieczenia przed włamaniem się do budynku osobom poszukującym schronienia, czyli osobom bezdomnym. Tylko policja i straż miejska dysponuje środkami do aktywnego przeciwdziałania wtargnięciom przez niepowołane osoby". Tymczasem policja i służby konserwatorskie twierdzą, że to obowiązek właściciela, starosta tatrzański, że powinien wkroczyć nadzór budowlany, straż pożarna nic nie może zrobić. Strażnicy miejscy zapowiadali przed zimą, że będą w czasie mrozów kontrolowali wszystkie osiem budynków na terenie Zakopanego, w których gromadzą się bezdomni. Teraz mają już sześć, bo dwa się spaliły.

Najbardziej żal mi tych pięciu Bogu ducha winnych ludzi, którzy zginęli w willach Borek i Chata. Pytałem zakopiańską policję i opiekę społeczną, kim byli, skąd pochodzili, ile mieli lat i co ich doprowadziło do bezdomności. Zarówno na policji, jak i w miejskim ośrodku pomocy społecznej odpowiedziano mi, że trwa identyfikacja zwłok i nie mogą w tej chwili nic o nich powiedzieć, choć od śmierci dwóch pierwszych w willi Borek minęło już prawie dwa miesiące. Choć brak dowodów, wiele wskazuje, że stali się przypadkowymi ofiarami bezpardonowej walki o atrakcyjne tereny budowlane toczonej przez deweloperów, przy kompletnej bezsilności miejscowych urzędów.

Gdy portal LoveKrakow.pl zapytał dr Monikę Bogdanowską, małopolską konserwator zabytków, co sądzi o ostatnich pożarach zakopiańskich willi, odpowiedziała krótko i trafnie:
– Nie trzeba wojny, by zniszczyć nasze dziedzictwo.

Leszek Konarski

Zmarł

Kazimierz Treger

Lubiany i ceniony dziennikarz.
Przez lata sekretarz redakcji
„Sztandaru Młodych".
Erudyta z dużym poczuciem humoru
i ciekawymi pomysłami.

Żonie i Bliskim Kazia bardzo współczujemy
Przyjaciele ze „Sztandaru Młodych"

eprasa.pl ace2ed05c6

W marszu dobrze się myśli

Ekstremalna Droga Krzyżowa to kilkadziesiąt kilometrów pokonywania słabości

Ekstremalna Droga Krzyżowa Mosina-Lubin, jedna z pierwszych w woj. wielkopolskim, 2014 r.

Zuzanna Muszyńska

Piątkowy wieczór pod murami klasztoru. Od wody wieje chłodem, światło księżyca odbija się na czarnej tafli Jeziora Mogileńskiego. Z głośnika na zewnątrz płyną słowa pieśni. Nagle w bramie pojawia się spóźniony na mszę uczestnik drogi. Poznać go po lampce na czole i sporym plecaku dociążonym butelką wody. Po nim nadchodzi uczestniczka w kurtce do kolan i adidasach. I następna, bez czapki, z opaską na głowie. Kolejnego uczestnika podwozi pod drzwi kościoła ojciec. Chłopak wyjmuje z bagażnika plecak i wysoki na ponad pół metra krzyż zbity z gałęzi brzozy. – Na razie jest ciepło – padają ojcowskie słowa otuchy. Minus 3 st. C przy lodowatym wietrze to odczuwalnie co najmniej minus 5 st. C. W nocy temperatura na termometrze spadnie do minus 6 st. C.

Podczas kazania ksiądz przypomina, że droga nie jest sposobem na odchudzanie ciała. Ma służyć upiększaniu duszy. „Rewolucja pięknych ludzi" – to jej tegoroczne hasło. Na trasie obowiązuje reguła milczenia, można iść w grupie lub samotnie, lecz nikt tak naprawdę nie idzie sam, obiecuje ksiądz. Obok zawsze kroczy Jezus. Warto zadawać mu pytania. Najpóźniej w połowie drogi powinny się pojawić pierwsze odpowiedzi.

Przed komunią (ksiądz zapowiada, że będzie podawana na rękę) wchodzi do świątyni jeszcze jedna młoda kobieta. Trzy do dwóch. Za chwilę policzymy wszystkich wychodzących. Nie po to, żeby wykazać łamanie obostrzeń pandemicznych – ani w tym, ani w innych kościołach raczej nie są przestrzegane – ale żeby się dowiedzieć, ile kobiet wybiera się na Ekstremalną Drogę Krzyżową.

Podczas kazania ksiądz przypomina, że droga nie jest sposobem na odchudzanie ciała. Ma służyć upiększaniu duszy.

Cisi, skromni

Wysypują się na placyk przed klasztorem. Ponad setka wiernych (w kościele może przebywać do 40 osób), większość z plecakami. Przeważnie młodzi, radośni. Co najmniej połowa to kobiety. Cieszą się na drogę, ufają, że dojdą do celu. Zapakowali plastry, bandaże, kanapki. Jedni będą czytać rozważania, zatrzymując się przy stacjach, drudzy wysłuchają ich podczas marszu, używając aplikacji EDK. Ksiądz zachęcał pod koniec mszy, aby skorzystać z ostatniej okazji i doładować smartfony. Najwyższy uczestnik drogi, mężczyzna w żółtej kurtce, stoi sam. Na jego twarzy maluje się skupienie. To on okaże się najbardziej ekstremalny – przebiegnie trasę z Mogilna do Gniezna (41 km) w pięć godzin. Inni dotrą do celu w dwa razy dłuższym czasie. Po co idą? Bo święta wielkanocne są najważniejsze, a droga to tradycja. Ofiarują trud w intencji bliskich, za swoje dzieci. Z kim idą? Ze znajomymi, w parach małżeńskich, rzadziej sami.

Olga i Stanisław, licealiści z Kiekrza, wyruszają do Gniezna, ona drugi

eprasa.pl ace2ed05c6

raz na EDK, on pierwszy. Cisi, skromni. Tak nazajutrz opisze wszystkich obecnych pod kościołem św. Jana Apostoła Magda. Jej nie uda się dojść. Odpadnie w połowie trasy dookoła Mogilna (30 km). To mniej niż 40 km zalecane przez ks. Jacka Stryczka, inicjatora EDK. Pozostałe grupy idą do Markowic (39 km) i Starego Lichenia (53 km). Grupa licheńska skręca w prawo za bramą. Gnieźnieńscy i markowiccy idą prosto, zatrzymują się przy stacji I, przed farą. Parę osób klęczy na chodniku, reszta stoi. Kilkadziesiąt metrów dalej czeka ich zejście nad jezioro i pierwsze zderzenie z ciemnością.

Na początku była siła

Idą w Rejkiawiku, w Rzymie, we Lwowie, w Chicago, Ottawie, Monachium, Stavanger i w Kazachstanie – tam, gdzie mieszka Polonia; w Polsce przemierzają szlaki od Tatr po Półwysep Helski. W tym roku zgłosili się chętni z 412 rejonów na 895 tras. W 2020 r. było ich znacznie więcej, ale zostali w domach, zgodnie z wolą organizatorów. I znów są w drodze. „Zbliżamy się do wyników z 2018 r. – ogłasza w internecie ks. Stryczek. – Pandemia wiele zmieniła. Odebrała ludziom siły. Wiadomo. Ale czujemy, że tym bardziej dla wielu osób EDK może być okazją do wzmocnienia sił wewnętrznych i wyjścia z marazmu”.

Korzenie EDK sięgają 2009 r. Ruch powstał w Krakowie, wywodzi się z duszpasterstwa Męska Strona Rzeczywistości. To jedna z formacji świeckich wyłącznie dla mężczyzn. Regularny sport, służba bliźniemu, codzienna modlitwa i wszechstronny rozwój. Szkoła liderów jutra. Na kanale YouTube można znaleźć film z prezentacją kodeksu honorowego MSR – składają się na niego siła, mądrość, odpowiedzialność i honor. Trop wiedzie do relacji z poligonów duchowości, które poprzez ekstremalne wyzwania fizyczne mają doprowadzić członków męskiej wspólnoty do spotkania z Bogiem i poznania siebie. A to pokrywa się z ideą EDK. Jej organizatorzy podkreślają jednak, że nie jest sportem ani przygodą. Drogą zmierza się na spotkanie z Bogiem.

Walka z feminizacją Kościoła metodami muskularnego chrześcijaństwa? EDK to dzieło powszechne, współtworzone przez mężczyzn i kobiety. Liczniki apostazji? W 2018 r. wyruszyło w drogę rekordowe 100 tys. osób.

Katoliczki kontratakują

12 marca, tydzień przed drogą mogileńską, doszło w mediach społecznościowych do wybuchu kobiecej siły. Jeden z wpisów na stronie ruchu zaczynał się od zdania: „EDK to męska duchowość”. Dalej autor przypominał, że droga stanowiła odpowiedź na narastający kryzys męskości. W duchu odpowiedzialności upominał kobiety, że przejście drogi jest wyczynem ekstremalnym. Przywołał przykład uczestniczki, która w połowie trasy usiadła i rozpłakała się z bezsilności. „Odkrycie, że nie istnieje religia *unisex* – taka sama dla kobiet i dla mężczyzn – to wielkie dokonanie środowiska, w którym powstała EDK. Pojawiły się specjalne programy wspierające pogłębienie tożsamości płciowej – kontynuował. – Okazało się, że taka droga niesłychanie przyśpiesza rozwój. Powstała Perła Kobiecości i Męska Strona Rzeczywistości”.

Kobiety odpowiedziały zgodnym chórem. „Ktoś się wam włamał na konto? Bo serio nie chce mi się wierzyć w to, co czytam”, „Jako liderce rejonu EDK jest mi przykro, czytając taki tekst”, „Mam nadzieję, że to tekst prowokujący do dyskusji”, pisały. I dalej: „No cóż, w moim rejonie zazwyczaj na liście uczestników jest więcej kobiet niż mężczyzn, które równie świetnie radzą sobie z takim wysiłkiem”, „Nie rozumiem totalnie, po co na siłę tworzycie te podziały. Przeszłam EDK z koleżankami, 40 km. W jedną noc. Na koniec to już jest samotna droga i nie ma znaczenia, czy jesteś kobietą, czy mężczyzną. W kryzysie męskości na pewno nie pomoże pogłębianie podziałów między płciami”. Głos zabrali również mężczyźni: „Kogoś poniosło. Mariola, ty robisz dwa razy taką trasę co ja, gdybyśmy wybrali się razem, to ja bym był osobą, która by »usiadła i się rozpłakała w połowie trasy«” czy „Nagle okazuje się, że [Kościół] wcale nie jest powszechny, skoro wszyscy wierzący nie mogą uczestniczyć w tej samej duchowości”. I więcej komentarzy o miejscu w szeregu, odtrąceniu, podziałach. „Powiało grzechem pychy”, podsumowała je jedna z internautek.

Na ratunek pośpieszył ks. Jacek. Obliczył, że po publikacji wpisu opuściło EDK 27 osób (przybyło 200 polubień). Sam zablokował dwie, które jego zdaniem nawoływały do nienawiści. Przypomniał o zasadach EDK, które wykluczają szerzenie ▸

Na trasie obowiązuje reguła milczenia.

Po co idą? Bo święta wielkanocne są najważniejsze, a droga to tradycja.

Uczestniczka EDK przed sanktuarium maryjnym w Krasnobrodzie.

FOT. MICHAŁ ADAMSKI, ALEKSANDRA BARANOWICZ

eprasa.pl ace2ed05c6

mowy nienawiści, wskazał też, że rozważania do „Rewolucji pięknych ludzi" powstały w odpowiedzi na jesienne marsze OSK i ataki na Kościół. We wstępie do rozważań faktycznie jest mowa o tym, że „chrześcijanie zawsze mieli wrogów, a Kościół doświadczał kryzysu". Im dalej, tym mniej rewolucji, więcej piękna – o zarażaniu optymizmem oraz radością, o oswajaniu straty, przydatnym w erze pandemii. O wchodzeniu w życie innych ludzi, w ich problemy, zamiast udzielania niezobowiązującej pomocy materialnej, która jest przyjemnością dającego. O uchwyceniu momentu, kiedy można pomóc, jak to uczynił Szymon Cyrenejczyk, dźwigając krzyż dla Jezusa.

Mówią, że najgorzej było o godz. 2 w nocy, bo najzimniej, a jeszcze tyle do przejścia.

Stopy z ołowiu, niedźwiedzie, spokój

O godz. 7 rano w Wełnicy pod Gnieznem świeci słońce, jest pusto i cicho. Kapliczka służąca za stację X stoi na granicy starej i nowej części wsi. Stąd droga wiedzie szosą wśród nagich drzew, do tunelu pod trasą nr 15. Dalej wije się przez wzgórza – miasto raz jest, raz go nie ma. Zza kapliczki (stacja XI) na Zamiejskiej widać najwyższe bloki, a do przejścia ciągle 3 km. Piękne – spacer nad jeziorem, przemarsz przez Starówkę – ale najbardziej bolesne.

– Stopy są jak z ołowiu – mówi Olga. Nie widać po niej zmęczenia. Stanisław trochę kuleje na prawą nogę. Chce częstować czekoladą. Została im z prowiantu. Mówią, że najgorzej było o godz. 2 w nocy, bo najzimniej, a jeszcze tyle do przejścia. Szli sami. Sądzą, że doszli do celu ostatni. Dla mnie byli pierwszymi, których spotkałam w cichy, lockdownowy poranek przy katedrze. Oboje uważają, że rozważania były ciekawe, często trafiały w punkt. Olga postara się zapamiętać na zawsze motto „Przez poświęcenie do uświęcenia". Stanisław twierdzi, że podczas absurdalnie długiej trasy odpoczął. No i w marszu dobrze się myśli.

Magda odpadła z trasy mogileńskiej, przeszkodził jej silny ból pleców. Morsuje, biega, medytuje, a tu taka sprawa. Odczuwa niedosyt. Opowiada o niewidomym pątniku, który szedł z mamą. Czytała mu na głos rozważania przy stacjach. – To są ludzie dla ludzi – mówi o bohaterach drogi. – Kochają życie, kochają Boga. Nie oceniają, a zawsze służą pomocą. Magda nie orientuje się w historii EDK. Tylko dla mężczyzn? One wyszły w szóstkę. Do celu dotarły dwie koleżanki. Za rok kolejna próba.

Z całej Polski płyną meldunki od szczęśliwych ekstremalnych. Nigdy nie było tyle śniegu, co w tym roku! Dali radę. Dowiedli sobie i innym, że nie warto żyć normalnie, warto żyć ekstremalnie. Głos zabierają przede wszystkim kobiety.

W tym roku zgłosili się chętni z 412 rejonów na 895 tras. W 2018 r. wyruszyło rekordowe 100 tys. osób.

Dorota przeszła 68 km z Jarosławia do Przemyśla, zajęło jej to dwie piątkowe noce. „Jestem biegaczką – odpisuje mi w sobotnie południe, mimo wyczerpania. – Tamtego dnia czułam ogromną niemoc, nasilający się ból kręgosłupa i osłabienie po szczepionce przeciw COVID-19. Nie zrezygnowałam. Trasa była trudna. Dużo wzniesień i plecak powodowały coraz większe dolegliwości, ale nie poddałam się. Z Bożą pomocą, w milczeniu i modlitwie dotrwaliśmy do rana. Grupa zwolniła tempo, każdego z nas zaczynało coś dotkliwie boleć. Około godz. 8 współtowarzysze zdecydowali, żeby przerwać podejmowany trud, ponieważ kolejne stacje były za 7 i 9 km, trasa biegła wyłącznie przez las, z dala od ludzi. Zaczęłam bić się z myślami: przecież to tylko 25 km... zawsze dochodziłam do końca... nie mogę przerwać. Długodystansowiec się nie poddaje. Zwyciężyły rozsądek i obietnica, że dokończymy za tydzień. Wygrała solidarność z grupą, wyciszenie *ego*. Rezygnacja z obranego celu była dla mnie największą przemianą. 19 marca mieliśmy startować o 11.30, żeby osiągnąć cel w dzień. Jednak ktoś się rozchorował, kogoś innego rozbolała stopa, a mój towarzysz ze wszystkich dotychczasowych EDK miał pilny wyjazd i mógł iść tylko nocą! Mimo mrozu i perspektywy długiej wędrówki przez las zdecydowaliśmy się. Wystartowaliśmy o 19.10. Słabo oznakowana trasa, wszędobylska ciemność. Oczy zwierząt odbijające się w blasku czołówek. Pohukiwania sowy. Tablice informujące o bytowaniu niedźwiedzi. Postanowiłam się nie nakręcać, stłumić strach. Tegoroczna EDK otworzyła mnie na to, jakie życie jest kruche. Trzeba cieszyć się tym, co najprostsze, codzienne. Częściej mówić, że nam zależy i że kochamy".

Z całej Polski płyną meldunki od szczęśliwych ekstremalnych. Dali radę. Głos zabierają przede wszystkim kobiety.

Damian pierwszy raz wybrał się na EDK z kolegami. Drugi raz szedł, jak pisze, w poszukiwaniu silniejszej więzi z Jezusem. Towarzyszyła mu żona. Podczas pierwszej drogi były momenty zwątpienia, problemy ze skurczami. „W takich chwilach myślałem o Jezusie – wspomina – zastanawiałem się, co czuł, czy się bał. Zrozumiałem, że na pewno radował się na spotkanie z Ojcem. Ta myśl dodała mi sił, zacząłem i ja wyobrażać sobie, jak to będzie, gdy na koniec drogi zobaczę mojego ojca".

Trasa Damiana wiedzie z Andrychowa do Kalwarii Zebrzydowskiej. Co do zmiany świata, wiadomo – nie można go spakować w plecak i zabrać w drogę. Chciałoby się, żeby zapanował pokój, nie było głodu i wszyscy byli dla siebie dobrzy. Co można zrobić już teraz? Wychować dzieci w wierze, na uczciwych ludzi. Żeby potrafiły o siebie zadbać, były szczęśliwe i nie dały się pogoni za pieniądzem.

Życie samo się nie zrobi. Papież Franciszek, błogosławiąc uczestników drogi, radził im wstać z kanapy. Wstają więc, wychodzą z kościołów na pola i w las – nocą – i to jest coś. Wychodzą razem – kobiety i mężczyźni – i to jest coś pięknego.

Zuzanna Muszyńska

eprasa.pl ace2ed05c6

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Pan Matula

Nie wiem, czy ktoś w Łodzi pamięta jeszcze Władysława Matulę. Ten przedwojenny działacz PPS, więzień hitlerowskiego obozu Gross Rosen, po wojnie prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego okręgu łódzkiego i współzałożyciel łódzkiego oddziału Towarzystwa Szkoły Świeckiej, był przyjacielem, a (zważywszy różnicę wieku) zapewne i mentorem mojego dziadka, Jakuba Bytnara. Dziadek rozstał się z babcią w roku 1935, założył nową rodzinę i pozostał w Łodzi, babcia natomiast osiadła z dwojgiem dzieci w Krakowie, z Łodzią zerwała, a o panu Matuli wypowiadała się krytycznie. Pamiętam, jak kiedyś sarknęła: „Władek zawsze taki sam, niczego się nie nauczył" – i podała mamie przysłaną przez kogoś łódzką gazetę, w której stało o nim napisane: „Jeszcze dzisiaj jeździ po różnych ośrodkach województwa łódzkiego, propagując wszędzie świeckość wychowania młodzieży". Babcia uważała, że to właśnie Matula zrobił z dziadka, niegdyś legionisty Piłsudskiego, człowieka oddanego po wojnie „władzy ludowej".

Władysław Matula, wraz z żoną Stanisławą, odwiedził moich rodziców we wrześniu 1963 r. Miałem wtedy 12 lat, interesowałem się historią, toteż po raz pierwszy w życiu dopuszczono mnie do rozmowy dorosłych. Dzięki zażyłości z „ciocią Jadzią", najmłodszą córką pana Matuli, przyjaciółką mamy, wiedziałem o nimbie, jaki otaczał tego 77-letniego patriarchę rodu, ojca pięciorga dzieci. Nie spuszczałem z niego oczu – pamiętam, że rybę jadł palcami, co trochę mnie wtedy gorszyło.

Nie wiem, jak zaczęła się moja z nim rozmowa – zapewne mama opowiadała o szkole, do której chodziłem, bo pan Matula, wychowawca trzech pokoleń młodzieży, chłonął wszelkie informacje o szkolnictwie. Gdy więc dorwałem się do głosu, poskarżyłem się, że w szkole mało się mówi o Tadeuszu Rejtanie, a przy okazji dodałem, że nie obchodzi się święta 3 Maja, bo wszystko zdominował 1 Maja, Święto Pracy. Mówiłem to z szacunkiem należnym gościowi i człowiekowi tyle ode mnie starszemu, ale też trochę prowokująco, wiedziałem bowiem, że pan Matula jest członkiem PZPR, i ciekaw byłem, co mi odpowie. On jednak zareagował życzliwie; mój staroświecki patriotyzm może go w duszy rozbawił, ale nie dał mi tego poznać i dla moich poglądów wykazał zrozumienie.

Oczywiście istotniejsza była jego rozmowa z moim ojcem. Wprawdzie z przedwojennym patriotyzmem mamy i babci ojciec zwykle polemizował, teraz jednak, podobnie jak ja, zajął wobec pana Matuli postawę konfrontacyjną. Spierano się o powstanie warszawskie i brak działań Armii Czerwonej – ojciec oskarżał Stalina i ZSRR. Ale pan Matula nadspodziewanie często z nim się zgadzał, choć równocześnie starał się rozumieć ówczesną sytuację i poczynania radzieckie nieraz usprawiedliwiał. Panowie dyskutowali twardo, ale z szacunkiem i dobrą wolą – była to dla mnie pierwsza w życiu lekcja erystyki. Niemniej jednak myślę dziś, że pan Matula jakby intuicyjnie wyczuł ten kierunek refleksji historycznej, jaki po półwieczu przedstawił prof. Andrzej Leon Sowa w swej świetnie udokumentowanej, naukowej książce „Kto wydał wyrok na miasto?".

W pewnym momencie znów się włączyłem do rozmowy. „W moim podręczniku do historii – wypaliłem – mówi się, że wkroczenie Armii Czerwonej 17 września 1939 r. uchroniło ziemie wschodnie przed okupacją niemiecką. A przecież to dla Polski był nóż w plecy". Odpowiedź pana Matuli jeszcze bardziej mnie zdumiała. „Tak, niewątpliwie – odrzekł – zresztą Rosjanie popełniali na Litwie straszne zbrodnie, równe hitlerowskim. I niewątpliwie podręczniki piszą tu nieprawidłowo". A zatem pan Matula nie tylko przyznał mi rację, ale dodał informację o represjach NKWD na Litwie, a o to wcale go nie pytałem, bo moja wiedza na ten temat była wtedy żadna. No i zrównanie hitleryzmu ze stalinizmem… to dla mnie była rewelacja. Dopiero po latach dowiedziałem się, że pani Matulowa pochodziła z Litwy.

> Odtąd już wiedziałem, że nigdy nie należy przyklejać się do rydwanu zwycięzcy.

Później rozmowa zeszła na inne tory i pan Matula rozwiódł się przez chwilę na temat swego życia. „Przed wojną – mówił – broniłem komunistów, a teraz bronię socjalistów". Nie bardzo to wtedy rozumiałem, lecz z całej rozmowy zdanie to najgłębiej wryło mi się w pamięć. Bo odtąd już wiedziałem, że nigdy nie należy przyklejać się do rydwanu zwycięzcy. I choć było to zgodne z wartościami wszczepianymi mi przez mamę, wtedy po raz pierwszy zostało rzucone na konkretne historyczne tło. Po latach, gdy słyszałem wezwanie Jacka Kuronia, by „bronić słabszego", przypominałem sobie czasem pana Matulę.

Taka była, toczona prawie 60 lat temu, konfrontacja 12-letniego krakowskiego ministranta z dobiegającym osiemdziesiątki łódzkim PZPR-owcem. Konfrontacja wypadła przyjaźnie. No a szkoła świecka? Dziś widzę, że także w tej sprawie pan Matula miał rację.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ace2ed05c6

Człowiek z ołtarza

Władysław Ślazyk, zakrystian kościoła Mariackiego, samotnie wychował 20 dzieci pochodzących z biednych rodzin

Leszek Konarski

Pięć lat trwała zakończona kilka tygodni temu konserwacja ołtarza Wita Stwosza w kościele Mariackim w Krakowie, dzieła nieprawdopodobnie pięknego, wysokiego na 13 m, a szerokiego na 11 m. Przez 12 lat, od 1477 do 1489 r., przybyły z Norymbergi Wit Stwosz w drzewie lipowym wyrzeźbił ponad 200 figur, konstrukcja powstała z twardego dębu, a tło z modrzewia.

Pracami konserwatorskimi, poprzedzonymi inwentaryzacją ołtarza wykonaną metodą skaningu laserowego 3D, kierował interdyscyplinarny zespół prof. Jarosława Adamowicza, szefa Pracowni Konserwacji i Restauracji Malowideł na Drewnie Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Przy renowacji ołtarza – a koszt prac wyniósł 13,7 mln zł – pracowali fachowcy z wielu dyscyplin, wspomagani przez naukowców oraz badaczy nie tylko z Polski, ale i z zagranicy. Dzięki ich wysiłkom dzisiaj ołtarz jest jeszcze piękniejszy. Korzystając z XIX-wiecznych fotografii, odsłonięto pewne elementy dawnej polichromii gotyckiej, zmieniono niektóre kolory tła, czerń zastąpiono czerwienią, w scenie głównej w drugim planie zmieniono usytuowanie apostołów, a dwóm aniołom nawet pozamieniano skrzydła.

Ten ołtarz, będący jednym z najbardziej znanych polskich zabytków sakralnej sztuki rzeźbiarskiej, to również dzieło, z którym jestem związany emocjonalnie od lat. Mieszkam w pobliżu kościoła Mariackiego i wpatrując się w 200 nieruchomych figur wyrzeźbionych przez Wita Stwosza, poznałem jedną figurę żywą, chodzącą po kościele, nadzwyczaj podobną do tych wyrzeźbionych, z którą bardzo się zaprzyjaźniłem i której towarzyszyłem aż do śmierci w 1985 r. Był to Władysław Ślazyk, zakrystian i przez 25 lat opiekun mariackiego ołtarza.

Żywy zabytek Krakowa

Codziennie, kilka minut przed wybiciem godz. 12, przed ołtarzem mariackim zjawiał się mężczyzna o długich, siwych włosach, w kamizelce zdobionej tarczami szkolnymi i przy dźwiękach kościelnej muzyki celebrował otwarcie za pomocą długiej tyczki skrzydeł ołtarza, a o godz. 19 z tą samą celebrą je zamykał. Z twarzy tego człowieka biła jakaś niezwykła moc i dobroć. Godzinami rozmawialiśmy, siedząc przed ołtarzem w kościelnych ławkach, potem często odwiedzał mnie w domu. Nazywano go Wernyhorą, a dla mnie był jedną ze średniowiecznych postaci z ołtarza.

Ślazyk o dziele Wita Stwosza wiedział wszystko, bo ten ołtarz, którym opiekował się od 1957 r., czyli od czasu, gdy po wojennych perypetiach

eprasa.pl ace2ed05c6

Koszt renowacji ołtarza mariackiego wyniósł 13,7 mln zł.

powrócił do krakowskiego kościoła, kochał jak własne dziecko. Codziennie oprowadzał wycieczki z całego świata, witając podobnie każdą grupę: „Był tu już cesarz Hajle Syllasje z małżonką, był prezydent Francji de Gaulle, był premier Pompidou, a teraz wy jesteście". Gdyby ktoś nie uwierzył, wyciągał z kieszeni sztambuch z podpisami szefów państw, ministrów, dyplomatów, prymasa Stefana Wyszyńskiego czy Andrzeja Wajdy. Nikt nie odmawiał mu swojego podpisu, każdy jego inteligentną i uduchowioną twarz zapamiętywał jak sam ołtarz. Premier Cyrankiewicz czy premier Francji Chaban-Delmas witali się z nim jak z dobrym znajomym. Jego charakterystyczna postać wzbudzała zachwyt filmowców, zagrał jako statysta m.in. w „Historii żółtej ciżemki" Sylwestra Chęcińskiego, „Z dalekiego kraju" Krzysztofa Zanussiego czy w „Weselu" Andrzeja Wajdy. Kolekcjonował metalowe odznaki z nazwami różnych miast, których zgromadził ponad 800, oraz tarcze szkolne – miał ich ponad 600.

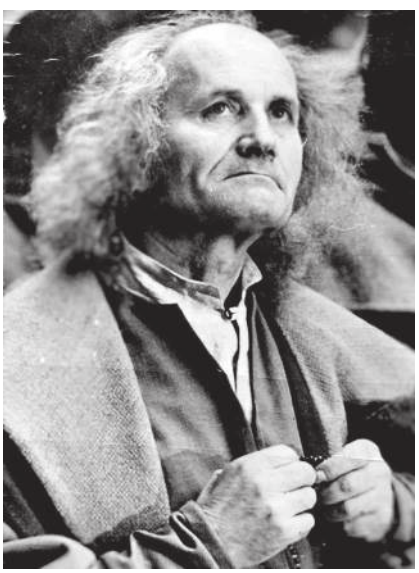

Władysław Ślazyk w filmie o Koperniku.

Ale mało osób wie o prywatnym życiu mariackiego zakrystiana. A całe jego życie to pomaganie innym w potrzebie, tysiące przykładów poświęceń dla dobra bliźnich. Choć był kawalerem, wychował 20 dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej, którym zapewnił wykształcenie i start w dorosłe życie. Pochodziły one ze Słopnic Szlacheckich lub okolic. Zajął się dziećmi swoich sióstr, które młodo owdowiały i nie były w stanie zapewnić im wykształcenia. Przyjmował do siebie również całkowite sieroty, skazane na pobyt w domach dziecka; adoptował je lub stawał się dla nich opiekunem zaakceptowanym przez sąd.

Jednopokojowe 40-metrowe mieszkanie Ślazyka na pierwszym piętrze przy ul. Limanowskiego 50 w Krakowie było dla nich prawdziwym domem. Łzy zakręciły mi się w oczach i długo nie mogłem przyjść do siebie, gdy po raz pierwszy zobaczyłem, jak troszczy się o dzieci i w jakich okropnych warunkach z nimi mieszka. Nikt nie był zainteresowany załatwieniem mu większego mieszkania, władze miasta twierdziły, że to sprawa pracodawcy, czyli Kościoła, kuria uważała, że powinno to zrobić miasto. Swoje serce przez całe życie ofiarowywał innym, jemu nikt nie chciał przyjść z pomocą.

Władysław Ślazyk urodził się 6 kwietnia 1907 r. w Słopnicach Szlacheckich koło Limanowej. Przed wojną ukończył szkołę dla nauczycieli w Nowym Sączu. W 1929 r. wyjechał do Lwowa i tam wraz z ks. Michałem Rękasem prowadził Apostolstwo Chorych i Radio dla Chorych. Tuż po wybuchu II wojny światowej postanowił wrócić do Słopnic i zaangażował się w pomoc ubogim, samotnym i ofiarom działań hitlerowskich. Pod koniec okupacji przyjął w Słopnicach transport 47 chorych na tyfus przywiezionych po powstaniu warszawskim z obozu w Pruszkowie, założył dla nich szpital polowy i był jedyną osobą, która nie opuściła ich aż do wyzdrowienia, pełniąc funkcję lekarza, pielęgniarki, salowej i kucharki. Zmarło siedem osób, reszta przeżyła.

Poza 200 nieruchomymi postaciami na ołtarzu jedna była żywa, chodząca po kościele, piękna swoją duszą.

Po wojnie pracował jako nauczyciel w kilku szkołach podstawowych, potem w Krakowie w Zakładzie dla Nieuleczalnie Chorych im. Brata Alberta, a następnie jako bibliotekarz w Bibliotece Jagiellońskiej. W 1957 r. proboszcz bazyliki Mariackiej ks. Ferdynand Machay przyjął go do pracy w charakterze zakrystiana i kustosza ołtarza.

Don Giuseppe

Jednym z dwudziestki jego dzieci, adoptowanym i wychowanym, jest mieszkający dzisiaj w Domu Polskim Jana Pawła II w Rzymie przy via Cassia ks. Józef Kazimierz Ślazyk, który jest również proboszczem

eprasa.pl ace2ed05c6

w miejscowości Leofreni, położonej w górach Cicolano, 80 km na północny wschód od stolicy Włoch. W skład jego parafii wchodzi 11 wsi i siedem kościołów, które musi duszpastersko obsłużyć. O sobie mówi, że jest misjonarzem, bardem i poetą, nigdy nie rozstaje się z gitarą, koncertuje we Włoszech i w Polsce, znany jest jako śpiewający Don Giuseppe.

Petronela, matka ks. Ślazyka, po wczesnej śmierci męża została sama z dziewięciorgiem dzieci, nie miała środków na ich wychowanie. Jej brat Władysław, który już wtedy był zakrystianem w kościele Mariackim, zabrał Józefa do Krakowa, adoptował go, posłał do liceum, pilnował jego nauki w seminarium salezjańskim. Potem ks. Józef wyjechał na misję do Brazylii, gdzie był kapelanem kolonii polskiej w São Paulo i proboszczem parafii Santa Luzia, która liczyła 120 tys. wiernych, głównie ludzi bardzo biednych, mieszkających w podmiejskich fawelach. Przy tamtejszej parafii prowadził przytułek dla 300 dzieci, przeważnie sierot. W lipcu 1997 r. trafił do Włoch, gdzie w górach Cicolano zaprzyjaźnił się z miejscowymi góralami i, jak sam mówi, „pisze tu swoje wiersze, zapiski, pieśni i pieśniczki". Chwali w nich Boga, ale również swojego przybranego ojca, przewodnika po ołtarzu Wita Stwosza.

– Dla mnie wujek Władysław i zarazem ojciec to była chodząca postać z mariackiego ołtarza. Zawsze był uśmiechnięty, wszystkim chciał pomagać. Jego życie i czyny przewyższają dokonania wielu błogosławionych i świętych wyniesionych na ołtarze. To on mnie wychował i wykształcił, za co mu jestem dłużny dozgonną wdzięczność. Tacy szlachetni i dobrzy ludzie rodzą się raz na sto lat. Bóg zapłać za wszystko, drogi wujku i ojcze Władysławie.

Laska, którą autor artykułu przekazał bazylice Mariackiej.

W kamizelce ozdobionej tarczami szkolnymi.

W lipcu 2019 r. ks. Józef Kazimierz Ślazyk przekazał uroczyście ks. infułatowi Dariuszowi Rasiowi, archiprezbiterowi bazyliki Mariackiej, w towarzystwie wójta Słopnic Szlacheckich, słynną kamizelkę Władysława Ślazyka ozdobioną tarczami szkolnymi, która zawisła w punkcie sprzedaży biletów dla zwiedzających ołtarz Wita Stwosza przy pl. Mariackim 7 i można ją tam zobaczyć. Jego słynna peleryna, też z tarczami, została przekazana w 2004 r. Janowi Pawłowi II i znajduje się w zbiorach watykańskich. W poniedziałek, 15 marca br., spotkałem się z księdzem infułatem Dariuszem Rasiem i przekazałem mu laskę mariackiego zakrystiana, obitą odznakami i monetami z całego świata, którą nosił w czasie wielkich kościelnych uroczystości. Wkrótce laska ta ma zawisnąć obok kamizelki. Skąd u mnie się znalazła?

Generał ponad podziałami

Przez całe lata próbowałem pomóc Władysławowi Ślazykowi w załatwieniu mieszkania, bo widziałem, w jakich strasznych warunkach wychowuje w jednym pokoju gromadkę dzieci z biednych rodzin, sierot i półsierot. Pisałem, gdzie tylko było można, bez żadnego skutku. Ślazyk prosił o pomoc krakowskich metropolitów, Wojtyłę i Macharskiego, pisał do kolejnych prezydentów Krakowa, pokazywał mi list do Gierka. Nic nie pomogło.

W połowie 1982 r. Ślazyk przyniósł mi swoje jedyne odznaczenie, a był to przyznany mu przez ministra obrony narodowej srebrny medal „Za zasługi dla obronności kraju" przeznaczony dla rodziców, którzy wychowali wiele dzieci na wzorowych i ofiarnych żołnierzy, a czworo jego wychowanków zostało zawodowymi żołnierzami. Jak widać, nikt wtedy nie myślał, że rodzina to musi być tata z mamą, i on jako człowiek samotny, kawaler, też został uznany za rodzinę i odznaczony. Napisałem więc list do gen. Wojciecha Jaruzelskiego jako zwierzchnika sił zbrojnych. Opisałem, w jakich warunkach żyje pracownik kościoła Mariackiego w Krakowie, który wychował tyle dzieci, w tym czwórkę żołnierzy.

Po dwóch tygodniach Władysława Ślazyka odwiedzili dwaj oficerowie z wojewódzkiego sztabu wojskowego i gdy zobaczyli jego mieszkanie, nie chcieli wierzyć, że samotny człowiek w takich warunkach może wychowywać tyle dzieci. Po kilku miesiącach przyszło pismo, że prezydent Krakowa Józef Gajewicz przyznaje Ślazykowi i jego dzieciom, a wtedy mieszkało ich chyba dziesięcioro, czteropokojowe mieszkanie przy ul. Teligi 16 w dzielnicy Prokocim. To piękna historia o tym, że ludzie mogą sobie pomagać ponad podziałami politycznymi i religijnymi – gen. Jaruzelski załatwił mieszkanie pracownikowi kościoła Mariackiego w Krakowie.

Tuż po przeprowadzce Władysław Ślazyk ofiarował mi swoją laskę z nabitymi na nią odznakami, głównie z miast byłego Związku Radzieckiego, bo młodzież zza wschodniej granicy najchętniej dzieliła się z nim takimi odznakami. Przez ponad 30 lat ta laska wisiała w moim mieszkaniu, przypominając mi wspaniałego człowieka. Dziś jest już w bazylice Mariackiej, a ja, myśląc o wszystkich ludziach, których przez lata w życiu spotkałem, przyznaję rację ks. Józefowi z Rzymu, że człowiek od ołtarza mariackiego to również mój kandydat na świętego. Mogę być świadkiem jego dokonań.

Leszek Konarski

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS, BEATA ZAWRZEL/REPORTER (2), ARCHIWUM BAZYLIKI MARIACKIEJ W KRAKOWIE, LESZEK KONARSKI

eprasa.pl ace2ed05c6

Wóz w wodzie

Jak wyjść z tonącego samochodu

Robert Borkowski

Niedawna tragedia w Dziwnowie zmusza do refleksji nad szczególnym rodzajem zdarzeń, które klasyfikuje się jako wypadki drogowe, ale faktycznie są wypadkami w wodzie. Kierująca pojazdem z niewiadomych przyczyn nagle skręciła i wjechała w lukę pomiędzy kutrami zacumowanymi na Zalewie Kamieńskim. Rozpędzony samochód zatonął w odległości 10 m od brzegu, nikt z czteroosobowej rodziny nie wydostał się spod wody. Ten wypadek był absolutnie nietypowy z racji braku śladów hamowania. Jednak prawie co roku w wypadkach kończących się wjechaniem do akwenów giną ludzie.

W sierpniu 2017 r. w kanale Wisły w małopolskich Łączanach utonął młody kierowca cinquecento. W listopadzie dwie osoby zginęły w samochodzie, który wpadł do Warty w Kostrzynie. W grudniu 2019 r. pięciu młodych ludzi utonęło w aucie w rozlewisku w okolicy Ciborza w Lubuskiem. W ubiegłym roku zginął kierowca, który wjechał do Odry w centrum Szczecina. Już w tym roku zdarzyły się cztery wypadki zakończone wodowaniem, jednak szczęśliwie nikt nie zginął.

Przyczyną tych zdarzeń jest zwykle przekroczenie prędkości, co powoduje wyrzucenie auta z zakrętu. Czasami powodem tragedii jest brak zastanowienia się nad wyborem kierunku jazdy przy ruszaniu z piskiem opon. Zdarza się też chęć niebezpiecznej zabawy, czyli jazda po zamarzniętym akwenie.

Urząd ds. Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego (National Highway Traffic Safety Administration, NHTSA) podaje, że każdego roku w Stanach Zjednoczonych dochodzi do 1,2-1,5 tys. wypadków, w których pojazd zostaje zanurzony w wodzie. W wyniku takich zdarzeń śmierć ponosi ok. 400 osób rocznie. Dlatego Amerykanie na wielką skalę rozwinęli szkolenia z zakresu ewakuacji z kabiny tonącego pojazdu. Stosuje się trenażery w formie kabin opuszczanych do basenów. Podobne, lecz komercyjne i łatwiejsze szkolenia prowadzi się obecnie w kilku krajach dla wszystkich, którzy chcieliby opanować tego rodzaju umiejętności.

W wypadku w Dziwnowie 28 lutego br. zginęła czteroosobowa rodzina.

A są one potrzebne, bo kierowcy i pasażerowie giną, nie wiedząc, jak się wydostać z tonącego samochodu. W panice rozpaczliwie szarpią drzwi, których nie da się przecież otworzyć z powodu naporu wody z zewnątrz, tracąc w ten sposób siły i cenne sekundy. A przecież można się uratować nawet z tak niebezpiecznych sytuacji.

W amerykańskich i kanadyjskich badaniach stwierdzono, że przed zatonięciem większość pojazdów będzie się unosić na powierzchni wody od 30 do 120 sekund. To najlepszy moment na podjęcie próby wyjścia z pojazdu przez otwarte okna, zanim woda dotrze do poziomu szyb.

Konstruktorzy samochodów zapewniają, że elektryczne otwieranie szyb powinno działać pod wodą przez kilka minut nawet po całkowitym zanurzeniu. Jeśli jednak okna będą zablokowane, należy próbować wybić szyby młotkiem do szyb lub innym narzędziem, samymi rękami jest to niewykonalne. Można też próbować wypchnąć nogami przednią szybę, zapierając się mocno w fotelu. Warto mieć pod ręką w samochodzie nożyk do przecięcia pasów bezpieczeństwa i małe narzędzie do rozbicia szyby. Szybę można także rozbić zagłówkiem, który łatwo wyjmuje się z oparcia fotela – jest zakończony dwoma metalowymi rurkami, którymi łatwo rozbija się szkło. Należy złapać krawędź dachu samochodu i wyślizgnąć się przez okno, a potem wypłynąć w górę.

Jeśli nie udaje się otworzyć okien, pozostaje najtrudniejszy sposób uwalniania się, czyli oczekiwanie, aż samochód wypełni się wodą, i podjęcie próby otwarcia drzwi, jeśli nie są uszkodzone. Pod wodą drzwi będą stawiać znaczny opór, który trzeba pokonać, napierając na nie całym ciałem lub nogami. Pamiętajmy, że nawet w zupełnie zanurzonym samochodzie pod sufitem będzie się utrzymywać poduszka powietrza umożliwiająca nabranie oddechu przed wypłynięciem.

Wszystko to trudniej wykonać zimą, gdy grubsza odzież utrudnia ruchy, woda jest lodowata, a na powierzchni akwenu zalega lód. Nawet minimum sprawności fizycznej i choćby podstawowa umiejętność przepłynięcia kilku metrów mogą wówczas zadecydować o przeżyciu.

TRZY GŁÓWNE ZASADY PRZETRWANIA W SYTUACJI, GDY AUTO WPADŁO DO WODY:

1. **odepnij pasy**
2. **otwórz okno lub wybij szybę**
3. **wyjdź przez okno** (wypchnij najpierw dzieci, potem ewakuują się dorośli)

Robert Borkowski jest profesorem Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, ratownikiem wodnym i płetwonurkiem, przewodniczącym Komisji ds. Innowacji Technicznych i Technologicznych w Ratownictwie Wodnym Śląskiego WOPR

FOT. PIOTR DOMIN/AGENCJA SE/EAST NEWS

eprasa.pl ace2ed05c6

Staram się robić to, co potrafię najlepiej

Tylko w marcu wykonaliśmy tyle wszczepień implantów, co wszystkie amerykańskie ośrodki w ciągu roku

Rozmawia Barbara Jagas

PROF. HENRYK SKARŻYŃSKI
– dyrektor Światowego Centrum Słuchu oraz Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu w Kajetanach

Czy widział już pan swoją książkę?

– Tak. Jestem zdziwiony, że udało mi się tak szybko, bo w ciągu zaledwie trzech miesięcy, przekształcić coś, co pisałem przez kilka lat. Mam na myśli scenariusz filmu, którym chciałem uhonorować 250. rocznicę urodzin Ludwiga van Beethovena, a także w tle jego tragedii pokazać losy moich pacjentów, którzy jednak mogli odzyskać słuch. Zamiast filmu powstała książka, ponieważ na jego realizację nie znalazłem środków, m.in. z powodu pandemii, która przerwała kontakty międzyludzkie.

Na okładce, według projektu Rafała Olbińskiego, mamy obraz ucha powstałego z pary lokomotywy ciągnącej pociąg, którym w 1973 r. 19-letni Henryk wyrusza w świat.

– Jadę z Czyżewa do Warszawy, na studia medyczne, które również kończyła siostra. Jeszcze wtedy nieśmiało marzę o sukcesach, ale z czasem nabiorę odwagi i przystąpię do ich realizacji, wykorzystując wszystkie możliwości, jakie da mi los.

Czy młodzieńcze marzenia się spełniły?

– Tak, w zupełności. Jestem po prostu zakochany w tym, co robię, o czym świadczą fakty. Kiedy widzieliśmy się pod koniec 2019 r., to mówiłem o ponad 200 tys. wykonanych operacji uszu. Od tego czasu, uwzględniając trudny okres pandemii, wykonałem kolejne 10 tys. Bardzo mnie to cieszy, bo następna grupa dzieciaków dostała szansę na lepsze życie.

Przy tym wszystkim nie zabrakło czasu na napisanie książki „Powrót Beethovena", beletrystycznej, ale z elementami autobiograficznymi.

– Sporo tam o mnie i naszym zespole, ale przede wszystkim to historia Olafa, który jest symbolem drogi, jaką przechodzą tysiące moich podopiecznych.

Mnie zainteresowała historia przyjaźni z Olgą, mamą Olafa. Wyglądało to trochę jak romans.

– Nie, to nie był romans, miałem tylko wiele sympatii do Olgi, która pochodziła z polskiej rodziny zesłanej w czasie zaborów na Syberię. W mojej rodzinie też byli tacy zesłańcy, ale z okresu II wojny światowej. Ale niezależnie od wszystkiego Olga to piękna kobieta i bardzo zagubiona, zwłaszcza po śmierci męża, z pochodzenia Niemca, pozostawiona sama z niepełnosprawnym synem, który był od urodzenia głuchy. Takie samotne matki zawsze rodzą we mnie wielkie współczucie.

Czy Fundacja Rozwoju Medycyny Człowiek – Człowiekowi istniała naprawdę i czy zbieraliście państwo pieniądze na terapię osób głuchych?

– Tak, powstała w 1990 r. z mojej inicjatywy i leży u podstaw tego wszystkiego, co dzieje się w Kajetanach. To my wybudowaliśmy przyszłe Światowe Centrum Słuchu, oddając na ten cel teren i budynki. A potem, na przekór ówczesnym trendom, przekonani, że placówka będzie służyła nauce i medycynie, przekazaliśmy ją skarbowi państwa. Ten nierozważny krok spowodował, że Światowego Centrum Słuchu, w powstanie którego wielki wkład wniósł cały zespół instytutu, nie prowadzi organizacja pozarządowa, która go utworzyła. W konsekwencji musimy znosić liczne kontrole, które na szczęście nie udowodniły żadnych nieprawidłowości, ale przecież zabierają czas, przeszkadzają w pracy. W myśl obecnego prawa można też mnie odwołać jako dyrektora instytutu, nawet bez podania powodu. Szczęśliwie tego nie zrobiono, a już od 25 lat kieruję placówką, w której ciągle wre praca;

Pod koniec 2019 r. mówiłem o ponad 200 tys. wykonanych operacji uszu. Od tego czasu wykonałem kolejne 10 tys.

eprasa.pl ace2ed05c6

tylko w marcu wykonaliśmy jako jeden ośrodek tyle specjalistycznych procedur związanych ze wszczepianiem implantów, co wszystkie ośrodki w USA w ciągu roku.

Brawo! Ale nie tylko operuje pan pacjentów, ale także zajmuje się nimi, śledzi ich dalsze kariery i... pisze dla nich wiersze.

– Może powiem inaczej: przeżywam razem z nimi ich tragedie i radości. A to się przekłada na to, że poświęcam im swoje teksty. Lubię patrzeć, jak się zmieniają, rozwijają, w każdym widzę potencjał na sukces. Te przeżycia przelewam na papier, ale też wiele emocji zostaje we mnie. To wszystko daje mi nieprawdopodobny napęd do pracy.

Pacjenci są zawsze na dłużej związani z Kajetanami, przyjeżdżają na kontrole, ale i różne zajęcia rozwojowe, np. muzyczne.

– Potem ich wspominam, a to wywołuje wzruszenie, czasem nawet łzy. Szczególnie przeżywam te najtrudniejsze historie.

Są też powody do radości. Kolejna pacjentka została lekarką. Myślę, że pan często pokazuje im przyszłość, mobilizując do działania, także w kierunku rozwoju muzycznego, co jest możliwe już w Kajetanach.

– Od pewnego momentu rzeczywiście tak się dzieje, bo jak zobaczyłem, że jest wśród nich tylu uzdolnionych muzycznie ludzi, to zapragnąłem, aby pojawili się na scenie. W ten sposób zrodził się pomysł Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego „Ślimakowe Rytmy", w którym moi podopieczni mogli zaistnieć artystycznie. Byłem z nimi nawet dwa razy w Parlamencie Europejskim, gdzie występowali podczas sesji poświęconej nauce i wynalazczości, co umożliwił nam prof. Jerzy Buzek.

Pamiętam, że były problemy z wystawieniem musicalu „Przerwana cisza", do którego napisał pan libretto. Aż pojawił się Michał Znaniecki, który z chęcią go wyreżyserował.

– Tak, początkowo odnoszono się z rezerwą do moich pomysłów, tym bardziej że postawiłem warunek, że mają zagrać pacjenci Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu. Ale Michał Znaniecki od razu pozytywnie zareagował.

On nie boi się takich tematów.

– Tak, a potem mi mówił, że młodzież znakomicie się spisała na scenie. Potrafili rzeczywiście świetnie pokazać problemy osób, które nie słyszą, różne ich perypetie, a także radość z odzyskanego słyszenia. Takie dzieciaki muszą mieć sporo samozaparcia, by pokonywać przeszkody stawiane przez otoczenie – kolegów, szkoły itp. – i to zostało przedstawione w tym pierwszym tego typu światowym widowisku. Zaufaniem obdarzyły mnie i pacjentów dyrekcja Warszawskiej Opery Kameralnej, na scenie której wystawiono musical, a także Zarząd Województwa Mazowieckiego.

Jednym z głównych bohaterów „Powrotu Beethovena" jest Olaf, który po odzyskaniu słuchu studiuje muzykologię w Wiedniu.

– Zależało mi na tym, aby pokazać takich ludzi jak Olaf. Pewnie, że nie jestem zawodowcem w pisaniu...

Jak to nie! Przecież od lat pisze pan wiersze. Zapamiętałam „Zaczarowany fortepian", dla Małgosi, podopiecznej, która została potem lekarką.

– Dziś jest już po doktoracie i właśnie przygotowuje się do habilitacji. To fantastyczna dziewczyna i świetny pracownik naukowy.

Małgosia urodziła się głucha?

– Nie, przyszła na świat jako normalnie słysząca dziewczynka, chodziła do szkoły powszechnej i muzycznej i nagle straciła słuch, całkowicie. Potem trafiła do Kajetan, gdzie ją zoperowałem. Pamiętam, że w pierwszym uchu wszczepianie implantu trwało około sześciu godzin, bo to ucho wewnętrzne już zarastało, ale z drugim było dużo lepiej. Małgosia ukończyła liceum, następnie studia medyczne, zajęła się karierą naukową, gra na pianinie.

Jak się pozyskuje do projektów artystycznych takich świetnych współpracowników jak Krzesimir Dębski, który pomagał w organizowaniu „Ślimakowych Rytmów"?

– Poznaliśmy się na jakimś spotkaniu towarzyskim. Mówiłem wtedy, że mamy takich pacjentów, którzy grają i śpiewają, a ja coś tam dla nich piszę. Opowiadałem o ich występie na scenie Teatru Narodowego w 2009 r., kiedy grali na różnych instrumentach z okazji inauguracji Europejskiego Kongresu Naukowego. I Krzesimir to podchwycił, mówiąc: „To może byśmy napisali muzykę, a oni by zaśpiewali?". Pokazałem mu więc parę swoich tekstów i on bardzo szybko skomponował do nich muzykę. Moi pacjenci zaśpiewali je w Filharmonii Narodowej, gdzie odbył się koncert z okazji 20. rocznicy powstania Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu i 25. rocznicy wszczepienia pierwszego implantu w Polsce; moje wiersze recytowali Ignacy Gogolewski i Jerzy Stuhr, wystąpili też Hanna Śleszyńska, Jacek Wójcicki, Ryszard Rynkowski, którzy śpiewali moje utwory o medycynie i telemedycynie. Następnie Krzesimir napisał muzykę do musicalu „Przerwana cisza".

Mówią, że praca jest pańską misją, że jest pan cudotwórcą, bo daruje ludziom słuch.

– Tak można powiedzieć. Ale to jest połączony wysiłek tego, który coś podarował, i osoby, która to otrzymała; ważna jest też współpraca rodziny, otoczenia. Ja mogę dać tylko pewne możliwości, podstawę do tego, by ktoś rozwijał się słuchowo.

W „Powrocie Beethovena" ojciec Olafa gra głuchemu synowi „Sonatę Księżycową" Beethovena.

– Gra utwór jednego ze swoich wielkich przodków, który tracił słuch. Pewnie chciał, by jego syn rozwijał się słuchowo i muzycznie. Może przeczuwał, że kiedyś będzie grał? Nie wiedział wtedy, że syn jest głuchy. Często słucham Beethovena, w ten sposób się odprężam, a szczególnie lubię „Sonatę Księżycową", którą Ludwig napisał dla swojej ukochanej, hrabianki Giulietty Guicciardi, która jednocześnie była jego uczennicą.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ace2ed05c6

Dotarłem nawet do instrumentu, na którym prawdopodobnie została skomponowana. Jest to klawikord, który w tej chwili znajduje się w muzeum w Pszczynie. Chcieliśmy, aby z okazji 250. urodzin mistrza jeden z moich pacjentów zagrał na nim. Ale okazało się, że instrument jest w trakcie renowacji. Musimy więc poczekać.

Lubię patrzeć, jak moi pacjenci się zmieniają, rozwijają, w każdym widzę potencjał na sukces.

Miłość do muzyki udało się połączyć z medycyną. W Kajetanach są zajęcia z muzykoterapii, bo pod wpływem muzyki aktywizują się u człowieka obie półkule mózgowe, co wpływa istotnie na jego rozwój.

– To jedna z pierwszych myśli, które pojawiły się po operacjach ucha: zrobić wszystko, by przyśpieszyć rozwój słuchu po zabiegu, nadrobić utracony czas, zapewnić rozwój mowy i komunikacji z otoczeniem. Chodziło o to, by mój wysiłek nie poszedł na marne. Natomiast przy okazji wyszło, że ma to wpływ na rozwój artystyczny tych osób. Ale powiem coś więcej: moi pacjenci uczą się także z powodzeniem języków obcych. Niektórzy znają ich więcej niż dwa-trzy.

To niesłychane.

– Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale te dzieci są naprawdę zdolne i pracowite. A na pewno u podstaw tego wszystkiego leży muzyka. Właśnie teraz przygotowujemy do druku pierwszy podręcznik do muzykoterapii, z dołączonymi do niego utworami, które są napisane i nagrane w odpowiednich częstotliwościach, tak aby móc ich słuchać pasywnie, czyli mieć w otoczeniu taką muzykę, a także aktywnie, odtwarzając jej poszczególne fragmenty na różnych instrumentach. To wszystko daje znakomite bodźce do rozwoju słuchu, co potem przekłada się na rozwój mowy. Będzie z tej pozycji ogromny pożytek.

Jedno z pana mott życiowych brzmi: „Życie jest za krótkie, by przejść przez nie byle jak i by nie pozostawić po sobie choćby śladu".

– Staram się po prostu robić to, co potrafię najlepiej, czyli zajmuję się przywracaniem słuchu. Jestem autorem szkoły leczenia częściowej głuchoty i zajmuję pierwsze miejsce w międzynarodowym zbiorze literatury naukowej pod względem liczby napisanych artykułów na ten temat. Jestem inicjatorem badań przesiewowych w różnym wieku w Polsce, Europie i na innych kontynentach. Zajmuję piąte miejsce w zbiorze światowej literatury na ten temat (dla hasła *hearing screening*) obejmującym ponad 86,5 tys. artykułów oraz dziewiąte miejsce w całym współczesnym zbiorze dotyczącym słuchu (hasło *hearing*), liczącym 158 427 artykułów naukowych. Tak, pragnę swoim życiem, które obfituje w tysiące różnych zdarzeń w dziedzinie nauki i medycyny, pozostawić ślad.

Podważył pan teorię słyszenia, za którą węgierski uczony Georg von Békésy otrzymał w 1961 r. Nobla.

– Tak, a konkretnie podważyły to wyniki moich operacji przywracania słuchu w częściowej głuchocie, których jestem prekursorem, bo po wszczepieniu implantu ślimakowego udaje się połączyć resztki słuchu naturalnego ze sztucznym. Teoria Békésyego to wykluczała. Tymczasem okazało się, że można łączyć bodźce odbierane przez wszczepiony implant z tymi, które odbiera nie do końca zniszczone ucho; a mądra kora słuchowa przetworzy je potem na zrozumiałe dla człowieka dźwięki.

Czy z tego wynika, że nie będzie głuchych z powodu wieku?

– Tak może i powinno być. Do tej pory takie osoby, tracące słuch w zakresie wysokich częstotliwości, nie miały szans na leczenie, ale już teraz mogą liczyć na pomoc, bo w efekcie operacji można uzyskać nawet 100% rozumienia mowy.

Ale podobno nie udało się pomóc tracącemu słuch Brianowi Johnsonowi z AC/DC, który do pana się zgłosił. To pytanie o porażkę.

– Przede wszystkim nieprawda, że sam się zgłosił, to myśmy zaproponowali mu konsultacje, kiedy pojawiły się w wielu mediach informacje o jego problemach ze słuchem. Ale nie skorzystał z naszej propozycji. Podobno panicznie boi się operacji. A więc nie dał nam nawet szansy na pomoc.

Czytam kolejne motto zamieszczone w książce: „Dobro chorego najwyższym prawem".

– Chory ma skorzystać z tego, co nauka i medycyna mają mu do zaoferowania. Ja mogę powiedzieć, że moja – i nasza, zespołowa – pozycja sprawia, że polscy pacjenci mają rzeczywiście dostęp do najnowszych technologii, jeśli chodzi o operacyjne leczenie różnych typów głuchoty. Pokazałem to podczas 1,2 tys. operacji wykonywanych na żywo w Kajetanach, które widziało ponad 4,5 tys. naukowców ze wszystkich kontynentów. Jak również podczas operacji pokazowych w wielu krajach w Europie, Azji i Ameryce Południowej. Natomiast porażką jest w tej chwili ogromna kolejka do tych zabiegów w Kajetanach.

Z powodu pandemii?

– Bardziej z powodu zbyt małego budżetu na operacje. My bylibyśmy w stanie zoperować wszystkich oczekujących, bo u nas pracuje się od godz. 6.30 do ok. 20, także w soboty, ponieważ chcemy pomóc jak największej grupie pacjentów.

W powieści znalazły się także poruszające listy do matki.

– Wtedy telefony nie były tak powszechne jak teraz. Pisałem dużo do mamy, zwłaszcza omawiając sytuacje przełomowe w moim życiu. Chciałem też ją uspokoić, że wszystko idzie dobrze. Bo kiedy byłem młody, rodzice denerwowali się, że nic nie robię, tylko gram w piłkę.

Bylibyśmy w stanie zoperować wszystkich oczekujących, bo u nas pracuje się od godz. 6.30 do ok. 20, także w soboty.

I dalej pan to robi.

– Tak, gramy we wtorki na terenie Kajetan.

To co byłoby dzisiaj w liście do mamy?

– Dzisiaj bym opowiedział o moich pacjentach, co im dałem, bo to byłoby dla niej dowodem, że postąpiła słusznie, godząc się przed laty, abym opuścił dom rodzinny i poszedł dalej się uczyć, rozwijać swoje zdolności.

Barbara Jagas

eprasa.pl ace2ed05c6

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Kto mu to powie, debile?

Całkowicie przypadkowo i w niezawiniony sposób wpadł w nasze ręce stenogram rozmów najbliższych współpracowników prezydenta Andrzeja Dudy. Otóż grupa ministrów (i sekretarzy stanu) zastanawia się, jak poinformować szefa o tym, że ujawnienie przez pisarza Jakuba Żulczyka faktu wszczęcia śledztwa w sprawie jego wpisu na Facebooku obrażającego polskiego prezydenta (Żulczyk, w czasie kiedy Andrzej Duda wypatrywał nienadchodzącego zwycięstwa Donalda Trumpa i równocześnie jako jeden z nielicznych na świecie nie gratulował Joemu Bidenowi wyboru na kolejnego prezydenta USA, napisał: „Andrzej Duda jest debilem”) stało się tzw. wiralem, temat podjęły media społecznościowe i tradycyjne na całym świecie. Podobno słowo debil pojawiło się w zestawieniu z Andrzejem Dudą na pierwszym miejscu w wyszukiwarce Google w 167 językach. Można powiedzieć, że Andrzej Duda trafił na języki całego świata. Ministrowie rozważają, jak mu o tym powiedzieć...

– Panowie ministrowie, sekretarze stanu, przyjaciele, koledzy, bracia – ktoś kiedyś, wkrótce, zaraz, musi z tym do niego pójść.

– Ale z czym? Kto mu powie, że najbardziej znanym zwrotem po polsku jest już nie Jan Paweł II i Solidarność czy choćby Wałęsa i wypierdalać, tylko Andrzej Duda jest debilem? Ja na pewno nie pójdę.

– Ktoś musi. Pomyślmy, nasz roczny budżet na kancelarię to prawie 200 mln – niemożliwe, żebyśmy nie wpadli na jakiś pomysł...

– A kto to ten Żulczyk?

– Nie chodzi o Żulczyka, pisarzyka, scenarzystę serialiku o dilerze narkotyków, tylko kto na to wpadł, żeby śledztwo robić? Czy to pierwszy wpis?

– Ej, uważaj, a znasz inne i nie poinformowałeś?

– To jasne, że ludzie Święczkowskiego, człowieka Ziobry, przez atak na Andrzeja wymierzają cios Mateuszowi, żeby przyperfumować smród z Danielem...

– Zostaw te polityczne zabawy. Kto mu to powie w twarz? Andrzeju, piszą, że jesteś debilem, na całym świecie piszą, bo się szykuje proces Żulczyka, którego ani strony nigdyś nie przeczytał.

– Może przeczytał, jak przestał nocami tweetować jak jakiś...

– Ugryź się w język, nie pomagasz. Kto idzie i co mówi?

– Może, że atak jest na chorych, niepełnosprawnych, że ich stygmatyzują w taki sposób?

– Ale cię zapyta: a dlaczego ja? No, tak cię zapyta, przecież go znasz...

– Co masz powiedzieć? To nieprawda? W sądzie tego nie udowodnią!

– A jak tak?

– Co tak? Jak?

– No wiesz, ja tylko głośno myślę, burzę robimy, tych, no, mózgów...

– Idziesz, nic nie mówisz, kładziesz wydruki BBC, „Washington Post”, „Izwiestii” – tak robią, mówisz. Z bólem to mówisz, ze współczuciem, empatią, że to debile chyba.

– Jacy debile? Zaraz się okaże, że wszyscy debile, że my też debile, kto z kim przestaje...

– No to może ty, najczęściej się tam wtryniasz i siedzisz.

– Panowie, spokój, budżet naszej kancelarii to prawie 200 mln rocznie – mamy jedno zdanie wymyślić.

– Może tak: Andrzeju, nie denerwuj się...

– Przecież on się nie zdenerwuje, to przecież ***** jest.

– Nawet nie zaczynaj tak o nim myśleć, że o mówieniu nie wspomnę! Głowa państwa jest obrażana, urażana, majestat Rzeczypospolitej ponosi niebagatelne uszczerbki, cierpi cała Polska, Polonia rozproszona po całym świecie musi wysłuchiwać w tych swoich językach.

Nasz roczny budżet na kancelarię to prawie 200 mln – niemożliwe, żebyśmy nie wpadli na jakiś pomysł.

– Mówiłem mu: zadepeszuj. A on nie: stałem przy Trumpie! Będę stał!

– Stał, bo nie miał jak usiąść, krzesła mu nie dali.

– Pomysły, panowie, pomysły! Zaraz wstanie, włączy komórkę i po nas!

– Może niech mu szwagier powie, tak na wesoło, jak rodzina, w końcu też literat, tylko to nazwisko...

– Kornhauser. Zna je, takie jak żony.

– A może tak? Andrzeju, głupio wyszło...

– Sam wychodzisz na kretyna.

– A ty na jełopa, imbecylu!

– Banda durniów!

– Dzień dobry, panowie, co to za gwar?

– Dzień dobry, panie prezydencie...

– Słyszeliście, o tym debilu prokuratorze, co wszczął śledztwo przeciw jakiemuś debilowi, że ktoś tam jest debilem? Szwagier dzwonił, mówił mi, zarykując się ze śmiechu.

– Ale to o tobie napisał: „Andrzej Duda jest debilem”.

– Andrzej Duda? Przecież to ja jestem Andrzej Duda, debile!

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ace2ed05c6

Dlaczego nie staliśmy się Kuwejtem

Zamykamy kopalnie, ceny energii elektrycznej idą w górę, a Polska beztrosko marnuje swoje szanse

Marek Czarkowski

„Ceny prądu: Rachunki wzrosną w 2021 r.", „Wyższe stawki i opłata mocowa", „Ceny energii 2021. Na pewno będzie drożej", to garść doniesień prasowych z grudnia zwiastujących podwyżkę rachunków za prąd dla gospodarstw domowych i przemysłu. Jedną z przyczyn podwyżek był wzrost opłat za emisję dwutlenku węgla w Europie.

W 2005 r. ruszył unijny system handlu uprawnieniami do emisji (znany jako EU ETS), który miał się stać kluczowym elementem polityki na rzecz walki ze zmianą klimatu oraz podstawowym narzędziem do ograniczenia emisji gazów cieplarnianych. Dziś uczestniczą w nim kraje Unii Europejskiej oraz Islandia, Liechtenstein i Norwegia. W ramach wyznaczonego pułapu firmy otrzymują lub kupują uprawnienia do emisji, którymi mogą handlować zgodnie ze swoimi potrzebami.

Polska emituje rocznie 327 mln ton dwutlenku węgla, co daje nam 21. miejsce na świecie. Na początku marca br. cena prawa do emisji oscylowała w przedziale 40-43 euro za tonę, co było kwotą rekordową. Warto uświadomić sobie, że na każdą wytworzoną 1 MWh prądu do atmosfery ulatuje 765 kg dwutlenku węgla. Pieniądze z tych opłat trafiają do budżetów państw. Szacunki mówią, że w 2021 r. państwo polskie wzbogaci się z tego tytułu o ponad 17 mld zł, czyli ok. 30% tego, co wydawane jest w ramach programu 500+.

Elektrownie i elektrociepłownie wliczają te miliardy złotych w cenę, a odbiorcy prądu płacą jak za zboże. Tymczasem w Europie prace nad ograniczeniem emisji dwutlenku węgla do atmosfery znacząco przyśpieszyły. Nas to nie dotyczy. My przespaliśmy swoją szansę w roku 2009.

12 lat temu prof. Dobiesław Nazimek z UMCS w Lublinie opracował metodę produkcji paliw płynnych z dwutlenku węgla.

Metoda prof. Nazimka

12 lat temu media obiegła informacja, że prof. Dobiesław Nazimek z UMCS w Lublinie opracował metodę produkcji paliw płynnych z dwutlenku węgla. I nie było w tym nic nadzwyczajnego. Już w 1920 r. niemieccy chemicy Franz Fischer i Hans Tropsch opracowali metodę syntezy mieszanki wodoru i dwutlenku węgla, w wyniku której uzyskali zawierający niewielką ilość węglowodorów produkt o nazwie synthol. Metoda była rozwijana i w czasie II wojny światowej w 10 fabrykach na terenie III Rzeszy produkowano z węgla kamiennego 740 tys. ton paliw rocznie. W 1955 r. w RPA firma Sasol uruchomiła pierwszą własną instalację, a po 20 latach produkcja paliw syntetycznych osiągnęła w tym kraju poziom niemal 4 mln ton.

Metoda prof. Nazimka polegała na wykorzystaniu fotokatalizatora opartego na tlenku tytanu do konwersji rozpuszczonego w wodzie dwutlenku węgla poprzez naświetlanie promieniowaniem nadfioletowym. Otrzymany w ten sposób metanol byłby przekształcany w paliwo przy wykorzystaniu opracowanego w 1970 r. przez koncern Mobil procesu MTG. Prof. Nazimek pracował też nad metodą uzyskiwania etanolu z dwutlenku węgla. Sprawą zainteresował się wicepremier Waldemar Pawlak. Kuwejt nad Wisłą wydawał się na wyciągnięcie ręki.

Możliwościami produkcji benzyny metodą prof. Nazimka zainteresowała się spółka Ekobenz z Lublina, która miała się podjąć budowy instalacji próbnej. Ale chcieliśmy dobrze, wyszło jak zwykle. W lutym 2012 r. prof. Nazimek tak mówił o tej spółce w „Dzienniku Wschodnim": „Dostali na to unijne pieniądze, mają zespół i będą realizowali to we własnym zakresie, ale bez mojej pomocy. Zaproponowali mi współpracę, ale na

W Europie prace nad ograniczeniem emisji dwutlenku węgla do atmosfery przyśpieszyły. Nas to nie dotyczy.

eprasa.pl ace2ed05c6

warunkach, które mnie nie zadowalały. Dlatego odmówiłem".

Pojawiła się również krytyka ze strony środowisk naukowych. Podkreślano, że ilość energii, którą należy dostarczyć, aby wyprodukować określoną ilość metanolu, jest trzy razy większa, niż zakładano. Taki proces będzie zatem nieopłacalny. Energia otrzymywana ze spalania tego syntetycznego paliwa byłaby mniejsza niż potrzebna do jego uzyskania, co wiązałoby się z emisją większej ilości dwutlenku węgla, niż byłaby wykorzystywana przy produkcji metanolu. Co oczywiście byłoby absurdem. Metodę prof. Nazimka porównano do *perpetuum mobile*. A nawet zasugerowano zamiar wyłudzenia środków na badania naukowe, które nie miały szans powodzenia. W 2012 r. profesor odszedł na emeryturę, a o jego pracach zapomniano.

Norweg, Niemiec i Szwajcar dają czadu

Najwyraźniej na Zachodzie nie wiedziano, co działo się w Lublinie. 9 czerwca 2020 r. nowo powołane europejskie konsorcjum przemysłowe Norsk e-Fuel AS z siedzibą w Oslo, w skład którego weszły: niemiecka spółka Sunfire GmbH, wiodący w świecie dostawca technologii Power to Liquid, która polega na przetwarzaniu energii odnawialnej w paliwa płynne i chemikalia, takie jak metanol, eter oksymetylenowy (OME), amoniak itp., szwajcarska spółka Climeworks AG – pionier w technologii bezpośredniego wychwytywania dwutlenku węgla z powietrza, niemiecka spółka Paul Wurth SA oraz norweski fundusz inwestycyjny Valinor, spółka macierzysta Norsk Vind, największego prywatnego dewelopera energii wiatrowej w tym kraju, ogłosiło plany budowy na terenie Parku Przemysłowego Heroya w Porsgrunn pierwszej fabryki produkującej ekologiczne paliwo lotnicze z dwutlenku węgla. Innymi słowy, benzynę z powietrza!

W roku 2023 instalacja konsorcjum ma osiągnąć zdolność produkcyjną 10 mln litrów rocznie, a przed rokiem 2026 – 100 mln ton. Jak zapewnia dział PR spółki Climeworks SA, „zakład w Heroya przyczyni się do zmniejszenia emisji dwutlenku węgla przez takie branże jak lotnictwo o 250 tys. ton rocznie". A to dopiero początek.

Jak to możliwe, że coś, co nad Wisłą uznano za szarlatanerię i próbę wyłudzenia, w Norwegii wejdzie w fazę produkcyjną? Cóż, ten północny kraj ma duże zasoby odnawialnej energii elektrycznej z elektrowni wiatrowych, słonecznych i wodnych. Jeśli połączymy te zasoby z możliwościami technologicznymi spółek Sunfire GmbH oraz Climeworks SA i dodamy talenty inżynierów z Paul Wurth SA, okaże się, że dzięki taniej norweskiej energii odnawialnej i szwajcarsko-niemieckiej pomysłowości można będzie dużo zarobić.

„Potencjał tego projektu jest oszałamiający. Norsk e-Fuel umożliwi dostawy paliwa odnawialnego na skalę większą niż kiedykolwiek wcześniej – co jest kluczowe, jeśli chcemy uczynić globalny transport prawdziwie zrównoważonym. Cieszymy się, że możemy wnieść naszą technologię bezpośredniego wychwytywania dwutlenku węgla z powietrza i *know-how*, aby wraz z naszymi partnerami pomóc w tworzeniu odnawialnego paliwa", zachwala współzałożyciel Climeworks Christoph Gebald.

Georges Rassel, dyrektor generalny spółki Paul Wurth, dodaje, że zmiany klimatyczne i rosnące koszty emisji dwutlenku węgla powodują, iż rynek dla podobnych rozwiązań rośnie. A projekt fabryki w Heroya otwiera przed Norwegią i Europą szerokie możliwości dekarbonizacji.

Polak nie potrafi

Powodem zaniechania prac nad technologią prof. Nazimka były zbyt wysokie koszty. Produkcja paliwa z dwutlenku węgla w 2009 r. przy użyciu energii elektrycznej pochodzącej z elektrowni węglowych, emitujących ogromne ilości tegoż dwutlenku węgla, byłaby nieopłacalna.

Dziś prąd, z powodu wzrostu cen opłat za prawa do emisji, jest jeszcze droższy. Ale przez dekadę można było albo udoskonalić technologię, albo opracować nowe rozwiązania. Przykład ten ilustruje beznadziejny stan nauki polskiej. W 2009 r. już funkcjonował unijny system handlu uprawnieniami do emisji. Można było się spodziewać, że rodzima energetyka oparta na węglu brunatnym i kamiennym z każdym rokiem będzie produkowała droższy prąd. W jakim bylibyśmy miejscu, gdyby kraj w porę dysponował tanią i skuteczną technologią produkcji paliw z dwutlenku węgla i wodoru? Albo gdyby udało się zmniejszyć emisję dwutlenku węgla z 327 mln ton rocznie do, powiedzmy, 227 mln?

W najnowszym unijnym rankingu innowacyjności The European Commission's 2019 European Innovation Scoreboard Polska zajmuje czwarte miejsce od końca. Wyprzedzamy tylko Chorwację, Bułgarię i Rumunię. Mimo że w ostatnich latach wpompowano w rodzimą naukę i badania dziesiątki miliardów złotych. Ale są też inne rankingi – Eco-Innovation Scoreboard (Eco-IS) i Eco-Innovation Index – ilustrujące wyniki państw członkowskich UE w zakresie ekoinnowacji. W nich także od lat jesteśmy blisko końca.

W czasie karnawału Solidarności w 1981 r. jako przykład bezmyślności władz podawano inż. Jacka Karpińskiego, który na przełomie lat 60. i 70. skonstruował minikomputer K-202. Miał on wielkość biurka i bił na głowę zachodnie konstrukcje. Trudno sobie wyobrazić, gdzie byłby dziś polski przemysł, gdyby Karpińskiego wsparto i umożliwiono kontynuację prac. Jego zwierzchnicy nie rozumieli, z czym mają do czynienia, i wyrzucili go z pracy. Pod koniec lat 70., gdy Steve Jobs i Steve Wozniak rozkręcali Apple Inc., a Bill Gates rozwijał Microsoft, inż. Karpiński hodował świnie pod Olsztynem.

Minęło pół wieku, zmienił się system, a wszystko zostało po staremu. Na unijne dotacje mogą liczyć mąż byłej minister, spółka, w której udziały ma brat ministra, albo producent foliowych worków zatrudniający syna byłej pani premier.

W najnowszym unijnym rankingu innowacyjności Polska jest czwarta od końca. Wyprzedzamy tylko Chorwację, Bułgarię i Rumunię.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KUBA SUSZEK/REPORTER

eprasa.pl ace2ed05c6

Klin na warsztacie

Im wyższe zarobki, tym niższa danina. Kuriozum? Nie, polska rzeczywistość

Andrzej Radzikowski

Dwie rzeczy są pewne – śmierć i podatki. W Polsce mamy dwie stawki podatkowe: 17 i 32%, ale jeżeli do tego dołożymy składki na NFZ i ZUS, to danina pracownika, który ma płacę minimalną – obecnie 2,8 tys. zł brutto – sięgnie 40%. Tymczasem danina samozatrudnionego, który zarabia kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie, to 20%. Im wyższe zarobki, tym niższa danina. Kuriozum? Nie, polska rzeczywistość. Efektywne obciążenia podatkowo-składkowe osób zatrudnionych na umowie o pracę są znacznie wyższe niż w przypadku prowadzących działalność gospodarczą bądź pracujących na umowach cywilnoprawnych. Trudno zatem się dziwić, że część ludzi świadomie rezygnuje z umów o pracę, ale to nie jest sprawiedliwe! Musimy bowiem pamiętać, że osoby pracujące w innych formach zatrudnienia nie mają płatnych urlopów ani norm ochronnych czasu pracy.

Innym skutkiem niższych danin publicznych jest niższa emerytura. W polskim systemie jej wysokość zależy w znacznym stopniu od kwoty składek emerytalnych wpłacanych przez cały okres aktywności zawodowej. Rząd chciał ograniczyć te różnice, wprowadzając czteroprocentową daninę solidarnościową. Jednak więcej w tym PR niż efektywnego solidaryzmu społecznego, bo danina objęła osoby, które zarabiają przynajmniej 1 mln zł rocznie. To zaledwie 27 tys. osób, czyli 0,1% podatników.

Co zrobić, żeby było sprawiedliwiej? Można podnieść podatki najbogatszym lub obniżyć uboższym. W trakcie rokowań w Radzie Dialogu Społecznego OPZZ zaproponowało wprowadzenie klina podatkowego zmniejszającego obciążenia podatkowe najniżej zarabiających. Ubiegłoroczne negocjacje w sprawie ustalenia płacy minimalnej na 2021 r., które prowadziliśmy w RDS, zakończyły się fiaskiem. Strona rządowa zaproponowała wzrost płacy minimalnej do poziomu 2,8 tys. zł. OPZZ negatywnie oceniło tę propozycję i wniosło, aby minimalne wynagrodzenie za pracę wzrosło do 3,1 tys. zł. Strony nie osiągnęły porozumienia, a to oznaczało, że wysokość minimalnego wynagrodzenia, a także wysokość minimalnej stawki godzinowej, jednostronnie ustaliła Rada Ministrów.

Są dwie drogi wzrostu płacy minimalnej. Może ona rosnąć poprzez nominalną podwyżkę lub obniżenie obciążeń podatkowych. Pamiętajmy, pracownik do swojej dyspozycji otrzymuje płacę nie brutto, tylko netto. Rząd nie uwzględnił postulatu wzrostu płacy minimalnej do 3,1 tys. zł brutto, argumentując decyzję nadmiernym obciążeniem dla firm. W tej sytuacji OPZZ wystąpiło z wnioskiem o zmniejszenie tzw. klina podatkowego, co pozwoliłoby zwiększyć płacę netto – czyli tę, którą pracownicy dostają na rękę. Innymi słowy, pracownikom o niskich zarobkach zostałoby więcej pieniędzy w portfelach. To pozwoliłoby też zmniejszyć niekorzystne różnice w podatkach i daninach społecznych płaconych przez najmniej zarabiających i najbogatszych. Byłoby to w ocenie OPZZ bardziej sprawiedliwe.

Klin podatkowy dla najniższych dochodów jest w Polsce jednym z wyższych wśród krajów należących do Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD). Wprowadzone obniżenie stawki podatku PIT z 18% do 17% oraz podniesienie kosztów uzyskania przychodów dla pracowników zwiększyły nieznacznie progresję podatkową. Jednak w porównaniu z krajami OECD Polska pozostaje jednym z państw o najmniejszym zróżnicowaniu podatku dochodowego od osób fizycznych w zależności od osiąganego dochodu. Dlatego OPZZ uważa, że konieczne są nowe rozwiązania, które zmniejszą opodatkowanie pracy, w szczególności niskich dochodów.

W tym właśnie celu zaproponowaliśmy podniesienie wysokości zryczałtowanych kosztów uzyskania przychodów do 500 zł i objęcie kwotą wolną od podatku – w wysokości 8 tys. zł – dochodu odpowiadającego rocznej kwocie minimalnego wynagrodzenia za pracę – w 2021 r. to 33,6 tys. zł. Takie rozwiązania wychodzą naprzeciw oczekiwaniom płacowym pracowników. Tym bardziej że polska płaca minimalna (pomimo szybszego wzrostu w ostatnich latach) nie chroni skutecznie przed biedą. Co ważne, nasze pomysły nie zwiększają kosztów funkcjonowania przedsiębiorstw.

Polska jest jednym z państw o najmniejszym zróżnicowaniu podatku w zależności od osiąganego dochodu.

W obecnej sytuacji gospodarczej rozłożenie kosztów wzrostu wynagrodzeń pomiędzy pracodawców i budżet państwa w sposób solidarny jest adekwatne do sytuacji.

Warto również zwrócić uwagę na to, że wskaźnik aktywności zawodowej Polek i Polaków jest jednym z niższych w Unii Europejskiej. Zdaniem OPZZ zmniejszenie klina podatkowego oraz wzmocnienie bodźców do podejmowania legalnego zatrudnienia wpłyną pozytywnie na wzrost liczby pracujących. Ponadto takie rozwiązania mogą się przyczynić do zwiększenia niskiego poziomu inwestycji, co jest istotną barierą wzrostu polskiej gospodarki. Od dawna rekomendują je instytucje międzynarodowe, np. Międzynarodowy Fundusz Walutowy, OECD czy Komisja Europejska.

Od pewnego czasu Prawo i Sprawiedliwość zapowiada Nowy Ład. Jednym z obszarów programu partii na czas po epidemii jest „Godna praca – godna płaca". Rozumiem, że PiS nawiązuje w ten sposób do kampanii programowej OPZZ – „Godna praca, płaca i emerytura". To miłe. Ale od czegoś trzeba zacząć. Proponuję więc na dobry początek wziąć na warsztat klin podatkowy.

Andrzej Radzikowski jest przewodniczącym OPZZ

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ace2ed05c6

Oko w oko Tomasz Jastrun

Krople i skała

Jak ja zazdroszczę pisarzowi Jakubowi Żulczykowi – ma proces, bo napisał, że Duda jest debilem. Zdobył już nawet międzynarodową sławę, mówią o nim w zagranicznych mediach. Ja pisałem o wiele gorsze rzeczy o Dudzie. I nic. A przecież taka afera to dla literata świetna reklama, też promocja jego książek. Ale jest problem, Duda nie jest debilem. Dosyć sprawnie myśli. Z nim jest o wiele gorzej. To człowiek pozbawiony charakteru. I służy haniebnej sprawie niszczenia Polski przez PiS. Pisząc o nim, nie używam przed nazwiskiem tytułu prezydent, staram się, ale nie jestem w stanie. Coś jednak się stało w Polsce przez te kilka lat.

•

Dzwoni Maja Komorowska. Martwi się, czy dożyje porażki PiS. Mówi, że udało się jej jeszcze zagrać przed lockdownem w „Szczęśliwych dniach" Becketta; byliśmy kiedyś na tej sztuce, gra ją od stu lat. Kochana, jak zawsze pełna troski o innych. Tak, ludzie nie chcą umierać, gdy rządzi PiS. Też bardzo chcę dożyć czasów, gdy szlag je trafi. Ale PiS to zaraza, nawet jak przegra, będą miliony ludzi zarażonych i chorych. Polska została zainfekowana, dlatego mamy teraz dwie zarazy. A covidowa epidemia nam tężeje. Ludzie znowu boczą się na siebie. Teraz starsi górą, bo już szczepieni, a młodsi zaczynają chorować coraz ciężej. „Pokonaliśmy koronawirusa!", wołał triumfalnie miesiące temu premier Morawiecki, właściciel najdłuższego nosa w Polsce. A są ludzie, którzy kłamią, nie wierząc w swoje kłamstwa, i tacy, co kłamią, wierząc. On zdawał się należeć do tej pierwszej kategorii, teraz przeszedł do drugiej. Chronicznie załgani po jakimś czasie zaczynają wierzyć we własne kłamstwa.

Piotr Pisula, przewodniczący Porozumienia Rezydentów, mówi: „Jeśli chcemy się przygotować na czwartą falę, bo na trzecią już jest za późno, zróbmy reformę ochrony zdrowia. Pracujemy w warunkach Trzeciego Świata. Środowiska medyczne od dawna domagają się zmian. Jeśli nie idziemy w tym kierunku, to należy się spodziewać katastrofy". Coraz więcej znajomych choruje, na szczęście nikt ciężko. Ciekawe, że nikt tego nie zgłasza. Dlatego dane o liczbie dziennych zakażeń powinno się pomnożyć przez pięć. A to daje już „imponujące" wskaźniki.

•

Sprawa Daniela Obajtka ma swoją dynamikę, ale nie ma wpływu na sondaże. Dlaczego? Dokonała się już polaryzacja naszego społeczeństwa, są dwie bańki informacyjne, liberalno-lewicowa i prawicowo-narodowa, między nimi nic. Żyjemy w osobnych światach, wrodzy sobie, łączymy się tylko na chwilę, oglądając skoki narciarskie i mecze piłkarskie. Kiepska pociecha, że podobnie jest w Stanach. Ja już nie mogę nawet na chwilę zajrzeć do TVP. Jakbym miał wejść do strefy radioaktywnie skażonej. Jak rzucę okiem na „Wiadomości", po kilku sekundach mam odruchy wymiotne i uciekam. Ale tamta strona podobnie reaguje na „Fakty" TVN. Nawet jeśli sprawa Obajtka nie spowoduje przełomu, są to kolejne krople, które jakoś się przesączają do zwolenników PiS, tych mniej twardych, i drążą skałę. PiS chce stworzyć nowe elity i już widać, jakie one mają być. Postępuje upartyjnianie państwa. Po tasiemcu nieruchomości, a to nie koniec pasożyta, wyciąga się teraz z Obajtka krewnych i znajomych, których poutykał w Orlenie i w firmach pokrewnych. Nawet dyrektorów szpitali PiS wymienia na swoich. Kaczyński uwielbia miernych, nimi najłatwiej się manipuluje. I te jego zakochania, rzadkie, ale mocne, jak w Obajtku, w Morawieckim, w Przyłębskiej.

•

Wpadłem na pomysł, by złożyć z wierszy i fotografii książkę „Album rodzinny", wiersze mamy, ojca i własne. Może trochę to nieskromne, znając klasę poezji taty.

Żyjemy w osobnych światach, wrodzy sobie, łączymy się tylko na chwilę, oglądając skoki narciarskie i mecze piłkarskie.

Szukam wierszy, nie tylko rodzinnych, chociaż na takie szczególnie poluję, ojciec wiele pisał o mnie, gdy byłem dzieckiem. A mój synek Antoś jest tak często bohaterem moich wierszy i felietonów, że na pewno jest najbardziej opisanym dzieckiem w polskiej literaturze. Teraz nie wiedzieć kiedy Antoś stał się wyższy ode mnie o pół głowy i nie czyta książek. Może mu to minie. A czytając wiersze i je przepisując, jakbym rozmawiał z rodzicami. To przywilej posiadania rodziców pisarzy. Nie umierają do końca.

•

Poeta Adam Zagajewski nie żyje. Kilka miesięcy temu, czyli jak przedwczoraj, siedziałem z nim w restauracji przy przemyskim rynku. I to spotkanie, słowa, jakie serdecznie wymienialiśmy, nagle nabrały wielkiej wagi. Spotkaliśmy się też w 1992 r. w Sztokholmie, zawiozłem go do pracowni malarza Piotra Krosnego i obaj zachwycaliśmy się jego obrazami. Inne spotkania były przelotne, ale czy nie każde spotkanie jest przelotne? Wypowiadane słowa zaraz gasną, w końcu my gaśniemy w swoim locie na chwilę. Poeta próbuje tę ulotność zapisać i zatrzymać.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ace2ed05c6

Zeszłoroczna Wielkanoc przebiegła pod znakiem ścisłych regulacji.

Pielgrzymi jeszcze poczekają

Rząd Izraela w walce z pandemią zdecydował się na niemal całkowite zamknięcie na obcokrajowców

Jakub Katulski

Święta wielkanocne to kolejny sezon pielgrzymkowy, podczas którego ulice w Jerozolimie będą świecić pustkami, choć zwykle w tym okresie trudno się przecisnąć między ludźmi zgromadzonymi w murach Starego Miasta. Jerozolima jest niemal cały rok pełna, ale właśnie wiosną chrześcijanie tłumnie przybywają do miasta, by modlić się w miejscach opisywanych w Biblii. Jednym z nich jest bazylika Grobu Świętego, w której według tradycji miały się znajdować grób Jezusa i miejsce ukrzyżowania. Dzisiaj jednak, tak samo jak w ubiegłym roku, ta najważniejsza chrześcijańska świątynia jest niemal pusta, choć jej drzwi tym razem stoją otworem.

Zeszłoroczna Wielkanoc przebiegła pod znakiem ścisłych regulacji. Franciszkańska Droga Krzyżowa, gromadząca zwykle tysiące wiernych i turystów, odbyła się jedynie z udziałem mnichów, a arcybiskup Jerozolimy Pierbattista Pizzaballa w niedzielę wielkanocną do bazyliki wchodził na mszę w otoczeniu niewielkiej grupy duchownych. W tym roku przepisy są inne, mimo to miasto musi poczekać na pielgrzymów.

Mieszkający tu chrześcijanie, głównie Arabowie, ale też obcokrajowcy pracujący w Jerozolimie czy przebywający w niej z innych powodów, mają dzisiaj świątynię niemal na wyłączność. Miejsce, w którym zwykle słychać hałas i rozbłyskują setki lamp, umożliwia zadumę, choć ten brak pielgrzymów nie cieszy kapłanów, którzy dbają o bazylikę. W rozmowie z telewizją Al-Dżazira ormiański przełożony bazyliki, ks. Samuel Aghoyan, podkreślił, że dla niego te pustki są smutne, ale ma nadzieję, że wkrótce ruch wróci do normy.

W 2019 r. Izrael odwiedziła rekordowa liczba 4,5 mln turystów. Ministerstwo Turystyki spodziewało się, że w ubiegłym roku kraj odwiedzi ponad 5 mln. Tak się nie stało, bo licznik zatrzymał się na 850 tys. Ta rekordowa strata sprawiła, że 200 tys. rodzin zależnych od turystyki straciło źródło utrzymania.

Ale na odprężenie trzeba będzie jeszcze poczekać. Rząd Izraela w walce z pandemią zdecydował się na niemal całkowite zamknięcie na obcokrajowców. Zawieszenie lotów pasażerskich utrudniło także powrót do kraju wielu obywatelom, którzy przebywają poza granicami – według danych izraelskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w różnych krajach utknęło ok. 1,3 tys. Izraelczyków. W ostatnich tygodniach mogli oni wracać jedynie przez lotniska w Londynie, Kijowie, Frankfurcie, Paryżu i Nowym Jorku. Teraz ma to się zmienić po decyzji rządu o odmrożeniu lotów z innych krajów, z zastrzeżeniem, że ze względu na pandemię do kraju wjeżdżać może jedynie 3 tys. osób dziennie. Przybywający nie będą poddawani kwarantannie, pod warunkiem że test wykonany na lotnisku nie wykaże zarażenia.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ace2ed05c6

Izrael szczyci się dzisiaj spektakularnym sukcesem swojej sprawnej akcji szczepień. Ponad połowa jego mieszkańców otrzymała przynajmniej jedną dawkę szczepionki, a niewiele mniej również drugą. 11 marca ogłoszono też, że odporność stadną uzyskała izraelska armia. Według głównego oficera medycznego, gen. dr. Alona Glasberga, dzięki temu z dnia na dzień maleje liczba ludzi, którzy odmawiają szczepień.

Ponad połowa mieszkańców kraju otrzymała przynajmniej jedną dawkę szczepionki, a niewiele mniej także drugą.

To pozwoliło rządowi jeszcze w marcu podjąć decyzję o poluzowaniu znacznej części restrykcji. Zdecydowano się m.in. na otwarcie restauracji i kawiarni, z tym że osoby niezaszczepione będą mogły siadać jedynie przy stolikach na zewnątrz. Sale bankietowe będą mogły ugościć nawet 300 osób podczas takich uroczystości jak wesela, stypy czy bar micwy. Rząd uznał poza tym, że w ceremoniach religijnych będzie mogło wziąć udział do 500 wiernych lub do 750, jeśli ceremonia ma miejsce na świeżym powietrzu. Takie same ograniczenia obowiązują podczas wydarzeń sportowych i kulturalnych. Restauracje hotelowe mogą obsługiwać gości, o ile ich liczba w sali nie przekroczy 300. Sytuacja więc stopniowo się normuje i powoli zaczyna przypominać tę sprzed pandemii.

Dzięki temu odżyła turystyka wewnętrzna, po tym jak rząd nakazał zamknięcie wszystkich hoteli w połowie sierpnia 2020 r. Przedsiębiorcy jednak niecierpliwie czekają na pierwszych turystów zagranicznych. Dzisiaj, niezależnie od szczepień, obcokrajowcy mogą przyjechać do Izraela jedynie po uzyskaniu specjalnego pozwolenia od rządu. Ale, jak zaznaczyła minister turystyki Orit Farkash-Hacohen, rząd przewiduje, że zaszczepieni obcokrajowcy będą mogli wjechać do Izraela w drugiej połowie kwietnia. Natomiast nadal nie ujawniła, jakie warunki, poza udowodnieniem szczepienia, będą musieli spełnić chętni.

W lutym ożywienie zwiastowała wizyta w Jerozolimie greckiego premiera Kiriakosa Mitsotakisa, zwłaszcza kiedy wraz z Beniaminem Netanjahu ogłosili podczas konferencji prasowej, że wznowią niedługo ruch turystyczny dla zaszczepionych obywateli. Wkrótce potem Izrael odwiedził cypryjski prezydent Nicos Anastasiades, by ogłosić identyczne porozumienie. Umowa ma wejść w życie z początkiem kwietnia, lecz nieznane są jeszcze jej szczegóły. Dla Greków i Cypryjczyków odmrożenie podróży zdaje się dzisiaj kluczowe, bo gospodarka ich krajów w znacznym stopniu zależna jest od przychodów z turystyki. Dlatego Mitsotakis jako pierwszy spośród przywódców Unii Europejskiej jeszcze w styczniu zaczął naciskać na przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen, by wprowadzić tzw. paszporty covidowe, które miałyby umożliwić podróże.

Krytycy tego pomysłu zauważają jednak, że na całym świecie uznawana jest już Międzynarodowa Książeczka Szczepień i nowy dokument potwierdzający szczepienie jest niepotrzebnym mnożeniem bytów. Sceptycznie nastawiony do pomysłu jest także dyrektor generalny Światowej Organizacji Zdrowia Tedros Ghebreyesus, który zauważył, że nie tylko pojawiają się nowe warianty wirusa SARS-CoV-2, ale też dokument będzie „karał" pewne grupy i kraje, które z różnych przyczyn nadal nie zaszczepiły swoich obywateli.

Dla Izraela i jego śródziemnomorskich partnerów kluczowe zdaje się stopniowe odbudowywanie gospodarki, której przeciągająca się pandemia zadała bardzo dotkliwy cios. Jak podkreśla Orit Farkash-Hacohen, zagraniczni turyści są tu bardzo ważni, dlatego jej resort ściśle współpracuje z Ministerstwem Zdrowia, by jak najszybciej umożliwić podróże.

Jednak nawet gdyby Unia Europejska wprowadziła paszporty covidowe, konieczne byłyby umowy z zewnętrznymi partnerami, by zapewnić takim nowym dokumentom międzynarodowe uznanie. Czym innym jest bowiem zgoda na podróże zaszczepionych turystów w ramach Unii, a czym innym umożliwienie masowego ruchu Europejczyków na zewnątrz. Nie wiadomo jeszcze, kiedy do normy wrócą podróże między Izraelem a Europą, a żaden kraj Unii nie prowadzi aktualnie jawnych rozmów, które mogłyby przynieść dwustronne deklaracje na wzór greckiej i cypryjskiej. Polscy turyści na lot do Izraela będą musieli jeszcze poczekać, nie wiadomo jak długo.

Poczekać będą musieli również wszyscy chrześcijańscy pielgrzymi chcący odwiedzić miejsca znane z Biblii. Dopóki granice nie zostaną otwarte, pozostaje im udział w ceremoniach internetowych. Na to przygotowani są już franciszkanie z Kustodii Ziemi Świętej, którzy postanowili wyjść naprzeciw tym potrzebom z projektem wirtualnej drogi krzyżowej, zamieszczając do 30 marca w swoich kanałach w mediach społecznościowych nagrania, dzięki którym wierni będą mogli „przejść" drogę. Ponadto będą transmitować najważniejsze wydarzenia religijne Wielkiego Tygodnia z bazyliki Grobu Świętego. W tym roku media społecznościowe są jedynym oknem na Jerozolimę, jakie dane jest pielgrzymom.

W ceremoniach religijnych będzie mogło wziąć udział do 500 wiernych, a na świeżym powietrzu do 750.

Zniesienie obostrzeń przyniosło natomiast zdecydowaną ulgę Żydom. Przed Wielkanocą zaczyna się upamiętniające wyjście Izraelitów z Egiptu święto Pesach. W zeszłym roku gromadzenie się pod Ścianą Płaczu i w synagogach było zakazane, a rabini wzywali wszystkich do pozostania w domu. Doprowadziło to do starć policji z grupami ultraortodoksyjnymi, które nie przestrzegały prawa. W tym roku przygotowania do Pesach przebiegają w spokojniejszej atmosferze. Tym bardziej że prof. Nachman Asz, główny doradca izraelskiego rządu w sprawie koronawirusa, podaje, że nie przewiduje żadnych nowych obostrzeń na czas świąt, dając tym samym nadzieję na względną normalność. ■

eprasa.pl ace2ed05c6

Mateusz Mazzini

Pytania graniczne

Frontex staje się kluczową instytucją unijną – i coraz bardziej krytykowaną

O sytuacji na zewnętrznych granicach Wspólnoty trudno rozmawiać bez wspomnienia o wszechobecnej polaryzacji w tym temacie. Aktywiści związani z ruchami na rzecz praw migrantów z reguły stwierdzają, że umundurowani przedstawiciele Brukseli robią tam więcej złego niż dobrego. Niektórzy, patrzący na sprawę bardziej radykalnie, mówią wręcz, że Frontex jest instytucją niezwykle wydajną – pod względem liczby ludzi, do których śmierci doprowadził. Z kolei unijni urzędnicy widzą w swoich pogranicznikach jedyną nadzieję na opanowanie kryzysu, który na przedpolu Zjednoczonej Europy rozgrywa się w różnym natężeniu od mniej więcej dekady.

Lato 2015 r. było, owszem, momentem przełomowym, ale głównie dla opinii publicznej i masowej wyobraźni. Wtedy na południu kontynentu rozgrywały się dramatyczne sceny. Setki tonących w Morzu Śródziemnym, długie na dziesiątki kilometrów łańcuchy ludzkie przesuwające się powoli przez Bałkany w kierunku Niemiec i krajów północnych. Wtedy jednak debata o masowej migracji z Afryki i Bliskiego Wschodu natychmiast została wciśnięta w ramy polityczne. Skrajna prawica i przybierający na sile narodowy populizm robiły wszystko, by przybyszów spoza Unii zatrzymać jeszcze przed jej granicami. Obóz progresywny rozpoczynał z kolei wielką kampanię, którą najlepiej podsumowywał jeden z jej głównych sloganów: *Refugees Welcome*, uchodźcy mile widziani.

Spór dotykał dosłownie i w przenośni tematów granicznych. Czy pomagać każdemu? A jeśli nie, to jak wybrać tych, którym pomoc się należy? Co z migrantami zrobić, kiedy już znajdą się na terytorium Unii? Jak wpłynie to na europejskie społeczeństwa? Odpowiedzi było wiele, często pojawiały się natychmiast po zadaniu pytania. Problem w tym, że równie często kończyły się na ideologicznej propagandzie. Realnymi aspektami zarządzania kryzysowego nie zajmował się w programach telewizyjnych prawie nikt.

Ci, którzy na zewnętrznych granicach Unii regularnie bywali wcześniej, zbliżający się koszmar lata 2015 r. widzieli znacznie szybciej. Bo migranci od zawsze próbowali dostać się do niej, a ich liczba nasilała się z każdą kolejną destabilizacją sąsiednich regionów. Mało kto łudził się też, że ten proces kiedykolwiek samoistnie się zatrzyma. Chodziło o to, by nadać mu jakieś ramy. O rozwiązaniach prawnych dyskutowali politycy w Brukseli i krajowych stolicach. Często jednak miały one niewielkie zastosowanie bezpośrednio na krańcach unijnego terytorium.

Strażnikiem bezpieczeństwa i przestrzegania procedur, ale w pewnym sensie także reprezentantem Unii, a co za tym idzie, unijnych wartości, do których niewątpliwie zaliczają się solidarność i poszanowanie praw człowieka, miał być Frontex. Agencja odpowiedzialna za zewnętrzne granice Wspólnoty, lądowe i morskie. Niegdyś marginalny element unijnej architektury instytucjonalnej, z budżetem wynoszącym zaledwie 100 mln euro (przed szczytem kryzysu migracyjnego). Tak mało ważny dla kogokolwiek, że permanentnie brakowało w nim pracowników. Kiedy nagle pojawiała się potrzeba przeprowadzenia szerszej operacji, posiłki ściągano z państw członkowskich. Do dziś zresztą kraj, na którego terenie Frontex jest aktywny, formalnie sprawuje kontrolę nad działalnością jego pracowników. Co niejednokrotnie sprawia, że przy jakichś kontrowersjach prawie niemożliwe jest ustalenie winnych i odpowiedzialnych.

Tak przynajmniej stało się w przypadku oskarżeń, które posypały się na Frontex i grecki rząd w październiku 2020 r. Niemiecki magazyn „Der Spiegel" opublikował materiał śledczy zarzucający pracownikom unijnej służby granicznej współudział w wypychaniu łodzi migrantów poza greckie wody terytorialne. Grecy mieli przechwytywać pontony i holować je z powrotem na wody międzynarodowe, tym samym odmawiając migrantom możliwości ubiegania się o azyl.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ace2ed05c6

Uchodźcy przypływają na grecką wyspę Lesbos, październik 2015 r.

A to jest niezgodne z prawem – unijnym i międzynarodowym. Niemieccy dziennikarze dowodzili, że funkcjonariusze Fronteksu o wszystkim wiedzieli. Co brzmiało o tyle prawdopodobnie, że musieli z Grekami ściśle współpracować.

Dalsza część tej historii przebiegła zgodnie z dość przewidywalnym scenariuszem. Organizacje pozarządowe i aktywiści piszą listy protestacyjne, apelują o śledztwo na najwyższych szczeblach decyzyjnych. Frontex i Grecja zaprzeczają doniesieniom prasowym. Oficjalne śledztwo Brukseli nie znajduje żadnych twardych dowodów na łamanie unijnego prawa. Obie strony wracają na z góry ustalone pozycje, przekonane o swoich racjach. Konflikt trwa, polaryzacja się powiększa.

Zwłaszcza że to nie pierwszy przypadek postawienia Fronteksu w stan oskarżenia za pasywność wobec nadużyć lokalnych celników. W 2018 r. do Komisji Europejskiej trafiła skarga przygotowana przez francuskie ruchy na rzecz praw migrantów, dokumentująca brutalność funkcjonariuszy na granicy bułgarsko-tureckiej. Ten niewielki odcinek był bramą do unijnego terytorium zwłaszcza dla migrantów z Azji i Bliskiego Wschodu. Zamiast jednak być tunelem do lepszego życia, okazywał się bramą do piekieł – tak przynajmniej twierdzili aktywiści. I załączali dokumentację: zeznania świadków, przede wszystkim przybyszów z Afganistanu. Pobicia, szczucie psami, fałszywe oskarżenia o zniszczenie mienia państwowego, gwałty. Kobiety szukające informacji o mężach, dzieci rozdzielane z rodzicami. Bułgaria stała się symbolem terroru do tego stopnia, że w afgańskich mediach społecznościowych i na komunikatorach internetowych migranci przestrzegali się nawzajem przed tym szlakiem. Wśród tych, którzy już znaleźli się w bułgarskich więzieniach, dochodziło nawet do prób samobójczych. Frontex o wszystkim miał wiedzieć i bezczynnie się przyglądać. Dowodów na pasywność unijnych funkcjonariuszy nie znaleziono.

Nie znaczy to jednak, że aktywistom w Brukseli nikt nie wierzy, choć poważna dyskusja na temat modelu działania Fronteksu trwa od niedawna. Wcześniej dla wielu unijnych urzędników agencja była powodem do dumy, bo dobrze sobie radziła zwłaszcza z transgraniczną przestępczością zorganizowaną. W dodatku, przynajmniej pod względem skali, wydarzenia z 2015 r. już się nie powtórzyły. Również dzięki temu, że Frontex spęczniał do ogromnych rozmiarów. Zarządza budżetem w wysokości ponad 5,5 mld euro, dostał też zastrzyk technologiczny – drony i narzędzia inwigilacyjne. Za parę lat liczba jego pracowników ma osiągnąć 10 tys. Z marginesu przeniósł się do pierwszej linii, także politycznie.

Echa raportów organizacji pozarządowych pobrzmiewały coraz wyżej. Komisarz ds. wewnętrznych Ylva Johansson nie kryła wściekłości, kiedy szef agencji, Fabrice Leggeri, bagatelizował wszelkie zarzuty pod adresem swojej instytucji. W lutym, przemawiając za zamkniętymi drzwiami na posiedzeniu Parlamentu Europejskiego, Johansson wygłosiła długą, krytyczną przemowę pod adresem Fronteksu, podkreślając, że za poszerzeniem jego uprawnień musi iść zwiększona kontrola. Ktoś unijnym pogranicznikom musi patrzeć na ręce, a Bruksela do tej pory tego nie robiła. Sami funkcjonariusze też niechętnie poddają się prześwietleniom, o czym świadczą kontrowersje wokół Leggeriego. Francuz jest pod ostrzałem nie tylko za sytuację na greckiej i bułgarskiej granicy, ale i za kompletny brak przejrzystości w działaniu.

Inne śledztwo, prowadzone przez niemiecką telewizję ZDF i organizację Corporate Europe Observatory, wykazało, że w latach 2017-2019 kierownictwo agencji regularnie spotykało się z lobbystami niezarejestrowanymi w oficjalnych unijnych bazach danych. Jak wynika z dokumentów zdobytych przez dziennikarzy, spośród 149 instytucji biorących udział w tych spotkaniach aż 109, czyli 73%, nie było przez Unię certyfikowanych. Co więcej, Frontex partnerów do rozmów miał wybierać bardzo selektywnie. Dominowały wśród nich prywatne firmy, rzadziej think tanki i grupy badawcze. Prawie nigdy nie pojawiały się promigracyjne organizacje pozarządowe. Agencja zaprzeczyła wynikom śledztwa, twierdząc, że w ogóle nie organizowała spotkań z niezarejestrowanymi lobbystami. Wszelkie rozmowy z przedstawicielami sektora prywatnego prowadziła jawnie, w ramach typowych dla instytucji unijnych „dni branżowych". I znowu trzeci sektor i dziennikarze oskarżają, Frontex odbija piłeczkę.

Dla wielu unijnych urzędników agencja była powodem do dumy, bo dobrze radziła sobie z transgraniczną przestępczością zorganizowaną.

A Leggeri wyrasta na władcę absolutnego. Choć obligują go regulacje wewnętrzne, odmawia powołania trzech zastępców. Nie ma też w swoich szeregach wymaganych 40 oficerów ds. ochrony praw podstawowych, czyli kogoś, kto funkcjonariuszom patrzyłby na ręce, również w czasie pracy w terenie. To dziś niezbędne, bo Frontex znaczenia raczej już nie straci. Im szybciej doczeka się przejrzystych mechanizmów nadzoru i kontroli, tym lepiej dla wszystkich. Wewnątrz i na zewnątrz Unii.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Nowy numer tygodnika „NIE"
zaprasza w podróż z Pcimia do wieczności.

eprasa.pl ace2ed05c6

Rozmawia Artur Zaborski

W pandemii wszyscy tęsknimy za tym samym

Zawsze chodzi o drugiego człowieka, o jego brak albo przesyt

IZABELA CHAMCZYK
– malarka, performerka, artystka wizualna, reżyserka filmu „Brak" diagnozującego nasze lęki w pandemii

Czego nam najbardziej brakuje w czasie pandemii?

– Przede wszystkim drugiego człowieka. Ludziom brakuje innych ludzi, brakuje nam nas. Różnie to nazywamy, mówimy o tęsknocie za tłumem, spotkaniem, dotykiem, wyjazdami, bo podczas nich też spotykamy innych ludzi. Zadałam to pytanie 40 osobom ze świata kultury, nauki i sztuki. Czasami odpowiedź wiązała się również z przestrzenią, np. z pustym domem albo przeciwnie – domem, w którym ktoś czeka.

Które wypowiedzi cię uderzyły?

– Jedną z nich była wypowiedź Jana Wróbla: „Kiedy wracam z pracy do domu – w cudzysłowie, bo przecież pracuję w domu – to tam dalej nikogo nie ma". Jest ona kwintesencją smutku i samotności. Co ważniejsze, nie tylko w trakcie pandemii, bo przecież przed jej nastaniem w domu także nikt nie czekał. Jej autor jest dyrektorem szkoły, byłam w szoku, że się tym podzielił ze mną, zupełnie nieznaną mu osobą. Wszystkie wypowiedzi były dla mnie ważne, ale druga, która bardzo zapadła mi w pamięć, należała do Karoliny Sulej, współautorki książki „Własny pokój". Powiedziała, że brakuje jej samotności. Ale samotności w tym dobrym znaczeniu, takiej, która „pozwala słyszeć własne myśli". W języku angielskim mamy popularne słowo *loneliness*, a tu chodziło o *solitude*. Bo tak naprawdę w czasie pandemii jesteś skazany na osobę, z którą mieszkasz lub z którą pracujesz. Krzysztof Materna zażartował, że z jednymi ludźmi pandemia utrudniła mu kontakt, a od innych uratowała, za co jest jej wdzięczny. Zawsze zatem chodzi o drugiego człowieka, o jego brak albo przesyt.

Poczułaś potrzebę udokumentowania naszych emocji w pandemii?

– O filmie zaczęłam myśleć, ponieważ chciałam spotkać się z ludźmi. Zależało mi na wymyśleniu projektu, który mi to umożliwi. Całe dni w pracowni spędzam sama. Maluję, projektuję, robię *performance* w formie online, wszystko dzieje się w tym samym miejscu. Moje życie wyglądało tak już wcześniej, ale pandemia zabrała mi spotkania z ludźmi po pracy: wernisaże, bankiety i imprezy. Często działam intuicyjnie i podobnie było tym razem. Poczułam, że muszę zrobić coś, co umożliwi mi spotkanie z drugim człowiekiem. Szukałam pretekstu i go sobie znalazłam. Kontekstem dla formy „Braku" są moje 40. urodziny, które przypadły na 2020 r. Tyle lat ma również film Krzysztofa Kieślowskiego „Gadające głowy". Dlatego przepytałam właśnie 40 osób o to, czego im brakuje w pandemii i czego się boją.

To ważny film w twoim życiu?

– Wielu artystów miało pomysły podobne do mojego, żeby wyjść do ludzi z pytaniami. A pierwszym takim filmem, który zapisał się w historii, były właśnie „Gadające głowy". Ta produkcja ukształtowała nasze myślenie o tym typie reportażu. Wiedziałam, że zadawanie ludziom pytań będzie pewnego rodzaju powtórką, dlatego wróciłam do tego filmu, przeanalizowałam go i postanowiłam na nim bazować. W „Gadających głowach" występują „czterdzieści

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ace2ed05c6

i cztery" osoby, bo reżyser uprawia tutaj martyrologię. Ja nie chciałam tego robić, więc zostało ich 40. Czas trwania mojego filmu jest za to podobny. Krzysztof Kieślowski dawał każdej osobie średnio 20 sekund na wypowiedź, dzieląc 14 minut na 44 osoby, a ja miałam dokładnie 12 minut i 43 sekundy na 40 osób.

Wtedy mieliśmy nieco więcej czasu, dziś wszyscy stawiają na szybkie strzały.

– Moja siostra, 10 lat młodsza ode mnie, oglądała wersję montażową produkcji. Od razu stwierdziła, że wypowiedzi są zbyt długie. Jest przyzwyczajona do tego, że wszystko dzieje się bardzo szybko. Sama jednak zaznaczyła, że postrzega to inaczej, bo wychowała się na YouTubie. Ale efekt końcowy jej się spodobał.

Dlaczego zadałaś akurat takie pytanie rozmówcom?

– W okresie kwarantanny nie widywałam wielu osób, jedną z nielicznych była moja rehabilitantka, Basia, która powiedziała mi, że pandemia zabrała jej najważniejszą rzecz – kawiarnie, do których wyskakiwała na *lunch* w przerwie od pracy. Mówiła o tym za każdym razem, tak bardzo bolało ją to, że nie może wyjść na kawę z koleżankami. Myślałam sobie: „Przecież to oczywiste, że nie może!". Uświadomiłam sobie, że i ja odczuwam konieczność wyrażenia tego, czego mi brakuje. Czułam się wyalienowana. Nie mogłam wyjść na imprezę, spotkać tłumu ludzi. Uznałam, że właśnie o to będę pytać: czego brak podczas pandemii. Nie było odpowiedzi, której bym oczekiwała, nie miałam żadnych założeń.

A jeśli komuś niczego nie brakuje?

– Zdarzyły się osoby, które odpowiadały w taki sposób. Mówiłam: „Super, opowiedz o tym". Jedna z tych osób nie zgodziła się na wywiad – miała do tego prawo. Niektóre osoby ujawniały, że mają poczucie winy, że nie odczuwają żadnego braku. Albo przeciwnie, że czują się z tym świetnie, że uważają, że to też jest w porządku. Ludzie są naprawdę bardzo różni, ale natężenie na poziomie emocjonalnym w każdym przypadku było podobne. Wypowiedziom osób, którym niczego nie brakuje, nie towarzyszyła ignorancja. Były bardzo zaangażowane w swój „brak braku". A mnie o to chodziło, bo jako artystka skupiam się właśnie na emocjach. Mariusz Szczygieł zapytał: „Ale jaki masz plan, czego oczekujesz? Jak to ma wyglądać, co chcesz osiągnąć?". Odparłam: „Nie wiem! Będzie, co będzie!". A Szczygieł na to: „Bardzo dobrze, żywioł, żywioł!". Wsparł pomysł, żeby po prostu w to iść i zobaczyć, co się będzie działo.

Ludzie chcieli spotykać się z tobą w pandemii?

– Dziwiłam się, że w ogóle odpowiadali na moje wiadomości. Jako artystka wizualna często jestem ignorowana – ten zawód nie jest szczególnie ważny dla ludzi. Nie jestem celebrytką ani znaną reżyserką, dzięki współpracy ze mną nie zdobywa się prestiżu ani popularności. Mam wiele projektów i pomysłów, w które chciałabym zaangażować ludzi, ale zazwyczaj nie spotykają się one z odzewem. A teraz, w trakcie pandemii, kiedy ludzie są skazani na siebie, okazuje się, że też czują potrzebę kontaktu. Wydaje mi się, że stali się o wiele bardziej otwarci, bo odpisały mi nawet takie tuzy jak Krystyna Janda. Innego dnia obudziłam się o ósmej rano. Otwieram jedno oko, bo dzwoni telefon. Odbieram i słyszę głos: „Dzień dobry pani". Myślę: „Kurczę, skądś go znam!". „Dała mi pani numer, więc do pani dzwonię". Zadzwonił do mnie zupełnie znienacka Krzysztof Materna i wyraził chęć wzięcia udziału w „Braku". Bardzo ciekawe okazały się również miejsca, które ludzie wybierali na spotkania ze mną.

Gdzie się spotykaliście?

– Nie mogliśmy umówić się na neutralnym gruncie, takim jak kawiarnia czy restauracja, bo wszystkie były zamknięte. Ludzie czasami zapraszali mnie do domu, do bardzo prywatnych miejsc – chcieli podzielić się ze mną swoją przestrzenią. Małgosia Potocka, która mieszka poza miastem, ugościła mnie, długo po nagraniu plotkowałyśmy. Mariusz Szczygieł zaprosił mnie do pracy. Prowadził spotkanie online w Faktycznym Domu Kultury, a potem nagrałam jego wypowiedź w tym miejscu. Ale niektórzy nie chcieli lub nie mieli potrzeby dopuszczać mnie do swoich przestrzeni.

Co wtedy?

– Spotykaliśmy się na zewnątrz, co zimą było nieco uciążliwe przy minus 20 stopniach. Przy jednej rozmowie w parku niemal zamarzłam. W końcu było to nie samo nagrywanie wypowiedzi, ale także opowiadanie, co robimy i dlaczego. Ja nigdy nie wybierałam miejsca, nie mówiłam ludziom, gdzie się spotkamy. Decyzja należała do nich, co pokazało mi, jak bardzo jesteśmy na siebie otwarci. Niektórzy wpuścili mnie przecież do domu, chociaż wcześniej mnie nie znali, a sami są znani. Tak jak Tomek Ciachorowski. Serdecznie mnie ugościł, a ja wparowałam do jego domu, kiedy jadł śniadanie. Ale były osoby, które kombinowały, żeby tylko nie spotkać się w domu. Rozmawialiśmy na korytarzu, w bramie. Inni zmieniali zdanie – zgadzali się w pierwszym odruchu, a później się wycofywali. Pojawiał się w nich lęk, który obecna sytuacja dodatkowo podsyca. Pandemia robi z ludźmi różne rzeczy i generalizowanie nie jest w tym przypadku dobrym rozwiązaniem. Charakter każdego z nas jest inny. Dlatego część stała się bardziej otwarta, łaknie kontaktu z drugim człowiekiem i dzieli się swoją przestrzenią. Inni zamknęli się w sobie i odcięli od ludzi jeszcze bardziej – zauważyłam te skrajności.

W kwestii maseczki też pozwalałaś na dowolność?

Brakuje nam innych ludzi. Różnie to nazywamy, mówimy o tęsknocie za tłumem, spotkaniem, wyjazdami.

Izabela Chamczyk – w 2009 r. ukończyła z wyróżnieniem malarstwo na ASP we Wrocławiu w pracowni Pawła Jarodzkiego, studiowała również na ASP w Poznaniu w pracowni Dominika Lejmana. Jej prace znajdują się w wielu kolekcjach, takich jak Andel's Hotel, Ergo Hestia, CSW Toruń, Dolnośląska Zachęta Wrocław, Archiwum Performansu Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie oraz w wielu kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

eprasa.pl ace2ed05c6

– Oczywiście. Pytanie o maseczki pojawiało się wielokrotnie, a odpowiadałam na nie krótko: twój wybór. Ale zauważ, że osób w maseczkach jest w filmie bardzo mało. Niektóre znałam, jednak dla większości byłam obca, przyszłam z zewnątrz. I byłam teoretycznym zagrożeniem, bo jednak spotykałam się z innymi ludźmi w ramach projektu. Większość osób wystąpiła bez maseczki, bo chciała po prostu ze mną pobyć, porozmawiać, jak człowiek z człowiekiem, nie człowiek z maseczką.

Ale czy osoby bez maseczek nie stwarzały ryzyka dla ciebie?

– Miałam w sobie bardzo duży lęk przed pandemią na samym początku. W budynku, gdzie mieści się moja pracownia, w której oprócz mnie przebywały wtedy może dwie, trzy osoby, spryskiwałam wszystko spirytusem we wspólnej toalecie: włącznik światła, kran, klamkę. Wtedy zrobiłam mój pierwszy, bardzo kompulsywny *performance* online „Codzienność w koronie". Ale ten stan jest dawno za mną. Poza projektem czasem także spotykam się z ludźmi. Nie dzieje się to często, ale chodzę na saunę, zajęcia fizjoterapeutyczne, pilates. Nie są to takie spotkania towarzyskie, ale się zdarzają, nie boję się ich. Kilka osób, które nagrałam, przechodziło później COVID-19. Wcześniej mówiły, że pandemia ich nie tyka, że chodzą tu i tam. A ostatnio przeczytałam wpis jednej z nich z prostym wnioskiem: że jednak nie jest ona cyborgiem. Każdy może myśleć na swój sposób. U mnie chęć spotkania z ludźmi przewyższa lęk, dlatego że możliwości tych spotkań mam bardzo mało. Oczywiście mogłam się zarazić. Ale nie myślałam o tym. Przebywanie z drugim człowiekiem było najważniejsze.

Jak przebiegały twoje rozmowy i spotkania?

– Niektórzy bardzo się śpieszyli i mieli dla mnie trzy minuty, z innymi odbywały się długie posiedzenia przy herbacie. I znowu zaskakująca była właśnie różnorodność reakcji. Mogłam zobaczyć, że ludzie w czasie pandemii mają tak samo mało czasu jak przed nią – mają swoje grafiki, zadania, niezależnie od wykonywanego zawodu. Moje pytania wymuszały autorefleksyjny nastrój, więc nawet jeśli rozmówcy przygotowali sobie wcześniej odpowiedzi, i tak reagowali emocjonalnie. Niektórzy byli blisko rozpłakania się przed kamerą. Zastanawiałam się, co zrobię na widok tych łez. Nawet u tych osób, które rozmawiały ze mną naprędce, widać było dużą chęć podzielenia się przemyśleniami. Odpowiadały, że brakuje im tego i tamtego, a potem nagle: „Przytulania! Dotyku! Bliskości!", a ja upewniałam się, że wszyscy tęsknimy za tym samym.

Z wypowiedzi wielu osób w twoim filmie wynika, że brakuje nam tego, czego przesyt odczuwaliśmy przed pandemią. Tęsknimy za tłumem i gwarem, na które wcześniej narzekaliśmy. Czuliśmy, że jest tego za dużo, każdy chciał uciec w bezludne miejsce. Teraz mamy odwrotnie.

– Na swoim przykładzie mogę powiedzieć, że na początku pandemii miałam poczucie, że nic się nie zmieniło – oprócz wyczuwalnego zewnętrznego zagrożenia oczywiście. Bo ja wiele czasu spędzam sama, a teraz inni żyją tak jak ja: pracownia-dom, pracownia-dom. Dopiero po roku zorientowałam się, jak bardzo brakuje mi weekendów, tłumu, wychodzenia do knajpy. Kiedyś było to tak naturalne, że ten brak nawet do mnie nie dotarł, robiło się to „przy okazji". Te rzeczy nie były zaplanowane czy zapisane w kalendarzu. Mój tryb i sposób życia się nie zmienił i dopiero po dłuższym czasie zorientowałam się, że czuję się źle psychicznie. To pewien atawizm, bo jesteśmy istotami społecznymi, więc brakuje nam tego, co było dla nas normalnością. Normalność z kolei mierzi, gdy jest jej za dużo, stąd brał się ten przesyt tłumem i gwarem. Potrzebujemy społeczności, żeby funkcjonować. Jasne, wiele czasu spędzam sama i daję sobie radę. Ale okazuje się, że czegoś mi brak.

Czy film jakoś na ten brak odpowiedział?

– Tak. Na dwa miesiące dał mi powód do wyjścia z pracowni do miejsca innego niż sklep. Miałam coś zaplanowane. To bardzo wypełniło moją pustkę. Ale projekt się skończył, a ja znowu ubolewam, że siedzę tylko w domu lub w pracowni. Tego nie da się zapełnić raz a dobrze, nie najesz się na zapas. Myślę, że w przypadku ludzi, z którymi się spotykałam, mogło to działać na identycznych zasadach. Też dostali pretekst do spotkania z drugim człowiekiem.

Artur Zaborski

Pandemia robi z nami różne rzeczy. Niektórzy stali się bardziej otwarci, inni zamknęli się w sobie jeszcze bardziej.

Wyślij SMS o treści DOROTKA

7412 koszt SMS 4,92 zł z VAT
7910 koszt SMS 11,07 zł z VAT
91950 koszt SMS 23,37 zł z VAT
i kup tapetę

Oto Dorotka. Lat prawie 20. 6 właścicieli. Tysiące przepracowanych dla nich godzin. 9 urodzonych źrebiąt, wszystkie pojechały na rzeź...
Człowiek zabrał jej młodość, zdrowie, zabił jej dzieci. Dziś jest już za stara, by kolejny raz się zażrebić, niepotrzebna do pracy. Ostatni właściciel wziął, co mógł, a potem sprzedał handlarzowi. Upasiona i ciężka czeka na swoją ostatnią podróż. Do ubojni...Handlarz wyprowadza klacz z obory. Spracowane nogi, obolały kręgosłup i wzrok pełen cierpienia. Zrezygnowana schyla łeb do samej ziemi, zamyka zmęczone oczy i czeka na polecenia. Dorotka nie prosi o nic. Nie grzebie nogą, nie domaga się uwagi. Dobrze poznała ludzi. Po latach służby wie, jak smakuje bat. Wie też, czym jest obojętność. I wie, że nie ma żadnej możliwości, by zmienić swój los. Młodsza przecież już nie będzie, emerytury nikt jej nie zapewni. Nadszedł ten moment, gdy człowiek uznał, że na Dorotkę już czas... a stamtąd, dokąd ją wyślą, nie wrócił żaden koń.
Dorotka to koń zimnokrwisty. Koń duży, masywny i ciężki. Koń, który całe swoje życie poświęcił człowiekowi. I nie dlatego, że chciał, a dlatego, że zwierzęta nie mają wyjścia. Najęte na parobków muszą pracować, by żyć, bo nieprzydatne są odwożone do ubojni.

Daliśmy 500 zł zadatku i ustaliliśmy, że przyjedziemy po nią tuż po świętach Wielkanocnych. To bardzo mało czasu, by zebrać 11900 zł. Potrzebne będą też środki na transport, diagnostykę, leczenie, na kowala i pasze. Tylko wspólnie możemy dać Dorotce życie i spokojną emeryturę. Jej jedyną winą jest to, że się urodziła. Nie zrobiła nic złego, a za lata wiernej służby i posłuszeństwa, ma zostać zabita w rzeźni. Prosimy, pomóżcie to zmienić...

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem DOROTKA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj
Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

eprasa.pl ace2ed05c6

KURTYNA W GÓRĘ

ROZGORYCZENIE

Spektakl Jana Englerta przesycony jest rozgoryczeniem, łagodzonym tęsknotą za świetlaną przyszłością. W roztaczaniu jej wizji celuje płk Wierszynin Jana Frycza – wybranek Maszy jest kochankiem drugiego gatunku, który swoje zużycie maskuje, plotąc o czasach, które nadejdą. Nikt w to nie wierzy, nawet on, po jego tyradach wybuchają salwy śmiechu.

Na początku siostry żywią jeszcze złudzenia (może wyjadą do Moskwy?), zwłaszcza najmłodsza Irina (Michalina Łabacz), która rwie się do życia i miłości, choć i Masza (Wiktoria Gorodeckaja) ma nadzieję na odwet za lata zmarnowane u boku nudnego męża, a nawet rozsądna Olga (Dominika Kluźniak) liczy, że jej życie może być udane.

Anton Czechow, „Trzy siostry", tłumaczenie Agnieszka Lubomira Piotrowska, reżyseria Jan Englert, Teatr Narodowy, premiera 27 lutego 2021

Srodze jednak się zawiodą, choć Czechow każe im trwać, bo kto wie, co los przyniesie. Toteż spektakl, po symbolicznej scenie ukazującej stróża Fieraponta (Jacek Różański) ciągnącego linę, zamknie westchnienie Olgi: „Gdyby wiedzieć, gdyby wiedzieć" i rzewna pieśń wyśpiewana *a cappella* przez trzy siostry. *Tomasz Miłkowski*

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jenni Hendriks, Ted Caplan

Test na przyjaźń

tłum. Aleksandra Dzierżawska, Magdalena Olasik

Poradnia K, Warszawa 2021

Potraktowanie tematu aborcji choćby z lekkim przymrużeniem oka budzi negatywne emocje, a już w Polsce to czysta herezja. Dwoje takich „heretyków" wzięło tymczasem na warsztat jeden z ulubionych motywów zwłaszcza amerykańskiego kina, czyli podróż kontrastowej pary przez stany, z pościgiem na karku. Będzie nawet wspólny skok w przepaść, no, przepastkę… Wyprawę inicjuje 17-latka, która w rodzinnym Missouri potrzebuje do aborcji zgody rodziców – a na to nie ma co liczyć. Bliżej niż w Nowym Meksyku niczego nie uzyska. Przeszkody się piętrzą, w charakterze pogoni występuje zaś sprawca ciąży. Jest przy czym się uśmiechnąć, lecz autorzy mówią o poważnych problemach – o prawie do stanowienia o sobie, bo przecież chłopak naruszył zaufanie bohaterki, rozporządził jej ciałem, a i rodzice o losie córki zadecydowaliby w zgodzie z własnym sumieniem. Książka odtabuizowuje aborcję, ale – co może ważniejsze – pokazuje, w jakim stopniu kształtujemy życie i poglądy pod dyktando tego, „co ludzie powiedzą". Konformizm daje akceptację otoczenia, jest ona jednak powierzchowna, nieszczera. *Aleksandra Pańko*

NA EKRANACH

CÓRKI RZESZY
reż. Andy Goddard, prod. Wielka Brytania, dostępny w serwisach VoD

„Córki Rzeszy" przywołują mało znany, a bardzo ciekawy edukacyjny sojusz niemiecko-brytyjski z przedednia II wojny światowej. Przypominają o istnieniu Augusta-Victoria College, elitarnej szkoły dla córek niemieckich dygnitarzy pośród angielskich wrzosowisk i klifów (pocztówkowo tutaj sfotografowanych). Film zachęca do zainteresowania się tematem, ale sam oferuje niewiele konkretów. Od grzebania w ciekawych okolicznościach twórcy wolą bowiem skupienie się na akcji osadzonej w lecie 1939 r. i na postaci agenta Thomasa Millera, którego poznajemy, gdy pod przykrywką zatrudnia się w koledżu jako nauczyciel. Jego ucieczki przed policją i konfrontacje z niemieckimi agentami są tak oderwane od realizmu, że trudno uwierzyć, by film miał cokolwiek wspólnego z rzeczywistością. Ciekawie wypadają za to sceny skoncentrowane na samych uczennicach. Gdy dziewczęta słuchają w radiu przemówienia Führera i ulegają coraz większemu uniesieniu, możemy zrozumieć, dlaczego z nazizmem nie miały szans ani wrażliwość, ani kosmopolityzm.

Artur Zaborski

WYDARZENIE

25. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena, Program II Polskiego Radia i YouTube, do 2 kwietnia

WIELKANOCNY BEETHOVEN PRZEZ SZYBKĘ

Wielkanocny Festiwal Beethovena odbywa się bez publiczności. Koncertów codziennie można słuchać w Programie II Polskiego Radia, a gdy ktoś chce widzieć muzyków, włącza YouTube i ma to samo z 30-sekundowym opóźnieniem. Nie ma większego znaczenia, że nie wszystkie koncerty są nadawane z Warszawy, lecz dołączają też Poznań, Katowice i Wrocław. Tegoroczna impreza przyjęła hasło: „Beethoven i Penderecki. Sfera sacrum". Prawie w każdym koncercie jest jeden utwór zmarłego niedawno polskiego mistrza. Podczas inauguracji jubileuszowego, 25. już festiwalu usłyszeliśmy Orkiestrę Filharmonii Narodowej kierowaną przez Andrzeja Boreykę, grającą m.in. *adagietto* z opery „Raj utracony" Krzysztofa Pendereckiego, z rewelacyjną młodą solistką Joanną Monachowicz. Jej instrument to rożek angielski.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ace2ed05c6

Luksusowy kapitan biało-czerwonych

Gdyby każdy piłkarz rozwinął się podobnie jak Lewandowski, futbol byłby szalony

Adam Godlewski, Maciej Polkowski

Robert Lewandowski, uznany za najlepszego piłkarza świata 2020 r., korzysta ze swojego statusu pełnymi garściami. Sukcesy na boisku to solidna podstawa licznych biznesów. Wraz z żoną Anną z powodzeniem odgrywają rolę duetu celebrytów z wysokiej półki. Futbolową pasję RL9 uzupełnia zamiłowaniem do zegarków i samochodów. Słowem, reprezentacja ma luksusowego kapitana.

Bezawaryjny w Bayernie

Od momentu ogłoszenia go zwycięzcą w plebiscycie FIFA Lewy złapał nowy wiatr w żagle. Po 26 kolejkach Bundesligi ma na koncie 35 goli. I już tylko pięciu brakuje mu do wyrównania genialnego osiągnięcia najlepszego w historii niemieckiej ekstraklasy strzelca, Gerda Müllera. Rekord został ustanowiony w sezonie 1971-1972 i wydawało się, że jest nie do pobicia. Nasz rodak ma aż osiem kolejek, które pozostały w obecnych rozgrywkach, aby zadać kłam powyższej teorii.

Mimo prawie 33 lat wciąż doskonali umiejętności. Jest silny, wyjątkowo – nawet w gronie profesjonalnych piłkarzy – skoordynowany ruchowo i niezwykle sprawny. A to, w połączeniu z bezglutenową dietą, której Robert bezwzględnie przestrzega, autorstwa jego żony Anny, sprawia, że napastnik Bayernu jest praktycznie bezawaryjny. Nawet najstarsi górale nie pamiętają poważnej kontuzji, która wykluczyłaby z gry naszego napastnika na dłuższy czas. Megaprofesjonalne prowadzenie się i rzadko, nawet u wyczynowców ze światowego topu, spotykana samoświadomość powodują, że „nie zużywa się" w takim tempie jak większość piłkarzy. Można zatem spokojnie zakładać, że na obecnym poziomie sportowym będzie w stanie się utrzymać jeszcze nawet przez cztery-pięć lat. I skoro już zamachnął się na świętość niemieckich kibiców, jaką stanowi rekord Müllera, należy zakładać, że przymierzy się także do pobicia najważniejszego strzeleckiego osiągnięcia słynnego bombera. Müller przez 13 lat gry w Bundeslidze zdobył 365 goli i Lewandowski traci do lidera tej prestiżowej klasyfikacji 94 bramki. Biorąc zatem pod uwagę rozpęd Roberta z ostatnich lat, jest to dystans do odrobienia przez trzy-cztery sezony.

Przed kilku laty ówczesny prezydent Bayernu Karl-Heinz Rummenigge, zapytany o transfer Lewego, odrzekł: „On nie jest na sprzedaż". A w niedawnym wywiadzie dla magazynu „Sport Bild" Jürgen Klopp, były trener Borussii i numer 1 na świecie jako szkoleniowiec Liverpoolu, przyznał, że kapitan reprezentacji Polski od transferu do Dortmundu w 2010 r. zrobił ogromny postęp: „Robert Lewandowski to najlepszy piłkarz, z którym pracowałem. To, co wydobył ze swojego potencjału, jest niezwykłe. Wykonał każdy krok, który musiał zrobić, by stać się maszyną do strzelania goli. Dokładnie wie, w jaki sposób zachować się w każdej możliwej sytuacji. Chciałbym podziękować jemu i innym zawodnikom, którzy sprawili, że wygląda to tak, że jestem bardzo dobrym trenerem. Gdyby każdy

eprasa.pl ace2ed05c6

piłkarz rozwinął się podobnie jak Robert od czasu, gdy pierwszy raz zobaczyłem go w Lechu Poznań, futbol byłby szalony".

Aż dziw bierze, że mając taką passę w Bundeslidze, w całym cyklu eliminacji Euro 2020 w reprezentacji Polski RL9 strzelił zaledwie sześć goli. A w jesiennej Lidze Narodów raptem dwa. Już te statystyki stanowią wystarczający dowód, że Zbigniew Boniek nie popełnił błędu, zwalniając Jerzego Brzęczka z posady selekcjonera. Szefowi PZPN można zarzucić najwyżej to, że wręczył tę dymisję zbyt późno. Tak naprawdę w biało-czerwonej kadrze zmarnowane zostały bowiem dwa najlepsze lata w karierze Lewego, który już dawno wyprzedził poprzedniego najlepszego goleadora drużyny narodowej – Włodzimierza Lubańskiego (Lubański zdobył dla Polski 48 goli, Robert – 63). Być może przez braki warsztatowe trenera i nieumiejętność podporządkowania zespołu pod superstrzelca Lewandowski stracił możliwość wyśrubowania swojego rekordu do rozmiaru trzycyfrowego.

Warto zresztą przypomnieć, że podczas kadencji Adama Nawałki także dla Polski strzelał jak natchniony. Został przecież królem strzelców eliminacji ME z 13 golami, był również najlepszy pod tym względem (z 16 trafieniami) w kwalifikacjach rosyjskiego mundialu. Czyli to nie partnerzy w naszej kadrze nie dorośli do klasy Roberta, tylko system obrany przez poprzedniego selekcjonera był do kitu.

Inna sprawa, że nawet dziś, gdy Lewego zazdrości Polsce cały świat, nie tylko piłkarski, trudno nie pamiętać o wielkim rozczarowaniu po Euro 2012 i mundialu w Rosji 2018. Bez wątpienia bowiem i on miał udział w niepowodzeniach we wspomnianych turniejach. Wtedy godną uwagi diagnozę postawił „Daily Mail", który, nazywając już przed trzema laty kapitana reprezentacji Polski grającą legendą Bundesligi, wskazywał, że nad Wisłą będzie miał on kłopot z uzyskaniem statusu legendy. Z uwagi na mizerne osiągnięcia w drużynie narodowej. Prawda jest zresztą taka, że Władysław Żmuda rozegrał w czterech turniejach o mistrzostwo świata 21 meczów i zdobył dwa medale, Grzegorz Lato w 20 spotkaniach na trzech mundialach zdobył 10 goli – pod tym względem bije na głowę nawet Cristiana Ronalda oraz Leo Messiego – i został królem strzelców Weltmeisterschaft 1974, a Kazimierz Deyna i Zbigniew Boniek po globalnych czempionatach stawali na podium plebiscytu o Złotą Piłkę organizowanego przez „France Football".

6 marca br. w meczu z Borussią Dortmund Robert Lewandowski zaliczył hattricka.

Przy tych ikonach reprezentacji Polski dorobek Lewandowskiego w MŚ jest żaden. Można zatem całkiem serio stawiać tezę, że Lewy – na razie – jest najlepszym na świecie napastnikiem, ale… klubowym.

Firma RL9

W czasach gdy menedżerem piłkarza był jeszcze Cezary Kucharski (obecnie interesy goleadora Bayernu prowadzi Izraelczyk Pinhas Zahavi), wartość wizerunku Roberta była wyceniana na 250-300 tys. euro za udział w jednej sesji reklamowej. Wówczas Lewandowski „sprzedawał twarz" głównie na rynku krajowym, choć podpisał także międzynarodowe kontrakty z telefonicznym gigantem Huawei oraz z Gillette. Po zwycięstwie w plebiscycie FIFA na Piłkarza Roku stawki wzrosły, ale chętnych wciąż nie brakuje. Umowa z Lotto ma opiewać na 5 mln zł, wkrótce zaś zostanie ogłoszony nowy – podpisany już i intratny – kontrakt z kolejną globalną marką. Dziś, jak zaznaczył doradca piłkarza Tomasz Zawiślak pilotujący jego kontrakty reklamowe, zbyt wcześnie na ujawnienie producenta, który związał się z kapitanem reprezentacji Polski. Impresario nie krył natomiast, że występ Roberta w garniturze uszytym przez Dolce & Gabbana podczas gali Globe Soccer Awards w Dubaju nie był przypadkiem, tylko częścią szerszej i długofalowej współpracy. Warto zresztą przypomnieć, że Kucharski wraz z pomagającym mu Maikiem Barthelem wynegocjowali w kontrakcie Lewandowskiego w Bayernie premię za… miejsce na podium w tak prestiżowych plebiscytach jak FIFA czy „France Football" (w którym jednak ze względu na pandemię, pechowo dla Roberta, w 2020 r. nie wręczono Złotej Piłki). Obecność na podium tego rankingu miała wartość okrągłego miliona euro!

Nikt zatem nie powinien się dziwić, że zarabiający na tak wielu polach zawodnik od dwóch lat jest notowany w rankingu najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost". W 2019 r. małżeństwo Lewandowskich uplasowało się na 88. pozycji, w roku ubiegłym – na 80.

Lewy jest najlepszym na świecie napastnikiem, ale… klubowym.

FOT. EAST NEWS, AP/EAST NEWS

eprasa.pl ace2ed05c6

Z majątkiem szacowanym na pół miliarda złotych.

„Na początku tego roku na półki sklepowe trafiły opakowania kawy z inicjałami RL9. Nowa marka zadebiutowała w Niemczech, później weszła do Polski. W październiku ma ruszyć restauracja Roberta zlokalizowana w prestiżowej inwestycji Browarów Warszawskich budowanych w centrum stolicy. W środku bar sportowy, sale konferencyjne i restauracja. W połowie zeszłego roku Lewandowski wszedł też na rynek z własną marką napojów izotonicznych o nazwie RL9pro (produkowanych przez Oshee) – można było przeczytać w uzasadnieniu. – Największym składnikiem majątku Anny Lewandowskiej jest spółka HPBA, produkująca zdrową żywność pod marką Foods by Ann. Moodiphy sprzedaje kosmetyki pod marką Phlov by Anna Lewandowska. Wraz z przyjaciółką Ewą Puchowską prowadzą portal parentingowy Baby by Ann. Na warszawskim Wilanowie ruszyła z własną kawiarnią Healthy Store, dwie kolejne znajdują się w Galerii Młociny w Warszawie i w Posnanii w Poznaniu".

Warto dodać, że w marcu 2021 r. firma 4F, z którą Robert ma podpisany kontrakt reklamowy, wypuściła na rynek kolekcję odzieżową sygnowaną RL9 x 4F. Nietanią (skarpetki od 39 zł), ale też nieodbiegającą cenowo od innych producentów w tym segmencie (najdroższe bluzy po 269 zł). Co w połączeniu z innymi nowymi aktywnościami reklamowymi z pewnością przesunie Lewandowskich w górę listy najbogatszych Polaków.

Światowe marki na co dzień

Po podpisaniu kontraktu z Bayernem na nadgarstku Roberta pojawił się tytanowy Hublot Classic Fusion Chrono za cenę oscylującą wówczas nieco poniżej 40 tys. zł. Była to jednak dopiero zapowiedź jego dalszych zegarkowych wyborów, które reprezentowały dużo wyższą półkę. Kolejny zegarek to Patek Philippe (klasyczny model Aquanaut w stali) wartości ok. 200 tys. zł. Patkiem widzianym chyba najczęściej u Roberta był Nautilus 5726/1A. Ten kultowy model w stali z kompilacjami rocznego kalendarza i faz księżyca kosztuje… „cena na zapytanie". Następny wybór – Patek Philippe Nautilus 5890R w różowym złocie, którego butikowa cena oscyluje wokół 400 tys. zł. Na gali Globe Soccer Awards – tradycyjnie odbywającej się w najwyższym wieżowcu świata, Burdż Chalifa w Dubaju – miał na ręku Audemars Piguet model [Re]master01 Chronograph; ekskluzywny model, którego wyprodukowano zaledwie 500 sztuk, w cenie przekraczającej 262 tys. zł. A prawdopodobnie najbardziej spektakularnymi czasomierzami w kolekcji piłkarza są wyroby tejże renomowanej firmy Audemars Piguet – modele Royal Oak Perpetual Calendar z czarnej ceramiki z szarą tarczą i Royal Oak Tourbillon Extra-Thin ze śliwkową tarczą. Cena rynkowa tych modeli oscyluje wokół 145 tys. dol. Czyli ponad pół miliona złotych.

Mimo prawie 33 lat wciąż doskonali umiejętności. Jest silny, wyjątkowo skoordynowany ruchowo i niezwykle sprawny.

Na pytanie, jakim samochodem jeździ RL9, nie sposób odpowiedzieć jednym zdaniem. Lewandowski, podobnie jak zdecydowana większość czołowych graczy świata, nie ukrywa bowiem słabości do luksusowych aut. W ostatnich latach poruszał się rozmaitymi modelami takich marek jak Maserati, Ferrari, BMW czy Mercedes. Najnowszy – to „służbowe" elektryczne nowe audi e-tron sportback 55 quattro, którego ceny w Polsce zaczynają się od 357 tys. zł. Kara dla piłkarzy Bayernu za pokazanie się na obiektach klubowych w innym aucie wynosi nawet 225 tys. zł. W aktualnej kolekcji kapitan biało-czerwonych ma porsche 911 speedster cabrio – 1,3 mln zł i najdroższe cacko – bentleya continental GT V8 convertible wartego 1,5 mln zł. Starsza córeczka Anny i Roberta, Klara, ma swojego bentleya, podobno w identycznej konfiguracji kolorystycznej, ale – co oczywiste – w miniaturowej skali.

Najlepszy ambasador polskich spraw

Ze wszystkich rzeczy nieważnych piłka nożna jest najważniejsza, zwykł mawiać Jan Paweł II. A Lewandowski w sferze publicznej wykroczył daleko poza futbol. Dość powiedzieć, że przed marcowym zgrupowaniem reprezentacji prowadzonej przez Paula Sousę rozmawiali o nim premier Mateusz Morawiecki i kanclerka Angela Merkel. Istniały bowiem obawy, że zawodnik Bayernu nie będzie mógł wziąć udziału w meczu z Anglią w Londynie w ramach eliminacji do mistrzostw świata. Obostrzenia pandemiczne są w RFN surowe i gdyby Instytut Roberta Kocha nie zmienił kwalifikacji Wielkiej Brytanii (uznawanej do 19 marca 2021 r. za kraj wysokiego covidowego ryzyka), Lewandowski po powrocie z Wysp musiałby przejść obowiązkową kwarantannę w Monachium. Nie mógłby zatem występować w meczach swojego pracodawcy, a co za tym idzie – klub z Bawarii nie wyraziłby zgody na wylot zawodnika na Wyspy Brytyjskie. Sprawa zrobiła się na tyle ważna, że doszło do rozmowy między szefami rządów Polski i Niemiec, którzy znaleźli rozwiązanie po myśli Piłkarza Roku 2020 FIFA.

A warto dodać, że tuż po przylocie na pierwsze tegoroczne zgrupowanie kadry narodowej – poprzedzające m.in. starcie na Wembley – Lewandowski został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę krzyżem komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne osiągnięcia sportowe i promowanie Polski na arenie międzynarodowej. Oczywiście w pełni zasłużenie. W sumie zatem nikt nie powinien się dziwić, że kilka dni wcześniej premier RP potraktował sprawę Lewandowskiego w sposób priorytetowy, podkreślający status piłkarza jako ambasadora polskich spraw. Być może najlepszego w obecnych czasach.

Aż dziw bierze, że w reprezentacji Polski RL9 strzelił zaledwie sześć goli.

Adam Godlewski, Maciej Polkowski

eprasa.pl ace2ed05c6

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Kultura niesforna

Alergia; co myśli się zbiorą, kichnięcie je rozgania, tak to już zawsze wiosna mi się wszczyna. Tytułem usprawiedliwienia o tym wspominam, bo dystrakcja wpływa na formę tekstów: rwaną, wymiętą i porozrzucaną jak chusteczki higieniczne wokół mnie. Nie ma co się wysilać na spojenie, uspójnianie, mógłbym od tego dostać zapalenia spojówek, i tak podrażnionych światłem; płaczę, jak to piszę. Płaczę ze śmiechu, kiedy słyszę o kolejnych zmaganiach państwa kaczystowskiego z ludźmi kultury – czego się ta władza nie tknie, wychodzi jej na opak. Nawet ja, kinofil z zamiłowania i filmoznawca z wykształcenia, nie znalazłbym natchnienia, by obejrzeć etiudy młodych reżyserek w ramach przeglądu „HerStorie", gdyby z ich powodu nie podniósł się w ministerstwie raban zakończony zwolnieniem szefa Narodowego Instytutu Audiowizualnego. Filmiki zgrabne, na poziomie zaliczeniowym, a przy tym całkiem niewinne, jak dłonie pracownic węgierskiej fabryki wibratorów z filmu „Vibrant village", które najprawdopodobniej dotykają tego rekwizytu wyłącznie w ramach czynności zawodowych. Dildo wyjeżdżające z taśmy obsługiwanej przez zupełnie nim niezgorszone gospodynie wiejskie; estetyczne, nieco tylko falliczne, nieepatujące kształtem, ot, przedmiot codziennego użytku, pomieszkujący w damskiej kosmetyczce obok szminki i kremu do twarzy – to jest właśnie skandal w prawackim mentalu.

Nie masz ci dla strażników moralności nic gorszego niż dekonstrukcja występnej otoczki, z tych samych powodów bredzą ciągle o tym, że nie mają nic przeciw gejom, o ile ci się ze swoją orientacją nie „obnoszą" – czytaj: domagają równouprawnienia. Nie żadna masturbacja, ale samogwałt: wstydliwy i pokątny grzech, który obciąża sumienie znerwicowanych ofiar katolickiej ideologii – tylko w ten sposób może funkcjonować w prawackim imaginarium; homoseksualizm takoż ma pozostać w szafie jako choroba, występek przeciw naturze, niechże więc nie próbuje wychynąć z darkroomów i klubów gejowskich, niech go obejmuje porządek wiecznej nocy. Na porządku dziennym zaś tylko to, co pan Bóg przykazał. Funkcjonariusze władzy są coraz bardziej bezradni wobec niesfornej kultury, która im wierzga, wymyka się, harcuje przeciw wszelkim napuszonym doktrynom, zwłaszcza religijnym. Im bardziej kaczyści chcą ją wygumkować, wyciszyć, zdewaluować, tym grubszą czcionką ją piszą, tym głośniej ją nobilitują.

Jeden z wielu pisarzy regularnie pomstujących na pisowską dyktaturę ciemniaków, ani szczególnie nieudolny, ani też wybitnie utalentowany, niepotrzebujący promocji ani dotacji, zadomowiony w branży telewizyjnej, nagle stał się najsłynniejszym polskim literatem na świecie, bo prokuratura wyjęła mu z Fejsbuka posta, w którym nazwał Dudę debilem. Od Hawajów po Sachalin we wszystkich językach świata powtarza się teraz jego nazwisko jako dysydenta, którego autokratyczna władza w Polsce zamierza wtrącić do lochu – nie będzie niczym dziwnym, jeśli jego książki wylądują teraz na półkach wszystkich księgarń świata obok tomów Sołżenicyna i Babla.

Z innej beczki: choćby nie wiem jak Marcin Koszałka się starał, nie byłby w stanie wypromować lepiej swojego filmu o Goralenvolku jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć, niźli uczynił to Prokurator Generalny w utarczce z Ministrantem Dziewictwa Narodowego, podobnie ma się rzecz z planowaną adaptacją „Lubiewa" autorstwa Pawła Maślony. Człowiek właściwie nie musi już zupełnie starać się być *au courant*, wystarczy, że zajrzy raz na tydzień na jakiś kaczystowski portal propagandowy i ma jak w banku, że najważniejsze wydarzenia kulturalne w kraju go nie ominą. Antypolska literatura, kino szkalujące naród, teatr obrażający uczucia religijne, zdeprawowane sztuki plastyczne, piosenkarze wyszydzający władzę – nic nam nie umknie. Sygnaliści reduty dobrego imienia z benedyktyńską cierpliwością śledzą wszelkie wydawnictwa, spektakle i wystawy, wszędzie chodzą na podsłuchy i uprzejmie doniosą o każdej haniebnej inicjatywie. Jeśli tylko nagłówki prawackie krzyczą o „skandalu" i „absurdzie", wiadomo, że jakaś pyszna strawa duchowa się pojawiła; jeśli zaś szukają uwagi epitetami w rodzaju „ważna wystawa", „piękny gest" lub też „mocna wypowiedź", wiadomo, że chodzi o nowy tekst w antologii tromtadractwa lub jeszcze jednego papieża w sadzawce.

Funkcjonariusze władzy są coraz bardziej bezradni wobec niesfornej kultury, która im wierzga, wymyka się, harcuje przeciw napuszonym doktrynom.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ace2ed05c6

DEKALOG, JAK SOBIE RADZIĆ ZE ZMĘCZENIEM PANDEMIĄ

Na przebieg pandemii nie mamy wpływu. Ale możemy mieć wpływ na swoje zdrowie fizyczne i psychiczne

Beata Igielska

Boimy się: o zdrowie swoje i bliskich, utraty pracy i braku środków do życia. Denerwuje nas przedłużająca się izolacja gospodarcza i społeczna, eskalują konflikty w domach. To wszystko nie sprzyja ani zdrowiu psychicznemu, ani fizycznemu. Tymczasem od lat 70. XX w. dzięki raportowi Marca Lalonde'a, kanadyjskiego ministra zdrowia, wiemy, że zdrowie w ponad 55% zależy od naszych wyborów i działań. A zatem do dzieła.

1. Dobre relacje społeczne – najlepiej działają te w realnym świecie. Ale w pandemii mamy z tym kłopot. Natomiast nikt nam nie zabrania przytulania się z najbliższymi. Prof. Zbigniew Izdebski, seksuolog i pedagog, przypominał w PRZEGLĄDZIE, jak ważne są przytulanie się, bliskość, dotyk: „Zapominamy, że przytulanie i bliskość są bardzo ważną formą komunikowania bezpieczeństwa, wsparcia. Bez względu na to, czy panuje covid, czy nie. Michalina Wisłocka powtarzała, że głaskanie, przytulanie daje duże poczucie przyjemności, głębszego szczęścia, bo wytwarzają się endorfiny. W związku z tym przytulanie może dać nam siłę, żeby przetrwać to wszystko. Najważniejsze, żebyśmy mieli w życiu do kogo się przytulać".

Jeśli relacje społeczne są bliskie, dają możliwość bycia kochanym, wygadania się. To może być relacja z siostrą, przyjaciółką, sąsiadką. Relacje, więzi społeczne tworzą niesamowity bufor ochronny. Poszukujmy wsparcia społecznego, rozmów z bliskimi: mamą, partnerem, przyjaciółką, dzieckiem. Skoro nie możemy zmienić sytuacji, szukajmy sensu w tym, co się zdarzyło. Coraz więcej z nas zaczyna inaczej mówić o ekologii, zakupach, wydawaniu pieniędzy. Przewartościowaniu ulegają także nasze relacje wskutek refleksji: jesteśmy śmiertelni, nasi rodzice, dziadkowie są śmiertelni, warto z nimi porozmawiać, spędzić czas, przytulić się.

2. Regularna aktywność fizyczna, sport – to podstawa zdrowia, kondycji i zapewnienia organizmowi prawidłowego rozwoju. Już pół godziny trzy razy w tygodniu przez kilka miesięcy wspomaga leczenie depresji. Bo człowiek musi się ruszać, by prawidłowo funkcjonować. Zwłaszcza w pandemii, gdy niemal wszyscy przytyliśmy, musimy pamiętać, że ruch jest najskuteczniejszą metodą leczenia nadwagi i otyłości, wpływa na poprawę przemiany materii. Najlepszy jest ruch aktywny, taki, żeby organizm wydatkował dodatkową energię. Ruch powinien być umiarkowanie intensywny i długi, żeby wydatkować co najmniej 1-2 tys. kcal tygodniowo. Jeśli jest średnio intensywny, powinien trwać minimum dwie i pół godziny tygodniowo, jeśli bardzo intensywny – godzinę i 15 minut. Specjaliści zalecają, by umiarkowaną aktywność fizyczną uprawiać przez pół godziny dziennie. Można też wykonać 7-10 tys. kroków na dobę.

Sport, ruch na powietrzu zdecydowanie poprawiają jakość naszego życia. Są niezbędnym elementem zarządzania kaloriami i zapobiegają rozwojowi cukrzycy typu 2, bo zwiększają wrażliwości tkanek na działanie insuliny. Regularne ćwiczenia wyrównują glikemię. Kiedy mięśnie pracują, zwiększa się zużycie glukozy i zmniejsza masa ciała. Jednocześnie zwiększa się wydolność układu sercowo-naczyniowego, obniża ciśnienie tętnicze krwi, zwiększa objętość wyrzutowa serca i poprawia się elastyczności naczyń krwionośnych. Tym samym zmniejsza się ryzyko miażdżycy i zapadalność na chorobę niedokrwienną serca. O ok. 20-30%

eprasa.pl ace2ed05c6

zredukowane zostaje ryzyko udaru mózgu. Poprawiają się funkcje poznawcze organizmu, polepszają procesy logicznego myślenia, koncentracja uwagi oraz pamięć.

3. Wyzwania dla mózgu, świadomy rozwój intelektualny – uczenie się języka obcego, prac manualnych albo gry na instrumencie. Choć brzmi to banalnie, nauka może być przyjemnością, fascynującą przygodą. W pandemii dodatkowo zajmie głowę i przestaniemy myśleć uporczywie o problemach.

W przypadku seniorów nieodzowny jest trening pamięci poprzez rozwiązywanie łamigłówek, krzyżówek, szarad. Obecnie zdolność uczenia się przez całe życie jest wymieniana jako jedna z najważniejszych kompetencji przyszłości. Nie ma już zawodów, w których nie trzeba uzupełniać wiedzy. Mamy nieograniczony dostęp do wiedzy online, ale z powodu zalewu informacji najpierw zbudujmy bazę wartościowych źródeł, na bieżąco je weryfikujmy. Uczyć się trzeba umieć, a my, niestety, nie umiemy uczyć się skutecznie. Ważna jest umiejętność selekcji treści i dobrego jej przyswajania. Zostańmy własnymi nauczycielami, zadając sobie np. pytanie, dlaczego uczymy się czegoś. Najlepiej na takie pytania odpowiedzieć pisemnie. Wówczas wiadomości zostają w głowie znacznie dłużej. Można też używać fiszek. Już samo ich przygotowywanie dużo nam daje, bo przetwarzamy treści, o ile nie piszemy dla samego pisania. Gdy karteczki są gotowe, można powtarzać materiał w dowolnym czasie i miejscu.

Ważna jest poza tym umiejętność notowania. Po swojemu, maksymalnie użytecznie, nie oglądając się, czy mój bazgroł spodoba się innym. I co najważniejsze: nic nie zastąpi systematycznej nauki, powtarzania tego, co już wiemy.

4. Ćwiczenia oddechowe – np. metoda Wima Hofa, polegająca na intensywnym oddychaniu oraz hartowaniu ciała poprzez wystawianie go na zimno. Mądre wystawianie, a nie morsowanie na zasadzie mody stworzonej przez celebrytów. Hof zaleca np. zimne prysznice. Pomóc nam mogą również wybrane ćwiczenia jogi, których skuteczność potwierdza medycyna (istnieją asany szkodliwe dla zdrowia, np. uszkadzające kręgosłup). Warto sięgnąć po medytację, ćwiczyć dystansowanie się od myśli, patrzenie na nie, ale nie z ich punktu widzenia. Złapmy się na określonej myśli, np. „Na pewno zarażę się koronawirusem", a następnie użyjmy języka obserwacji – „Właśnie zauważyłem, że mam myśl o zarażeniu się".

Bierzmy relaksujące kąpiele, stosujmy aromaterapię. No i koniecznie wietrzmy mieszkanie. Dzięki temu lepiej oddychamy oraz śpimy. Świeże powietrze jest niezbędne do pracy i nauki, ponieważ dotlenia mózg. A co najważniejsze, relaksujmy się i odpoczywajmy po swojemu, róbmy to, co sprawia nam przyjemność.

5. Zbilansowana, zdrowa dieta – przede wszystkim ograniczenie cukru i włączanie świeżego jedzenia. WHO zaleca siedem, osiem porcji dziennie z przeważającą ilością warzyw. Porcja to ilość mieszcząca się w dłoni: pół banana, mały pomidor. Należy pić wodę, zrezygnować z napojów słodzonych. Tłuszcz brzuszny prowadzi nie tylko do cukrzycy typu 2, ale i do stanów zapalnych, a te do degeneracji tkanki mózgowej. Co ciekawe, mapy pokazujące poziom otyłości na świecie i poziom zachorowalności na raka piersi pokrywają się. Na funkcjonowanie mózgu ma wpływ nasza mikrobiota jelitowa. To, co się znajduje w jelitach, wpływa na emocje, ma związek z rozwojem choroby Alzheimera czy Parkinsona.

„Siedzę i jem, pocieszam się jedzeniem", słyszymy od znajomych. Jedzenie to najbardziej akceptowalny społecznie narkotyk. Wzrosło spożycie alkoholu i palenie papierosów. Rzuciliśmy się na używki i przyjemności, bo są łatwo dostępne. Tymczasem otyli są kilkakrotnie bardziej zagrożeni covidem, cukrzyca zaś sprawia, że ludzie są bardziej podatni na zachorowanie i na cięższy przebieg choroby.

6. Dostateczna ilość snu – bo człowiek jest zaprogramowany tak, by w obliczu niebezpieczeństwa czuwać. „Covidowa bezsenność" dopada więc coraz więcej osób. Aż u co czwartego Polaka (25,1%) problemy ze snem zaczęły się w ciągu ostatniego roku. Częściej bezsenność dręczy kobiety (co czwartą i co piątego mężczyznę). U 35,6% osób mających problemy ze snem rozpoczęły się one wcześniej niż rok temu i trwają w najlepsze. Łącznie aż 64,2% badanych ma problemy ze snem. Nowe zjawisko medyczne zaczyna się nazywać koronasomnią (połączenie dwóch wyrazów: koronawirus i insomnia, czyli bezsenność). To samonapędzający się mechanizm: martwimy się z powodu konsekwencji niewyspania, zaczynamy bać się nocy, mamy negatywne skojarzenia związane ze snem.

Co więc zrobić, żeby spać? Oto rady dr n. med. Małgorzaty Fornal-Pawłowskiej, pionierki i popularyzatorki poznawczo-behawioralnej terapii bezsenności w Polsce, i dr. n. med. Michała Skalskiego, psychiatry z Poradni Leczenia Zaburzeń Snu, kierownika Ośrodka Leczenia Specjalistycznego w Szpitalu Nowowiejskim: ogranicz hałas i światło, zadbaj o odpowiednią temperaturę w sypialni, bo lepiej śpi się, gdy jest chłodniej. Ważne jest wygodne łóżko. Ogranicz spożycie kofeiny, alkoholu i nikotyny. Kontroluj drzemki w ciągu dnia. Zdrowo się odżywiaj i zadbaj o aktywność fizyczną. Nie odsypiaj gorszej nocy – śpiąc do późna, w ciągu dnia, czy kładąc się spać znacznie wcześniej niż zwykle. Postaraj się utrzymać dotychczasowy rytm dnia i nocy. Oceń, co mogło wpłynąć na gorszą noc, być może to ważny komunikat, że dzieje się w twoim życiu coś ważnego lub trudnego. Zadbaj o przyjemności i wieczorny relaks. Nie kładź się spać, jeśli nie czujesz się śpiący/śpiąca. Ogranicz czas spędzany w łóżku. Używaj łóżka tylko do spania (nie czytaj, nie oglądaj telewizji w łóżku). Od jakości snu zależy odporność, funkcjonowanie układu immunologicznego.

7. Stworzenie planu dnia, rutyny – ważne jest wprowadzenie godzin pracy/obowiązków/nauki, czasu na odpoczynek, relaks i kontakt z najbliższymi oraz zachowanie pozostałych relacji społecznych. Dzięki rutynie będziesz funkcjonować sprawnie i systematycznie. Ustal porę pobudki i kładzenia się spać. W trakcie pracy zdalnej wstań rano jak do biura. Gdy

Najważniejsze, żebyśmy mieli w życiu do kogo się przytulać.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ace2ed05c6

praca zdalna się kończy, zamykamy komputer i wychodzimy na spacer, nawet jak jest zimno. Ważne, żeby symbolicznie zamknąć dzień pracy. Nie możemy pozwolić, żeby nasz mózg przyzwyczaił się do funkcjonowania w czterech ścianach.

8. Zaakceptowanie trudnych emocji – danie sobie prawa do odczuwania: lęku, frustracji, niepewności, smutku, złości. To normalna reakcja na pandemię, gdy nie wiemy, co stanie się jutro. Ale nie wyolbrzymiajmy tych emocji i nie nakręcajmy się nimi. Nie czujmy się źle, że je odczuwamy. Potraktujmy siebie z wyrozumiałością i samowspółczuciem.

9. Bez poszukiwania otuchy u innych – nie pytajmy ich w kółko, czy wszystko będzie dobrze, bo to działa przez chwilę, w dłuższej perspektywie pogarsza nasz stan psychiczny i nie uczy tolerowania niepewności, a co za tym idzie, radzenia sobie z niepokojem. Nie starajmy się tłumić myśli o koronawirusie, bo po pewnym czasie odczujemy, jak nas dopadają, przygniatają i nie chcą opuścić. Wyznaczmy sobie pół godziny na myślenie o konsekwencjach pandemii, po czym postarajmy się odwrócić uwagę, robiąc dla siebie coś przyjemnego bądź wartościowego.

10. Zamartwianie się produktywne – tak, by odróżnić sprawy, na które mamy wpływ, od tych, na które wpływu nie mamy. Spróbujmy znaleźć rozwiązanie dręczącego problemu i zaakceptujmy, że może nie być idealne. Zaakceptujmy fakt, że żyjemy w czasach pandemii. To pozwoli postrzegać rzeczy takimi, jakimi są. Jeśli mamy na coś wpływ, zróbmy to. Podjęcie działań pomaga radzić sobie z lękiem i pozytywnie wpływa na poczucie własnej skuteczności. Jeżeli nie mamy na coś wpływu, nie pomoże ciągłe myślenie o tym. Jeśli mimo stosowania metod radzenia sobie w trudnych sytuacjach doświadczamy przez dłuższy czas obniżonego nastroju objawiającego się: bezsilnością, przygnębieniem, poczuciem winy, rozdrażnieniem i złością, smutkiem, poczuciem wyczerpania oraz dolegliwościami somatycznymi (cielesnymi), zgłośmy się po profesjonalne wsparcie.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzyglad.pl

Łowiectwo – zabójczy biznes

Polowania nie mają żadnego pozytywnego wpływu na populację ptaków, środowisko, gospodarkę i zdrowie

Rozmawia Paula Leśniewska

Na liście zwierząt łownych znajduje się 13 gatunków ptaków. Wiadomo, które najczęściej padają ofiarą myśliwych?

– Tak, takie statystyki prowadzą zarządcy obwodów łowieckich PZŁ. Według danych z sezonu łowieckiego 2018/2019 najczęściej zabijane były kaczki krzyżówki, bażanty i grzywacze. Dopiero dwa sezony temu, za sprawą różnych organizacji pozarządowych, w tym koalicji Niech Żyją!, myśliwi nareszcie zaczęli uwzględniać w statystykach poszczególne gatunki ptaków, na które polują. Wcześniej niektóre grupy określali zbiorczo, np. jako dzikie kaczki. To absurdalne, bo wśród nich są gatunki zagrożone wyginięciem: cyranka, głowienka czy czernica. Musimy znać dokładne liczby.

Zaskakująco często dowiadujemy się o pomyłkach myśliwych. Dlaczego zabijają chronione gatunki ptaków?

– Myśliwy na polowaniu ma kilka sekund na podjęcie decyzji o strzale. W tak krótkim czasie nie da się przeprowadzić dokładnej analizy ornitologicznej. Przykładowo cyraneczka i krzyżówka, gatunki łowne, są bardzo podobne do cyranki i krakwy, które są ściśle chronione. Musimy sobie uzmysłowić, że myśliwi często strzelają do ptaków w powietrzu i z dużej odległości, o poranku albo wieczorami, kiedy widoczność nie jest najlepsza. Dlatego co chwilę mamy doniesienia o zabiciu chronionych ptaków. Statystyki prowadzone przez zarządców obwodów łowieckich PZŁ nie obejmują przypadków zabicia gatunków chronionych na polowaniach. A teoretycznie każdy taki incydent powinien być raportowany do regionalnych dyrekcji ochrony środowiska, które pod koniec każdego roku szykują zbiorcze zestawienia. Nikt nie chce się przyznawać, że zabił gatunek chroniony. A ostatnio coraz trudniej patrzyć myśliwym na ręce.

Dlaczego?

– Niedawno wprowadzono obostrzenia, które karzą za „zakłócanie" polowań, czyli po prostu postronne obserwowanie. Jednym z niewielu miejsc, gdzie udaje się monitorować polowania, są Stawy Zatorskie, prawdziwa ostoja ptaków wodno-błotnych w południowej Polsce. Od kilku lat naukowcy związani z Uniwersytetem Rolniczym w Krakowie badają sytuację i regularnie donoszą, że duża część postrzelonych ptaków znajdowanych w okresie polowań na stawach to gatunki chronione. Ale cierpią nie tylko one. Śrut z broni myśliwych stanowi poważne zagrożenie dla całego ekosystemu.

Ma pan na myśli zatrucie zwierząt i środowiska ołowiem?

– Tak. Mam wrażenie, że żyjemy w świecie dwóch prędkości, jeżeli chodzi o podejście do ołowiu. Stosujemy bezołowiowe farby i benzynę, natomiast ciągle dopuszczamy ołów w postaci śrutu strzeleckiego. Oszacowano, że polscy myśliwi wprowadzają do środowiska nawet 640 ton ołowiu rocznie, o wiele więcej niż cały polski przemysł i transport! Ołów nie ulega rozkładowi. Kumuluje się w glebie i w wodzie, a co za tym idzie, w organizmach żywych. Wiele gatunków ptaków ma w zwyczaju połykać drobne kamyczki w celu wspomożenia układu trawiennego. Służą

67% Polaków jest za całkowitym zaprzestaniem polowań na ptaki.

eprasa.pl ace2ed05c6

ADAM ZBYRYT
– biolog i ornitolog z Uniwersytetu w Białymstoku, członek zarządu Polskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków i koalicji Niech Żyją!

do rozcierania twardego pokarmu w ich żołądkach. Niestety, ptaki często mylą drobiny śrutu ze zwykłymi kamyczkami, a w konsekwencji ulegają zatruciu ołowiem, co prowadzi do śmierci. Najczęściej dochodzi do tego u ptaków wodnych i drapieżnych, np. bielików, bo są na szczycie piramidy pokarmowej. Po przekroczeniu pewnego stężenia ołowiu w ciele zwierzęta zaczynają mieć problemy z układem nerwowym. Ptaki dotknięte ołowicą wykazują dziwne zachowania, miewają wykręconą szyję i problemy z koordynacją ruchową. Myśliwi podnoszą argument, że polują dla zdrowego jedzenia. Tymczasem większość badań właśnie ze Stawów Zatorskich wskazuje, że ptaki, do których się strzela, mają znacząco przekroczone dopuszczalne normy stężenia ołowiu w organizmie.

Jakie inne argumenty za polowaniami przytaczają myśliwi?

– Mówią o potrzebie regulowania populacji ptaków, co w ogóle nie jest konieczne, bo większość ma naprawdę dużo naturalnych wrogów. Niektóre ptaki łowne to gatunki wędrowne. Nie możemy ich nawet dokładnie policzyć, a mamy do nich strzelać? 30 lat temu na liście łowieckiej był drop. Myśliwi tak skutecznie skontrolowali jego populację, że drop w Polsce wyginął. Teraz w złej sytuacji są np. głowienka, łyska, czernica i kuropatwa. Nawet niektórzy myśliwi przyznają, że te gatunki powinny być usunięte z listy zwierząt łownych. Często, kiedy podnosimy kwestię wprowadzenia zakazu polowań na ptaki, pojawia się argument szkód, które wyrządzają dzikie ptaki. Szczególnie gęsi i grzywacze oskarża się o niszczenie upraw. Okazuje się, że w większości badań naukowcy dopatrzyli się pozytywnego wpływu obecności gęsi na polach uprawnych. Zgryzanie traw powodowało ich rozkrzewianie, a pozostawione odchody użyźniały glebę. W konsekwencji uprawy były większe niż tam, gdzie gęsi się nie pojawiły. W niewielu przypadkach ten efekt był neutralny, a w niewielkim procencie zanotowano nieduży spadek wydajności upraw.

Myśliwi mówią, że polują, bo lubią kontakt z przyrodą i kultywują tradycje łowieckie.

– Problem w tym, że nasi przodkowie, którzy rzeczywiście musieli polować, nie mieli tak skutecznego sprzętu jak myśliwi teraz. Jako społeczeństwo musimy od pewnych zwyczajów odchodzić, żeby dostosować się do świata, który nas otacza. Planeta nie utrzyma ciężaru naszych przyzwyczajeń. Wielu ludzi to rozumie – 67% Polaków jest za całkowitym zaprzestaniem polowań na ptaki. Niestety, myśliwi działają ponad układami. Nieważne jaka partia rządzi. A przy okazji koła łowieckie zarabiają spore pieniądze.

Na czym?

– Sprzedają polowania dewizowe myśliwym z zagranicy, często z Niemiec, Włoch i Szwecji. Sprzedaż polowań to główny powód, dla którego myśliwi nie chcą zrezygnować ze swojego zajęcia. To bardzo dochodowy biznes. Najbogatsze są koła łowieckie, które dzierżawią obwody ze stawami rybnymi. Tam jest najwięcej ptaków. Poza tym pewne gatunki hoduje się specjalnie na odstrzał, np. bażanty i kuropatwy. Są sprzedawane kołom łowieckim i wypuszczane do łowisk niby w celu zasilenia populacji. Jednak wiadomo, że kuropatwy wychowane w niewoli nie są w stanie przetrwać na wolności. Badania pokazują, że w ciągu kilku czy kilkunastu dni większość ginie, a właściwie żadne nie przystępują do rozrodu. Z bażantami dzieje się to samo.

Dlaczego warto chronić ptaki?

– Są niezwykle interesujące. Od wielu lat zgłębiam ich życie. Badania pokazują, że śpiew ptaków poprawia samopoczucie i dobrze wpływa na układ nerwowy. Ale te stworzenia skrywają jeszcze wiele tajemnic. I tak naprawdę niewiele się różnią od ludzi. Dzięki badaniom wybitnego ornitologa Konrada Lorenza od ponad 50 lat wiemy, jak skomplikowane życie rodzinne mają gęsi. Wiążą się na całe życie tylko z jednym partnerem. Wiadomo, że ptaki mają osobowość i nawiązują niezwykle złożone relacje z członkami stada, sąsiadami i partnerami. Nieobecność jednego osobnika może rzutować na ptasią społeczność bardziej, niż przypuszczamy. Wielokrotnie obserwowałem myśliwych w trakcie polowań. Widziałem, jak giną ptaki, które kilka dni wcześniej obserwowałem jako obiekt fascynacji. Polowania nie mają żadnego pozytywnego wpływu na populację ptaków, środowisko, gospodarkę i zdrowie. Zabierają nam też okazję do zrozumienia mechanizmów świata zwierząt. Dlatego Niech Żyją! ■

Oszacowano, że polscy myśliwi wprowadzają do środowiska nawet 640 ton ołowiu rocznie, o wiele więcej niż cały polski przemysł i transport.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl ace2ed05c6

Drzewo czarownic. Dąb ostrolistny z Leciny, Hiszpania.

Platan z Curingi, Włochy.

EUROPEJSKIE DRZEWO ROKU 2021

Są życiem, bo dają tlen, i świadkami historii. Zasadzenie drzewa często wiąże się z ważnym zdarzeniem. Docenieniem ich roli i piękna jest rozstrzygnięty niedawno konkurs na Europejskie Drzewo Roku 2021. Zgłoszono do niego zwycięzców z poszczególnych państw. Każde z tych drzew ma własną niezwykłą historię.

Wygrało Drzewo czarownic, tysiącletni dąb ostrolistny z Leciny w Hiszpanii. Według legendy tańczyły wokół niego czarownice, które zamieszkiwały góry Guara. Drugie miejsce zdobył platan rosnący w Curindze w Kalabrii – z widokiem na Morze Tyrreńskie. Uważa się, że został zasadzony przez bazylianów, którzy przybyli tu ponad tysiąc lat temu, lecz może być nawet

345-letnie Drzewo Matka, lipa szerokolistna rosnąca na rynku w Etten-Leur w Holandii. Podobno była inspiracją dla Vincenta van Gogha.

70-letnia jabłoń z ogrodu pubu U Lidmanů w Machovskiej Lhocie, Czechy.

eprasa.pl ace2ed05c6

Lipa św. Jana Nepomucena z Dulczy Wielkiej, Polska.

starszy. Doceniono także polskie drzewo. Lipa św. Jana Nepomucena zdobyła piąte miejsce. Dawnym polskim zwyczajem, gdy na świat przyszła córka, sadzono lipę. Tak było 170 lat temu z lipą z Dulczy Wielkiej. Więcej o zwycięskich drzewach można przeczytać na www.treeoftheyear.org.

(KK)

FOT. AYUNTAMIENTO DE LECINA; ÁRBOL DEL AÑO, ANTONIOBRETTI, PAP/DAREK DELMANOWICZ, EGON ZITTER, MAREK OLBRZYMEK, TAMÁS KOVÁCS

Judaszowiec południowy na Wzgórzu Kościelnym we wsi Mélykút, Węgry. Został zasadzony w 1750 r. przez franciszkanów z Suboticy.

eprasa.pl ace2ed05c6

JOLKA

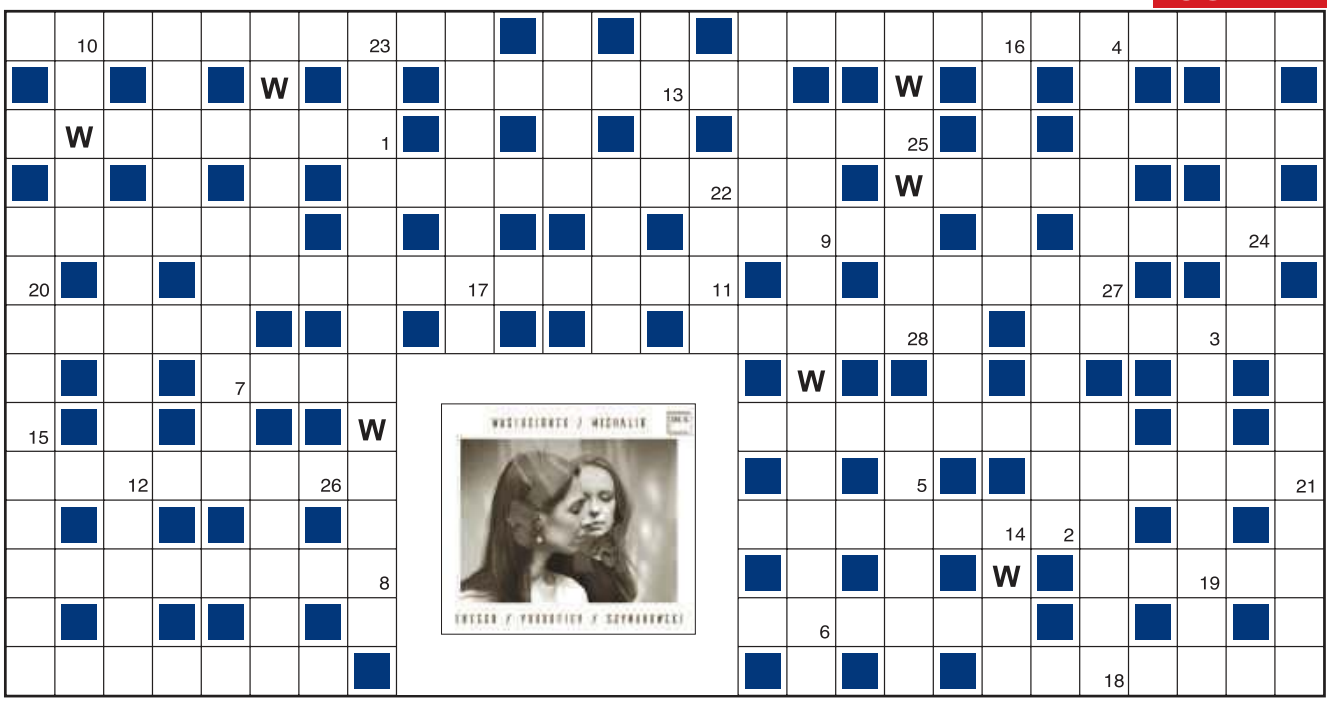

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą końcowe hasło.

- nieukończona powieść Kafki
- i radiowy lub telefoniczny, i dowodowy lub pojęciowy
- mieszkanie z wyższej półki
- nakaźny – od 1723 r. mianowany przez cara
- „Nowe…" ks. Benedykta Chmielowskiego
- dawniej o niewierzącym
- robić je komuś to być szczególnie uprzejmym
- i coś pięknego, i dziwoląg
- film z Mają Komorowską w roli Idalii
- pies nagradzany na wielu pokazach
- jego polskim rodzajem był teksas
- danych w formacie, który może odczytać inny program, lub towarów
- można pracować na jego część
- śpiewany na baczność
- ze śmiercią lub z czyimś sercem
- bieługi – na czarny kawior
- różnicowy, reakcji albo inteligencji
- młode zawodniczki lub rodzaj obuwia
- osłanianie kogoś przed odpowiedzialnością
- punkt usługowy z kopiarką
- akademicki lub WC Cejrowskiego
- „The…" – naukowe czasopismo medyczne
- używany do klejenia papy
- kwadratowa kluska z cienko rozwałkowanego ciasta
- Belka albo Borowski w polityce
- płynny lek z kilku składników
- sędziowska – kierowanie się wyłącznie prawem
- spacja lub interlinia
- wznoszone radosne, bojowe
- samica kłapoucha
- zaliczano do nich widłaki, skrzypy
- rusałka… – u nas pospolity motyl
- gęsim pisano
- rozpłodnik w gospodarstwie
- nad nim Awinion i Arles
- godzi zwaśnione strony
- …pokoju – ma wesprzeć wymiar sprawiedliwości
- niejeden zginął w masakrze nad Wounded Knee
- kreskówkowy Pepé Le Swąd
- cukierki, czekolada itp.
- ruina, zniszczenie, zdewastowanie
- i beztroska zabawa, i nieposłuszeństwo
- pchła z rymowanej bajki Brzechwy
- „Co powie…?", śpiewała Natalka Kukulska
- wystrzeliwana z okrętu podwodnego
- opiekunka sportsmenki
- smyczkowe na skrzypce, altówkę i wiolonczelę
- wprowadzone przez racjonalizatora
- horodelska z 1413 r.
- „…w operze" Gastona Leroux
- gałązka wierzbowa
- dźwignia uniemożliwiająca ruch wsteczny mechanizmu

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1006". Do rozlosowania płyty „Wasiucionek/Michalik. Enescu/Prokofiev/Szymanowski" ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 5 kwietnia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1003" z nr. 11: *Diabeł mieszka w ludziach.*
Nagrody otrzymują: Juliusz Kidawa z Połańca, Henryk Sieklucki z Unieszewa, Jerzy Swoboda z Zelowa.

eprasa.pl ace2ed05c6

KRZYŻÓWKA Z ZAJĄCEM

W diagramie ujawniono tylko część numerów i zaciemnionych pól – rozmieszczenie pozostałych należy ustalić samemu.

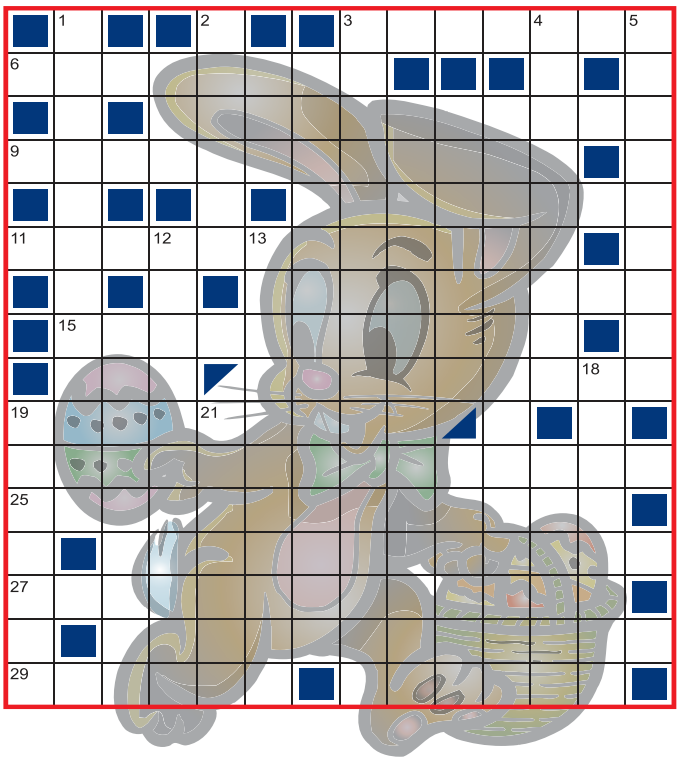

Poziomo:

3) Halka z opery Moniuszki
6) wysyła, przewozi i dostarcza towary
7) i sowa, i ciepła czapka
9) piłkarz Krychowiak, ekonomista Kołodko
10) dziurka
11) o nocach w tym mieście wakacyjny przebój
14) drzewo z sielanki Karpińskiego
15) utopista, marzyciel
16) maszyna zwana też ekshaustorem
19) mąż Julii Przyłębskiej w Berlinie
24) nabywcą w niej ten, kto oferuje najwyższą cenę
25) …Radziwiłłówna
26) na wodę dla żołnierza
27) obszar płaski lub lekko falisty
28) świekra
29) kij lub walcowate ciasto

Pionowo:

1) bierna ugodowość, konformizm
2) śmigus…
3) ruiny, rumowisko
4) napisanie rżący zamiast żrący
5) igława
8) zamaszysty przy podpisie
12) porządnie zmoczy
13) z czterema damami
17) podsmażanie cebuli
18) przeciwieństwo cywila
19) kłopot u Boya-Żeleńskiego
20) prawdziwek
21) „Kamienie na…" Aleksandra Kamińskiego
22) sztuka lub nieszczęście
23) tryskanie zdrowiem i energią, ochoczość

SUDOKU Z JAJECZKIEM

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 8 różnych cyfr od 1 do 8 i jajeczko.

5					8			
				2				
						4		1
					7	2		5
	8	4				7		3
		5					1	
	4		7			1		
3								8
		8		6	2	5	4	

		1	6					7
4				7		8		
		6				4		
				6	3		7	
			4				8	
	5				8			
		7					3	
5						2		4
	2	4			5		6	

		1			7		6	
7				5				8
			1			5		7
1		4			3			
							3	
								4
			8	4		3	5	
		8	6				2	
	2	6						

		1						
8			5	2		1		
		5			7			2
				4	5			8
	5		1			4		
	7		8					
		4			6	3		
	6				4		2	

PISANKI

Wyraz na każdej pisance jest fragmentem innego, złożonego z 8 liter, widocznego tylko w połowie. Odgadnij wszystkie wyrazy.

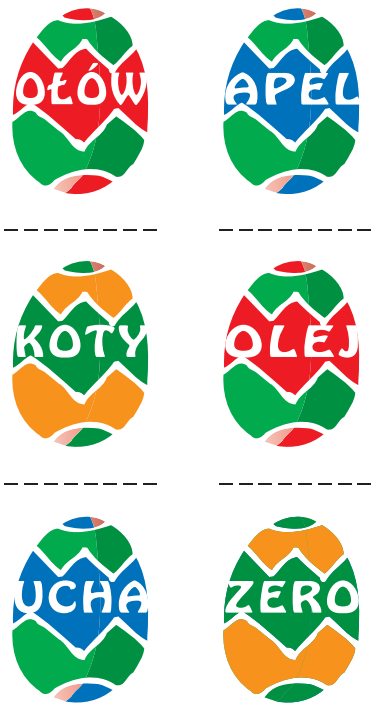

Rozwiązania na s. 64

eprasa.pl ace2ed05c6

Czeski łącznik

Od roku przynajmniej, a pewnie i dłużej, mówi się w MSZ, że Andrzej Papierz, obecny dyrektor generalny, wymyślił sobie stanowisko ambasadora RP w Pradze jako odpoczynek po latach burzliwej kariery. Albo Budapeszt.

W MSZ obie placówki są cenione. Z kilku powodów. Po pierwsze, to przyjazne do zamieszkania miasta. Oferujące, co w przypadku Papierza ma sporą wartość, miłe knajpeczki i inne atrakcje. Po drugie, leżą blisko, więc łatwo przyjechać do Polski, choćby na weekend, załatwiać swoje sprawy. Po trzecie, nie czarujmy się, nie wymagają wielkiego zaangażowania, toteż pracy jest tam niewiele.

A wady? Wadą mogą być ludzie. Ci już pracujący w ambasadzie, bo mogą wejść w konflikt z szefem placówki, a sprawa Barbary Ćwioro, niedawnej ambasador, dowodzi, że może on mieć epilog nawet w sądzie. Równie istotni są ci, którzy w centrali nadzorują i oceniają placówkę. Oni też mogą ambasadorowi życie obrzydzić albo wręcz – co wiele razy miało miejsce – doprowadzić do jego nagłego odwołania.

Oto życie polskiego ambasadora – zanim wyjedzie, musi sobie ułożyć sprawy i w centrali, i na placówce.

Dlatego, jeśli chodzi o Papierza, sytuacja jest dość jasna. Co do ułożenia spraw w centrali – to sobie załatwi, więc ma gwarancję ambasadorowania, ale tylko w czasach PiS. Bo trudno przypuszczać, by w przypadku zmiany władzy jego układy z ludźmi PO (a bardzo o nie dba) wystarczyły, aby uniknął dymisji i natychmiastowego powrotu.

A placówka? Zerknijmy – na portalu Gov.pl, na stronie prezentującej ambasadę RP w Pradze, jako szefowa wciąż widnieje Barbara Ćwioro. Gratulujemy prowadzącym stronę! Natomiast jeśli chodzi o stronę MSZ, to tam w punkcie „ambasador RP w Czechach" jest puste miejsce. Za to poniżej możemy wyczytać, że najwyższym rangą dyplomatą jest Antoni Wręga, I radca, zastępca ambasadora.

O! Znamy pana Antoniego! Pisaliśmy już o nim w roku 2017. Że to człowiek Macierewicza. A także działacz antypeerelowskiej opozycji, internowany w stanie wojennym, w latach 1983-1991 mieszkający w USA. Po powrocie wylądował w MSZ, gdzie zajmował drugoplanowe stanowiska. Pisząc przy tym książki, np. o związkach wywiadu PRL z zamachem na Kennedy'ego. Natomiast już w czasach „dobrej zmiany" zdążył zainkasować 20 tys. zł od MON za doradztwo w przygotowaniu szczytu NATO. No i przede wszystkim został wiceszefem Biura Spraw Osobowych. Czyli dostał w swoje ręce teczki personalne ludzi MSZ i wpływ na politykę kadrową.

A kto wówczas był jego bezpośrednim przełożonym? Otóż szefową Biura Spraw Osobowych była Izabella Wołłejko-Chwastowicz. Ona z kolei przyszła do MSZ za pierwszego PiS, w roku 2006, gdy szefem kadr (wtedy Biura Kadr i Szkolenia) był… Andrzej Papierz. I została jego zastępcą.

Gdy władzę przejęła PO, krzywda jej nie spotkała, bo pojechała na stanowisko radcy do Pragi. Skąd wróciła do centrali, by objąć stanowisko wicedyrektora Departamentu Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej. Potem (2017-2018) szefowała kadrom, a następnie (czemu nas to nie dziwi?) została dyrektorem Inspektoratu Służby Zagranicznej.

A gdzie jest dziś? Otóż na stanowisku… konsula generalnego w Ostrawie. Nie przesądzając zatem, czy Andrzej Papierz pojedzie do Czech, czy nie, możemy stwierdzić jedno – jego znajomi już tam są.

Attaché

200 lat niepodległości Grecji. Członkowie Gwardii Prezydenckiej na Akropolu po ceremonii podniesienia flagi, 25 marca.

FOT. PETROS GIANNAKOURIS/POOL/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ace2ed05c6

PENETRACJE

STEFAN ZGLICZYŃSKI, DYREKTOR PUBLIKACJI

Nagle okazało się, że wszyscy jesteśmy chłopami i z chłopów się wywodzimy. Najtęższe głowy polskiej nauki, wybitni reżyserzy/rki, pisarze/rki i publicyści/stki, przyznały to wszem i wobec. Ba, tak jak w PRL i do niedawna w III RP obciachem było pochodzić ze wsi, tak teraz jest to całkiem *cool* i *trendy*, zaś dowodem złego smaku i *out of time* jest afiszowanie się z sygnetami herbowymi i spisami rodzinnych majątków.

JAN ENGLERT, DYREKTOR TEATRU NARODOWEGO

Jest anegdota o rabinie, po którego przyszła śmierć i puka do drzwi, a on mówi: „Zaraz, jestem zajęty". „Dobrze, to przyjdę później". Rozumiem go. Ja chcę umrzeć zdrowy, bez męki. Pyk – i do widzenia. Piękne. Byle jeszcze nie dzisiaj. Żeby to życie jeszcze potrwało. Ale trwanie ma sens wtedy, kiedy życie nie jest wegetacją. Gdy człowiek rzeczywiście ma coś do zrobienia. Nie, że tylko utrzymuje się na tratwie, ale że nadal żegluje. Dlatego wciąż próbuję utrzymać mój okręt na kursie.

MACIEJ PETRUCZENKO, DZIENNIKARZ SPORTOWY

Ewa Kłobukowska jest najbardziej skrzywdzoną osobą w historii sportu, choć uznano ostatecznie, że stosowanie wobec niej kryterium orzekania o płci było błędne. Jednak na arenie międzynarodowej nigdy nie została zrehabilitowana, wykreślono jej rekordy świata. Na początku lat 90. z pomocą nieżyjącego już dziennikarza Wojtka Zielińskiego udało się nam zorganizować jej rehabilitację na forum krajowym. Na balu z okazji 75-lecia polskiej lekkoatletyki. Władysław Komar odczytał wtedy tekst rehabilitacyjny, który napisałem.

ALICJA MAJEWSKA, PIOSENKARKA

W piosenkach są poruszane w kółko te same tematy, dotyczące życia, uczuć, rozstań, samotności, tylko jest to pisane z różnym talentem. Moje piosenkarskie *credo* to utwór napisany przez Wojciecha Młynarskiego „Piosenki, z których się żyje". To takie *credo* piosenkarza, co to się tuła od widowni do widowni, od sceny do sceny, od hotelu do hotelu: „I są piosenki, z których się żyje, / siostry serdeczne, żony niczyje. / W walizce noszą sposób na życie / i okulary ciemne o świcie".

Powiedz aaa i daj się zbadać. Prototyp robota, który ma pomóc lekarzom z prywatnego szpitala w pobieraniu wymazów od pacjentów podejrzanych o zakażenie COVID-19. Tanta w delcie Nilu, Egipt, 20 marca.

FOT. KHALED DESOUKI/AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

MAJA POPIELARSKA O WYCHOWYWANIU SYNÓW
Jestem konsekwentna, ale i czujna, i czuła.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA O BANKACH
Powiedzmy jasno: banki łamały prawo przy zawieraniu umów o kredyty we frankach.

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI O DANIELU OBAJTKU
Nawet w kraju pisowskim zaszło to za daleko. To koniec jego kariery.

ARKADIUSZ JAKUBIK O FILMIE „KLER"
Po dwóch latach ogarnia mnie pusty śmiech, bo nic się w polskim Kościele nie zmieniło.

MAJA KOMOROWSKA O ROLI KOŚCIOŁA
Nigdy nie sprawdzał się sojusz tronu z ołtarzem. Dziś widać to wyjątkowo wyraźnie.

EMILIA KRAKOWSKA O ZWIĄZKACH
Wszędzie w związkach ludzi jest interes, biznes. Ale nie wszystko musi się kończyć w pościeli.

MAGDA MOŁEK O PROGRAMIE NA YOUTUBIE
Pierwszy raz w życiu zrobiłam to, co chciałam i jak chciałam, na nikogo się nie oglądając.

KAROLINA SZOSTAK O TINDERZE
U przyjaciółki zobaczyłam na Tinderze paru znajomych mężczyzn, których z różnych powodów nie podejrzewałam o korzystanie z tej aplikacji.

ARTUR ANDRUS O TAŃCU
Natura jest przewrotna, teraz, jak nie można zatańczyć, tobym potańczył.

AGATA KULESZA O ŻYCIU PO ROZWODZIE
Żyję trochę jak studentka. Wracam do domu, po którym nikt nie tupie, i dobrze mi z tym.

KATARZYNA GROCHOLA O STANISŁAWIE BARTOSIKU
Zanim dotarło do mnie, że jesteśmy kompletnie inni, minęło trochę czasu. Ale ta inność jest wartością naszego związku.

eprasa.pl ace2ed05c6

MEMY BEZ ŚCIEMY

Szczecin ma jaja. Pisanki wykonane przez tamtejsze organizacje i instytucje miały być prezentowane na tradycyjnym wielkanocnym jarmarku, ale z powodu pandemii został on odwołany. Aleja Kwiatowa, 22 marca.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Czerwony jak… dżem

Do grona producentów dżemu dość nieoczekiwanie dołączył zespół Dżem. Legenda polskiego bluesa kusi melomanów smakami: agrestowym, truskawkowym, malinowym i porzeczkowym. „Teraz sami możecie skosztować, ile Dżemu jest w dżemie – a może ile dżemu jest w Dżemie? Gorąco polecamy!”, zachwala grupa. Ekologiczne przetwory owocowe można nabyć na oficjalnej stronie muzyków, o łatwym do zapamiętania adresie dzem.com.pl.

Już za rok matura (z YouTube’a)

I Prywatne Liceum Ogólnokształcące w Słupsku zrezygnowało z prowadzenia klasy dziennikarskiej i postawiło na kształcenie przyszłych youtuberów. „Chcesz założyć własną markę lub kanał w mediach społecznościowych? A może wiążesz swoją przyszłość z szeroko pojętym marketingiem? Klasa Vlogerska jest dla Ciebie! Podczas 4-letniej edukacji pomożemy Ci stworzyć markę/wizerunek, zbudować własną identyfikację wizualną, pozyskać wartościowych fanów oraz nauczymy, jak radzić sobie z hejtem i sukcesem!”, kusi szkoła. Bo przecież czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie ogarniał w sieci.

KRZYŻÓWKA Z ZAJĄCEM

■	O	■	■	D	■	■	G	Ó	R	A	L	K	A
S	P	E	D	Y	T	O	R	■	■	■	I	■	R
■	O	■	■	N	■	■	U	S	Z	A	T	K	A
G	R	Z	E	G	O	R	Z	■	A	■	E	■	U
■	T	■	■	U	■	■	O	T	W	O	R	E	K
A	U	G	U	S	T	Ó	W	■	I	■	Ó	■	A
■	N	■	L	■	A	■	I	■	J	A	W	O	R
■	I	D	E	A	L	I	S	T	A	■	K	■	I
■	Z	■	W	■	I	■	K	■	S	S	A	W	A
A	M	B	A	S	A	D	O	R	■	Z	■	O	■
M	■	O	■	Z	■	R	■	A	U	K	C	J	A
B	A	R	B	A	R	A	■	Ż	■	L	■	S	■
A	■	O	■	N	■	M	A	N	I	E	R	K	A
R	Ó	W	N	I	N	A	■	O	■	N	■	O	■
A	■	I	■	E	■	T	E	Ś	C	I	O	W	A
S	Ę	K	A	C	Z	■	■	Ć	■	E	■	Y	■

SUDOKU Z JAJECZKIEM

5	6	1	4	7	8	3		2
4		3	5	2	1	8	7	6
8	7	2	6		3	4	5	1
6	3		1	4	7	2	8	5
1	8	4	2	5		7	6	3
7	2	5	8	3	6		1	4
2	4	6	7	8	5	1	3	
3	5	7		1	4	6	2	8
	1	8	3	6	2	5	4	7

2		1	6	8	4	3	5	7
4	3	5		7	1	8	2	6
8	7	6	3	5	2	4		1
1	4	8	5	6	3		7	2
	6	3	4	2	7	1	8	5
7	5	2	1		8	6	4	3
6	1	7	2	4		5	3	8
5	8		7	3	6	2	1	4
3	2	4	8	1	5	7	6	

4	5	1		8	7	2	6	3
7	6	2	3	5	4	1		8
8		3	1	2	6	5	4	7
1	8	4	2	6	3		7	5
6	7	5	4		1	8	3	2
2	3		5	7	8	6	1	4
	1	7	8	4	2	3	5	6
3	4	8	6	1	5	7	2	
5	2	6	7	3		4	8	1

3	2	1	4	6	8	7		5
8		7	5	2	3	1	4	6
6	4	5		1	7	8	3	2
1	3		6	4	5	2	7	8
2	5	8	1	7		4	6	3
4	7	6	8	3	2	5	1	
	1	4	2	5	6	3	8	7
7	8	2	3		1	6	5	4
5	6	3	7	8	4		2	1

PISANKI

CZOŁÓWKA
KAPELUSZ
NARKOTYK
KOLEJARZ
SŁUCHACZ
MIZEROTA

eprasa.pl ace2ed05c6

Łososiowy jest po prostu żywot ich

Co najmniej 225 obywateli Tajwanu zmieniło imię na Łosoś (Gui Yu). Powodem była akcja promocyjna sieci japońskich restauracji, która zaoferowała darmową ucztę każdej osobie ze wspomnianą rybą w dokumencie tożsamości – oraz piątce jej towarzyszy. Wypada poinformować, że na wyspie zmiana personaliów (np. ich uzupełnienie o dodatkowy człon) jest szybka i tania, ponadto każdy może jej dokonać nawet trzy razy w życiu. Dobrze, że w Polsce jest inaczej, bo moglibyśmy być zmuszeni do sympatycznego pana Mirka zacząć mówić *per* Schabowy.

Truskawkowa wtopa

Zapas ecstasy o wartości ponad miliona euro, którego przechwyceniem pochwaliła się francuska policja, ostatecznie okazał się zmielonymi żelkami truskawkowymi. Tabletki oraz 25 kg różowego proszku znaleziono w domu 20-letniego Algierczyka trudniącego się sprzedażą kradzionych telefonów. Na miejscu odkryto także maszynę do robienia tabletek, co jest poważną poszlaką w kwestii tego, na czym zarabiał lub zamierzał zarabiać mężczyzna. Stwarza mundurowym okazję, by zamienić wpadkę w sukces – wystarczy ogłosić, że zarekwirowano żelki, by uchronić miłośników ecstasy przed oszustem.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), MARCIN BIELECKI/PAP, DARIUSZ GORAJSKI/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl ace2ed05c6

4. Wiosenna Aukcja Sztuki

Piotr Kachny, SelfAmélioration

Licytacja odbędzie się 9 kwietnia o godz. 19. Wszystkie wystawione na nią obiekty można obejrzeć podczas wystawy przedaukcyjnej w siedzibie Galerii Sztuki NEXT w Bydgoszczy, ul. Poznańska 31, lub na stronie www.galerianext.pl.

Agnieszka Beer, Diament

Piotr Rembieliński, Zwolnij kochanie

Agnieszka Brzezińska,
Siostry z ptakiem na głowie

Anita Zofia Siuda, Nie jestem święta

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ace2ed05c6

PRZEKAŻ SWÓJ 1% NA KUŹNICĘ!

Fundacja Kuźnicy jest
Organizacją Pożytku Publicznego

Rozliczając swój PIT,
zachęcamy do wskazania
Fundacji Kuźnicy.

Wspomóż nas,
to nic nie kosztuje!

Dziękujemy!

FUNDACJA KUŹNICA
KRS: 0000300613

kuznica.org.pl

- wydajemy „Zdanie"
- wraz ze Stowarzyszeniem Kuźnica przyznajemy nagrodę Kowadła
- organizujemy spotkania z wybitnymi postaciami nauki, kultury, polityki

eprasa.pl ace2ed05c6

eprasa.pl ace2ed05c6